

JAK DALEKO SIĘ POSUNIESZ,
BY DAĆ UKOCHANEJ OSOBIE
KILKA GODZIN SZCZĘŚCIA?



DYLEMAT

B.A. PARIS

ALBATROS

700 TYSIĘCY książek sprzedanych w Polsce!

W *Na skraju załamania i Pozwól mi wrócić* B.A. Paris udowodniła, że potrafi pisać sensację.

W *Dylemacie* wraca do tego, co jest jej najbliższe – powieści psychologicznej.

Jeśli podobało ci się *ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI*, *DYLEMAT* jest dla ciebie.

LIVIA

Na ten dzień czekała od lat. Na przyjęcie, o jakim marzyła. Będą wszyscy jej bliscy i przyjaciele... poza córką, Marnie. Lecz choć Livia przed nikim się do tego nie przyznaje, nieobecność dziewczyny wcale jej nie martwi. Niestety, na imprezie pojawi się ktoś, kogo wolałaby nigdy więcej nie widzieć, co przyćmiewa jej radość. Podobnie jak to, że po przyjęciu będzie musiała zdradzić mężowi sekret, który wywróci jego życie do góry nogami.

ADAM

Jest gotowy zrobić wszystko, by impreza urodzinowa żony była idealna. Pojawienie się Marnie ma być największą niespodzianką wieczoru. Lecz przed przyjęciem Adam dowiaduje się o katastrofie samolotu, którym mogła lecieć. Wierzy, że nie było w nim córki. Ale pewności nie ma. Adam pozostaje sam z potwornym, ciężącym mu coraz bardziej dylematem. Jeśli powie Livii, zniszczy dzień, na który czekała od lat. A może to być ostatni dzień ich szczęśliwego życia...

DYLEMAT

B.A. P A R I S

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA SŁYSZ

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

B.A. PARIS

Angielska pisarka, autorka bestsellerowych thrillerów psychologicznych, które przełożono na 35 języków. Przez wiele lat mieszkała we Francji, pracowała w finansach i prowadziła szkołę językową. Po wielkim sukcesie jej książek całkowicie poświęciła się pisarstwu i wraz z mężem na powrót zamieszkała w Wielkiej Brytanii.

Jej pierwsza powieść – **Za zamkniętymi drzwiami** – ukazała się w 2016 roku i została okrzyknięta najlepszym debiutem. W samej tylko Wielkiej Brytanii sprzedano ponad milion egzemplarzy i przez wiele tygodni utrzymywała się na liście bestsellerów „New York Timesa”. Rok później (w Polsce w 2018 roku) do rąk czytelników trafił drugi thriller Paris, **Na skraju załamania**, który powtórzył sukces debiutu. W roku 2019 polscy czytelnicy mogli sięgnąć po kolejną świetnie przyjętą książkę Paris, **Pozwól mi wrócić**. **Dylemat** to jej najnowsza powieść psychologiczna.

Tego autora

ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI
NA SKRAJU ZAŁAMANIA
POZWÓL MI WRÓCIĆ
DYLEMAT

Tytuł oryginału:
THE DILEMMA

Copyright © B.A. Paris 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2020

Redakcja: Joanna Popiołek

Zdjęcie na okładce: © Maria Heyens/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

ISBN 978-83-8125-987-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Adam

Livia

Podziękowania

*Dla M., mojej inspiracji podczas pisania tej powieści.
Być może się nie znamy, ale nigdy Cię nie zapomnę.*

*Niedziela, 9 czerwca
Godzina 3.30*

Livia

Budzę się nagle w stygnącej kąpeli. Zdezorientowana szybko siadam, rozchlapując pianę, i zastanawiam się, jak długo spałam. Wyjmuję korek z wanny, woda bulgocze, znikając w odpływie – brzmi to zbyt głośno w cichym domu.

Kiedy się wycieram, dostaję gęziej skórki. Coś mi się przypomina. Obudził mnie jakiś odgłos, warkot motocykla na ulicy. Nieruchomieję z rozciągniętym za plecami ręcznikiem. To chyba nie był Adam? O tej porze, w nocy, nie wsiadłby przecież na motocykl.

Owijam się w ręcznik, idę do sypialni i wyglądam przez okno. Serce wali mi w piersi z poczucia winy, ale się uspokaja, gdy za namiotem widzę żółtą poświatę padającą z szopy. Jest więc tutaj, nie pojechał wyrównać rachunków. Chciałabym zejść i sprawdzić, czy ma się dobrze, ale coś, może szósty zmysł, podpowiada mi, żebym się z tym wstrzymała, że Adam przyjdzie, kiedy będzie gotowy. Na chwilę ogarnia mnie lęk, jakbym patrzyła w przepaść. Ale uczucie to budzi po prostu ciemny pusty ogród.

Odchodzę od okna i kładę się na łóżku. Poczekam jeszcze dziesięć minut i jeśli do tego czasu Adam nie wróci, zejdem do niego.

Adam

Pędzę pustymi ulicami, płosząc grzebiącego w śmietniku kota. Biorę zakręt zbyt ostrym łukiem i ryk silnika niesie się w martwej ciszy. Przedemną rysuje się wjazd na M4. Dodaję gazu i wyprzedzając jakiś wlokący się samochód, z warkotem wjeżdżam na autostradę. Gdy jeszcze przyspieszam, motocykl przemieszcza się przede mną.

Powiew wiatru na twarzy działa odurzająco i muszę zwalczyć dojmującą potrzebę, żeby puścić kierownicę i polecieć na spotkanie śmierci. Czy to nie straszne, że Livia i Josh nie są dla mnie wystarczającym powodem, aby chcieć żyć? Do tortury, jaką było ostatnich czternaście godzin, dochodzą wyrzuty sumienia, a zimna wściekłość wzmaga ryk silnika, gdy tak mknę autostradą, dążąc do samozniszczenia.

Wtedy w lusterku wstecznym załamionymi oczami dostrzegam samochód, który ściga mnie autostradą, błyskając niebieskim światłem, i ryk gniewu, jaki wydaję, staje się wyrazem frustracji. Zwiększam prędkość do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wiem, że mogę jechać jeszcze szybciej, bo już nic mnie nie zatrzyma. Jednak wóz policyjny wkrótce mnie dogania, szybko zmienia pas na zewnętrzny i zrównuje się ze mną. Kątem oka widzę, że policjant na fotelu dla pasażera żywo gestykułuje.

Jeszcze przyspieszam, ale wóz policyjny wyrывa do przodu, a potem zjeżdża przede mną na mój pas, blokując mi drogę. Zamierzam go wyprzedzić, wcisnąć gaz do dechy, coś mnie jednak powstrzymuje, a tamten stopniowo zwalnia i muszę się zatrzymać. Nie wiem, dlaczego to robię. Może nie chcę, żeby Livia miała więcej problemów na głowie. A może usłyszałem błagalny głos Marnie: „Nie, tato, nie!”. Przysięgam, że przez chwilę czułem jej ręce obejmujące mnie w pasie, jej głowę przyciśniętą do mojego karku.

Drżą mi ręce i nogi, gdy wyhamowuję za wozem policyjnym i gaszę silnik. Z samochodu wysiada dwoje funkcjonariuszy, mężczyzna i kobieta. Mężczyzna podchodzi do mnie.

– Chce się pan zabić czy co?! – wrzeszczy, wciskając czapkę na głowę.

Zbliża się także kobieta, która siedziała za kierownicą.

– Niech pan odejdzie od motocykla! – nakazuje ostro. – Czy pan mnie słyszy? Proszę się od niego odsunąć.

Próbuję zdjąć ręce z kierownicy, dźwignąć się z siedzenia. Ale mam wrażenie, że jestem z nim zespawany.

– Jeśli pan nie posłucha, będziemy musieli pana aresztować.

– I tak go zatrzymamy – mówi mężczyzna. Robi krok w moją stronę i na widok kajdanek, które ma przy pasku, odzyskuje mowę.

Zdejmuję kask.

– Chwileczkę!

Coś musi być w moim głosie, a może w wyrazie twarzy, bo oboje przystają.

– Słuchamy.

– Chodzi o Marnie.

– Marnie?

– Tak.

– Kto to jest Marnie?

– To moja córka. – Z trudem przełykam ślinę. – Marnie to moja córka.

Wymieniają spojrzenia.

– Gdzie ona jest, proszę pana?

*Dzień wcześniej, sobota, 8 czerwca
Godzina 8.00–9.00*

Adam

Livia obok mnie śpi. Wstaję z łóżka i cicho przeciągam się w ciepłym powietrzu, które wpada przez otwarte okno. Tłumię ziewnięcie i spoglądam na niebo: ani jednej deszczowej chmury w zasięgu wzroku. Liv się ucieszy. Pogoda to jedyna rzecz, na którą nie ma wpływu, gdy przygotowuje swoje wieczorne przyjęcie. Planuje wszystko od miesiący, chce, żeby było idealnie. Jednak nieustanny deszcz, który lał przez ostatnie weekendy, już zaczął działać jej na nerwy.

Spoglądam na jej miarowo wznoszącą się i opadającą pierś, lekko drgające powieki. Wydaje się taka spokojna, że postanawiam jej nie budzić, dopóki nie zaparzę kawy. Biorę ubranie, które miałem na sobie poprzedniego wieczoru. Wkładam dzinsy i wciągam przez głowę koszulkę.

Kiedy idę na dół do kuchni, skrzypią schody i Murphy, nasz owczarek australijski maści czekoladowy marmurek, podnosi głowę – leży w swoim koszu przy piecyku na drewno. Przykucam przy nim na chwilę, pytam, jak się ma i czy dobrze mu się spało, i sam wyznaję, że mnie nie za bardzo, bo miałem koszmarne sen. Liże mnie ze współczuciem, a potem opuszcza głowę, gotowy przespać cały dzień. Ma już piętnaście lat i nie jest taki żywotny jak kiedyś, ale to dobrze, bo ja też powoli tracę energię. Uwielbia codzienne spacer, jednak czasy, kiedy wybieraliśmy się na długie wyprawy, należą do przeszłości.

Mimi, ruda pręgowana kotka Marnie, zachowująca się, jakby była w pełni rodowodowa i w ogóle ho, ho, wstaje, podchodzi i ociera się o moje nogi, żeby przypomnieć mi o sobie. Karmię ją, a potem nalewam wody do czajnika. Włączam go i chwilę później w ciszy rozlega się bulgotanie wrzątku. Wyglądam przez okno i widzę duży biały namiot, przyczajony na trawniku jak złowrogie zwierzę, gotowe skoczyć na taras i połknąć dom. Przypominam sobie koszmar, który mnie obudził. Śniło mi się, że namiot związało. Już pamiętam – stałem na trawniku z Joshem i Marnie, gdy wzmógł się wiatr, delikatny szelest drzew zamienił się w złowieszczy szum, a następnie ogłuszający ryk, i zrywane z gałęzi liście zaczęły wirować w powietrzu, ciągnąc za sobą lampki.

„Namiot!” – zawołał Josh, gdy wichura obróciła swoją złość przeciwko ogrodowi. Ale zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, Marnie ze snu podbiegła i chwyciła namiot za jedną z pałatek.

„Marnie, puść go!” – wykrzyknąłem. Ale wiatr porwał moje słowa i ich nie usłyszała. A namiot niósł ją do nieba, aż zniknęła nam z oczu.

Livia będzie się śmiać, kiedy jej to opowiem – okazuje się, że nie ona jedna denerwuje się przed przyjęciem. Niespokojnie odchodzę od okna i znowu się przeciągam. Kiedy podnoszę ręce nad głowę, czubkami palców muskam sufit naszego starego domku. Nie wiem, kiedy Josh mnie przerósł, ale jest już w stanie przyłożyć do sufitu całe dłonie.

Plecak leży tam, gdzie go zostawiłem, rzucony na koniec stołu razem z dwiema plastikowymi torbami. Zestawiam je na podłogę i obrzucam stół krytycznym spojrzeniem. To jedno z moich pierwszych dzieł, prosty mebel z polakierowanego drewna sosnowego, który próbowałem odmienić poprzez wzmocnienie nóg elementami konstrukcyjnymi w kształcie mostów – miało to być nawiązanie do mojego dawnego marzenia, żeby zostać inżynierem budownictwa wodnego i lądowego. Początkowo Livii nie podobał się brak przestrzeni pod blatem. Teraz bardzo lubi siedzieć na wyściełanej ławie ze stopami na jednej z belek, oparta swobodnie o ścianę.

Czajnik się wyłącza. Nalewam wrzątku do kawiarki, zostawiam ją, żeby kawa się zaparzyła, i przekręcam klucz w drzwiach do ogrodu. Hałas płoszy kosa, który siedzi na pobliskim krzaku. Ptak panicznie trzepocze skrzydłami i kiedy patrzę, jak wzlatuje w niebo, przypomina mi się, że Marnie jest już w drodze do domu.

Uśmiechnięty na myśl, że wkrótce znowu ją zobaczę, bo dziewięć miesięcy, które upłynęły od jej wyjazdu, to dużo czasu, przechodzę przez taras i pokonuję pięć stromych stopni, z przyjemnością czując pod stopami twardy kamień, a potem – kiedy przecinam trawnik – zroszoną trawę. W porannym powietrzu unosi się zapach wilgotnej słomy, którego źródła nie potrafię zlokalizować, ma chyba coś wspólnego z różami Livii. Rosną po prawej stronie ogrodu, pod drewnianym ogrodzeniem, tworząc dużą rabatę, i gdy je mijam, czuję piękną woń Sweet Juliet. A może to Lady Emma Hamilton. Nigdy nie pamiętam, jaka to odmiana, choć Livia często mi mówi.

Obchodzę namiot, sprawdzam, czy jest właściwie umocowany, w razie gdyby mój koszmarny sen miał być proroczy, i widzę, że rozbili go daleko, tak daleko, że niemal przylega do mojej szopy i aby się do niej dostać, muszę się obok niego przeciskać. Wiem, dlaczego tak zrobili; musieli zostawić miejsce na stoły i krzesła, które będą ustawione przed nim. Jeśli można żyć do namiotu niechęć, to właśnie w tej chwili ją czuję.

Przysiadam na niskim kamiennym murku, który otacza trawnik z drugiej strony, naprzeciwko drewnianego ogrodzenia, i usiłuję sobie wyobrazić, jak ogród będzie wyglądał wieczorem, z setką kręcących się po nim gości, lampkami rozciągniętymi na gałęziach jabłoni i wiśni oraz rozwieszonymi wszędzie balonami. Zawsze wiedziałem, że Livia zechce urządzić na swoje czterdzieste urodziny wielkie przyjęcie, jednak nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie, dopóki przed kilkoma miesiącami nie zaczęła rozprawiać o firmach cateringowych, namiotach i szampanie. Wydało mi się to tak niedorzeczne, że zareagowałem śmiechem.

– Wcale nie żartuję, Adamie! – odpowiedziała z urazą. – Zależy mi, żeby to było pamiętne wydarzenie.

– Wiem, i takie będzie. Tyle że pociągnie za sobą zbyt duże koszty.

– Proszę, nie zepsuj wszystkiego, zanim jeszcze cokolwiek zaplanuję – odparła błagalnie. – Pieniądze nie są takie ważne.

– Są, Liv – sprzeciwiłem się, żałując, że muszę to zrobić. – Josh latem wyjeżdża, a Marnie jest w Hongkongu i musimy przez jakiś czas uważać na wydatki. Masz tego świadomość.

Popatrzyła na mnie. Znałem to jej spojrzenie. Pełne wyrzutu.

– No co? – zapytałem.

– Zaoszczędziłam pewną sumę – wyznała. – Na przyjęcie. Od lat odkładam na nie pieniądze, niedużo, po trochu każdego miesiąca. Przepraszam, powinnam ci była powiedzieć.

– Nic się nie stało – odparłem. Zacząłem się zastanawiać, czy nie powiedziała mi dlatego, że wtedy wydałem wszystkie jej oszczędności na motocykl. Choć to zdarzyło się przed wieloma laty, jeszcze zanim urodziła się Marnie, wciąż wzdrygam się na samo wspomnienie.

Na myśl o Marnie coś mi się przypomina. Wracam do domu, przestępując nad Mimi, która zawsze płcze mi się pod nogami, i odnajduję telefon tam, gdzie go zostawiłem, żeby się naładował, obok pojemnika na chleb. Tak jak liczyłem, dostałem od niej wiadomość.

„Tato, nie uwierzysz – mój lot jest opóźniony, więc nie zdążę na przesiadkę w Kairze. To znaczy, że przylecę do Amsterdamu za późno, aby złapać samolot do Londynu. Fatalnie, ale się nie martw, jakoś dotrę. Może znajdą mi bezpośrednie połączenie i będę na miejscu wcześniej, niż sądziliśmy! Wyślę esemesa, gdy wyląduję na Heathrow. Kocham Cię xxx”.

Cholera. Uwielbiam optymizm mojej córki, ale wątpię, żeby znaleźli dla niej bezpośredni lot do Londynu. Pewnie każą jej czekać w Kairze na najbliższy samolot do Amsterdamu. Nie po raz pierwszy zachodzę w głowę, dlaczego się zgodziłem, żeby leciała z tyłoma przesiadkami.

Livia, planując swoje przyjęcie, nie wyobrażała sobie, że Marnie mogłoby na nim nie być. Znaliśmy jego datę, więc gdy tylko nasza córka się upewniła, że następnego roku będzie studiować w Hongkongu, od razu sprawdziła, kiedy wypadają egzaminy. Potem jednak terminy uległy zmianie.

– Egzaminy mam trzeciego, czwartego i piątego czerwca, a potem jeszcze trzynastego i czternastego – powiedziała z rumieńcami frustracji, gdy w styczniu skomunikowała się z nami na FaceTimie. – Nie mieści mi się w głowie, że nie będę na imprezie.

– A jeśli przesunę ją na piętnastego? – zapytała Livia.

– Też nie zdążę, ze względu na różnicę czasu.

– A na dwudziestego drugiego?

– Nie, bo wtedy nie byłoby z kolei Josha. Tego dnia wyjeżdża do Nowego Jorku, nie pamiętasz? Wybrał tę datę właśnie z powodu twojego przyjęcia. Kupił już bilet, więc nie

może go wymienić. Naprawdę mi przykro, mamó, chciałabym coś na to poradzić. Ale nie ma takiej możliwości.

Przez wiele godzin próbowaliśmy znaleźć jakieś wyjście i w końcu musieliśmy pogodzić się z tym, że Marnie nie będzie na przyjęciu. Był to dla Livii wielki cios. Zamierzała odwołać imprezę i z zaoszczędzonych pieniędzy kupić bilety na lot do Hongkongu, żeby tam świętować urodziny. Ale Marnie nie chciała o tym słyszeć.

– Nie pozwolę, żebyś zrezygnowała ze swojego wymarzonego przyjęcia, mamó. Josh nie mógłby przylecieć, bo ma egzaminy semestralne. Muszę się uczyć, więc i tak nie miałabym dla was wiele czasu. A tata jest zbyt zajęty, żeby wziąć więcej niż tydzień urlopu. A przy takiej cenie biletów lotniczych nie warto, żebyście przyjechali na mniej niż dziesięć dni.

Potem, przed trzema tygodniami, przysłała mi wiadomość: „Tato, co kupujesz mamie na urodziny?”.

„Pierścionek – odpisałem. – Z brylantami. Tylko jej nie mów, bo to ma być niespodzianka”.

„Chciałbyś sprawić jej jeszcze jedną?”

„Jaką?”

„Możemy pogadać na FaceTimie? Czy mama jest w pobliżu?”

„Nie, wyszła, chce kupić sukienkę na przyjęcie”.

„O, to dobrze, mam nadzieję, że znajdzie coś ładnego. A skoro mowa o przyjęciu...”

Zaraz potem zadzwonił mój telefon i powiedziała mi o połączeniu, które wyszukała: z Hongkongu do Kairu, z Kairu do Amsterdamu i z Amsterdamu do Londynu.

– Wszystko przemyślałam. Jeśli wyleciałabym tuż po egzaminie w czwartek, w sobotę wieczorem dotarłabym do Londynu i byłabym w domu około dziewiętej. Co o tym sądzisz, tato? Sprawilibyśmy mamie dodatkową niespodziankę.

Siedziała na białym fotelu biurowym w pokoju studenckim, który dzieliła z Nadią, współlokatorką z Rumunii, i widziałem za nią zabraną z domu kołdrę, leżącą w dużej części na podłodze. Miała na sobie jeden z moich starych T-shirtów, a włosy w kolorze mahoni zwinęła na czubku głowy, przytrzymując je, jak się domyślałem, zwykłym ołówkiem. Sposób, w jaki to robiła, zawsze mnie zdumiewał.

– Byłaby zachwycona – odpowiedziałem. Wziąłem Mimi na kolana, żeby się widziały. – A kiedy byś od nas wyjechała?

Marnie skłoniła głowę w stronę ekranu komputera, żeby zwrócić się pieszczotliwie do kotki i przesłać jej całusa.

– Dopiero w środę, więc spędziłabym z wami prawie całe cztery dni. Nie musiałabym lecieć przez Amsterdam, co znaczy, że wróciłabym do Hongkongu akurat na czwartkowy egzamin.

– To dużo podróżowania, żeby pobyć tu tylko kilka dni – zwróciłem jej uwagę, marszcząc czoło.

– Biznesmeni stale tak robią – sprzeciwiła się. Podczas naszej rozmowy co jakiś czas opuszczała wzrok, chyba na telefon komórkowy leżący na blacie, aby sprawdzić, czy nie przyszły jakieś wiadomości. U niej był późny wieczór i nagle z dziwnym uczuciem uświadomiłem sobie, że prowadzi w Hongkongu życie, o którym Liv i ja nie mamy bladego pojęcia.

– A sprawdziłaś, czy są jakieś bezpośrednie połączenia? – zapytałem.

– Tak, ale bilety kosztują fortunę. Cena tego, przez Kair i Amsterdam, wynosi sześćset pięćdziesiąt funtów. Mam połowę tej sumy. Jeśli pożyczylbyś mi resztę, oddałabym ci, gdy tylko bym mogła.

– Nie chcę, żebyś w ogóle płaciła za tę podróż. To będzie część mojego prezentu dla twojej mamy.

Posłała mi jeden z tych swoich szerokich uśmiechów i pociągnęła za złoty łańcuszek, który miała na szyi. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– Dzięki, tato, jesteś kochany! To co, mam zabukować ten bilet, zanim cena wzrośnie?

Musiałem stoczyć wewnętrzną walkę, naprawdę. Pragnąłem odpowiedzieć, żeby zarezerwowała bezpośredni lot, co pozwoliłoby jej uniknąć kłopotów związanych z dwiema przesiadkami. Ale właśnie kazałem Joshowi zabukować połączenie do Nowego Jorku z przesiadką w Amsterdamie, nie tylko dlatego, że było tańsze niż bezpośrednio, ale także po to, żeby chłopak nie miał za łatwo. Nie mogłem uzasadnić wydania kilkuset funtów więcej na Marnie w sytuacji, gdy odmówiłem wyłożenia stu pięćdziesięciu dodatkowych na Josha. Zresztą czy było warto, żeby przyjeżdżała do domu na przyjęcie, skoro musiałyby wyjechać zaledwie cztery dni później? Spojrzałem na jej ładną twarz, oświetloną lampą biurową, która stała przy komputerze, i wszelkie gnębiące mnie wątpliwości uleciały. Po pierwsze, była bardzo podobna do matki, a po drugie, wiedziałem, jak bardzo ucieszyłaby się Liv, gdyby Marnie niespodziewanie zjawiała się na przyjęciu.

– Pod jednym warunkiem – odparłem, czując na sobie nieporuszone spojrzenie zielonych oczu Mimi. – Nie powiesz o swoim przylocie nikomu... Joshowi, Cleo ani żadnemu z pozostałych przyjaciół, a już zwłaszcza cioci Izzy... To będzie niespodzianka dla wszystkich.

– Nie puszcę pary z ust, obiecuję. Dzięki, tato, mówiłam ci już, że jesteś kochany?

Na Livie czekało tego dnia kilka niespodzianek, ale przyjazd Marnie na przyjęcie miał być największą z nich.

Livia

Budzi mnie skrzypnięcie schodów. Sięgam ręką obok, ale druga połowa łóżka jest pusta.

– Adamie?! – wołam cicho, na wypadek gdyby był w łazience.

Nie słyszę jednak odpowiedzi, więc przyciągnięta ciepłem miejsca, w którym leżał, przetaczam się na nie i z głową na jego poduszce kładę się na boku. Odruchowo dotykam brzucha, sprawdzam, czy jest płaski, i z zadowoleniem stwierdzam, że opłaciło się przez ostatni tydzień uważać na to, co jem. Ale kogo próbuję oszukać? Uważam na to, co jem, od sześciu miesięcy. I ćwiczę. I stosuję o wiele za drogi krem pod oczy. Wszystko z myślą o wieczornym przyjęciu.

Leżę przez chwilę, nasłuchując, czy deszcz nie bębni o szyby, tak samo jak w zeszłą sobotę i trzy poprzednie. Ale dochodzą do mnie tylko trele i ćwierkanie ptaków na jabłoni, więc się odprężam. Wreszcie nadszedł dzień, na który tak długo czekałam. I – nie do wiary – nie ma deszczu.

Mocniej naciskam brzuch, wciskając cienką warstwę tłuszczu w linię mięśni. Walczą we mnie sprzeczne emocje. Staram się skupić na ekscytacji i radości, ale nad wszystkimi uczuciami dominują wyrzuty sumienia – z powodu wydatków na przyjęcie i tego, że pieniądze poszły na mnie, a gdybym poczekała jeszcze parę lat, można by je było przeznaczyć na nas, na dwudziestą piątą rocznicę naszego ślubu. Zasugerowałam takie rozwiązanie Adamowi – a przynajmniej tak mi się wydaje. Nawet jestem pewna, bo pamiętam, że w głębi duszy poczułam ulgę, gdy w ogóle nie chciał wziąć tego pod uwagę.

Niespokojnie opadam na plecy i patrzę w sufit. Czy to naprawdę takie złe, że chcę, aby przyjęcie było tylko na moją cześć? Wygląda na to, że ostatnio mam wobec niego mieszane uczucia. Zawsze go pragnęłam, planowałam je, oszczędzałam na nie pieniądze, ale odetchnę z ulgą, gdy będzie już po nim. Za dużo na ten temat myślałam, nie tylko przez ostatnie pół roku, ale także przez dwadzieścia lat. Najbardziej przeszkadza mi to, że potrzeba urzędnika tego przyjęcia zrodziła się we mnie z powodu rodziców. Gdybym miała taki ślub i wesele, jakie mi obiecywali, nie dostałabym obsesji na punkcie własnego święta.

Nie chcę myśleć o nich w takim dniu, ale co mam zrobić? Nie widziałam ich od przeszło dwudziestu lat. Zawsze zachowywali wobec mnie dystans, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek odbyła jakąś ważną rozmowę z ojcem, a do matki zbliżyłam się najbardziej, gdy kupiła czasopisma poświęcone organizacji uroczystości ślubnych; oglądając razem ze

mną suknie, torty i kompozycje kwiatowe, opowiadała, z jaką pompą wydadzą mnie za męża. Kiedy jednak zaszłam w ciążę, niedługo po siedemnastych urodzinach, nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego. I wspaniały ślub zamienił się w pośpieszną piętnastominutową ceremonię w miejscowym urzędzie stanu cywilnego, tylko w obecności rodziny Adama i naszych najlepszych przyjaciół, Jess i Nelsona.

Wtedy wmawiałam sobie, że nie jest dla mnie ważne, czy mam huczne wesele, czy nie. Ale było ważne i wyrzucałam sobie, że tak bardzo przejmuję się jego brakiem. Kilka lat później jedna z matek poznanych w żłobku, do którego chodził Josh, zaprosiła nas na przyjęcie z okazji swoich trzydziestych urodzin. Bawiliśmy się świetnie. Adam i ja byliśmy wtedy zaledwie po dwudziestce i mieliśmy bardzo mało pieniędzy, więc to przyjęcie zrobiło na nas wielkie wrażenie. Ogarnięta nabożnym podziwem, obiecałam sobie, że pewnego dnia ja także będę tak uroczyście obchodzić swoje urodziny.

Kiedy miała się urodzić Marnie i z powodu nieustających nudności nie mogłam spać, stałam oparta o blat w naszej malutkiej kuchni i na odwrocie paragonu liczyłam, ile muszę miesięcznie oszczędzać, żeby urządzić takie przyjęcie jak Chrissie. Już postanowiłam, że wydam je na swoje czterdzieste urodziny, bo wypadają w sobotę. W tamtych czasach nie wyobrażałam sobie, jak to jest mieć czterdziestkę na karku. Ale już mam przyjęcie.

Zwracam głowę ku oknu, moją uwagę przykuwa wiatr, który zrywa ostatnie kwiaty z drzewa. Czterdzieści lat. Jak to możliwe, że mam tyle? Trzydziestka stuknęła mi, gdy opiekowałam się dwojgiem małych dzieci, więc ledwie ją odnotowałam. Tym razem przeżywam to mocniej, może dlatego, że jestem na innym etapie życia niż większość moich koleżanek. One jeszcze mają w domu dzieci, podczas gdy Josh i Marnie, on dwudziestodwuletni, ona dziewiętnastoletnia, zaczęli już własne życie. To oznacza, że często czuję się starsza niż w rzeczywistości. Dzięki Bogu, mam Jess; ponieważ Cleo jest w tym samym wieku co Marnie, razem jakoś przebrnęliśmy przez ich nastoletni okres.

Słyszę zgrzyt otwieranych tylnych drzwi, a potem tupot stóp Adama, kiedy przechodzi przez taras. Znam go na tyle dobrze, że potrafię sobie wyobrazić jego minę, gdy zobaczy, że namiot stoi tak blisko jego szopy. Bardzo się cieszy na przyjęcie, dlatego mam jeszcze większe wyrzuty sumienia z powodu sekretu, który utrzymuję przed nim od sześciu długich tygodni. Poczucie winy się nasila, więc odwracam głowę i wtulam twarz w poduszkę, starając się je zwalczyć. Ale daremnie.

Żeby się czymś zająć, biorę telefon. Chociaż na ekranie widnieje informacja, że jest dopiero ósma siedemnaście, już przyszły życzenia urodzinowe. Najpierw od Marnie; jej WhatsApp został wysłany kilka sekund po północy i oczami wyobraźni widzę ją, jak siedzi na swoim łóżku w Hongkongu i patrzy na zegar, żeby wcisnąć „Wyślij”, bo wiadomość jest już napisana.

„Najlepszej Mamie na świecie wszystkiego dobrego z okazji urodzin! Ciesz się każdą minutą tego szczególnego dnia. Już nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy, ale to jeszcze kilka tygodni. Strasznie Cię kocham. Marnie xxx PS Będę przez weekend poza

zasięgiem, bo chcę spokojnie powtórzyć materiał. Nie martw się, jeśli nie będzie ze mną kontaktu, zadzwonię w niedzielę wieczorem”.

Dalej znajdują się emotikony przedstawiające butelki szampana, torty urodzinowe i serduszka i jak zwykle robi mi się ciepło na sercu. Ale chociaż tęsknię za Marnie, jestem zadowolona, że nie będzie jej tu wieczorem. Źle się z tym czuję, bo powinnam żałować, że nie przyjedzie na przyjęcie, zresztą początkowo żałowałam. Teraz wolałabym, żeby nie było jej w domu nawet do końca miesiąca.

Początkowo zamierzała wrócić dopiero na koniec sierpnia, po zdaniu egzaminów i objeździe Azji z przyjaciółmi. Potem jednak zmieniła plany i za trzy tygodnie zjawi się tutaj, w Windsorze. Udaję przed każdym, że bardzo się cieszę z jej wcześniejszego przyjazdu, ale czuję jedynie niesmak. Kiedy wróci, wszystko się zmieni i nie będziemy mogli już dłużej żyć sobie przyjemnie jak do tej pory.

Słyszę Adama wchodzącego po schodach i przy każdym jego kroku to, czego mu nie zdradziłam, ciąży mi coraz bardziej. Ale nic mu nie powiem, nie dziś. Zagląda za drzwi i woła: „Wszystkiego najlepszego!”. To do niego takie niepodobne, że zaczynam się śmiać i trochę się rozluźniam.

– Ciii, obudzisz Josha! – szepczę.

– Nie martw się, śpi jak zabity. – Wchodzi do pokoju z dwoma kubkami kawy i Mimi drepczącą za nim. Pochyla się, żeby mnie pocałować, a kotka wskakuje na łóżko i trąca mnie z zazdrości. Uwielbia Adama i wciska się między nas za każdym razem, kiedy siadamy na kanapie, żeby wspólnie obejrzeć film.

– Najlepsze życzenia urodzinowe – powtarza.

– Dziękuję. – Unoszę dłoń do jego policzka i na chwilę zapominam o wszystkim innym, bo ogarnia mnie szczęście. Tak bardzo go kocham.

– Spokojnie, ogolę się – żartuje i odwraca głowę, żeby cmoknąć mnie w rękę.

– Wiem. – Nie znosi się golić i najchętniej chodziłby wyłącznie w dżinsach i T-shirtach, ale od tygodni zapowiada, że dziś wieczorem stanie na wysokości zadania i ubierze się elegancko. – Kawa do łóżka... jak cudownie!

Biorę od niego kubek i przesuwam nogi, żeby mógł usiąść obok. Gdy materac ugina się pod ciężarem jego ciała, niemal wylewam kawę.

– No i jak się czujesz? – pyta.

– Rozpieszczana – odpowiadam. – Co powiesz na namiot?

– Stoi za blisko mojego warsztatu. – Unosi ciemną brew. – Jest na miejscu – poprawia się szybko. – Będziesz się śmiała... ale śniło mi się, że odleciał, zabierając ze sobą Marnie.

– Więc dobrze, że jej tu nie ma – kwituję. I od razu czuję się winna.

Adam stawia kubek na podłodze i wyjmuję z tylnej kieszeni kopertę.

– Dla ciebie. – Odbiera ode mnie kawę i stawia obok swojej.

– Dzięki.

Kładzie się na łóżku po swojej stronie i podparty na łokciu, przygląda mi się, gdy otwieram kopertę. Widnieje na niej moje imię, pięknie wydrukowane trójwymiarowymi literami, w różnych odcieniach błękitu – cały Adam. Wyjmuję kartkę ze srebrną liczbą czterdzieści, rozkładam i czytam, co napisał: „Mam nadzieję, że dziś wszystko będzie tak, jak sobie wymarzyłaś, albo jeszcze lepiej. Zaslugujesz na to. Kocham Cię, Adam. PS Razem jesteśmy nie do pobicia”.

Śmieję się z ostatniego zdania, bo zawsze tak mówi, ale zaraz potem do oczu napływają mi łzy. Gdyby tylko wiedział. Powinnam mu była powiedzieć sześć tygodni temu, gdy tylko dowiedziałam się o Marnie, ale tyle powodów przemawiało za tym, żeby tego nie zrobić, słusznych i niesłusznych. Jednak później, już po przyjęciu, nie będę miała żadnej wymówki, aby dłużej to przed nim tacić. Ćwiczyłam ten tekst w głowie mnóstwo razy – „Adamie, muszę ci coś powiedzieć” – ale poza to nie wyszłam, bo jeszcze nie zdecydowałam, czy lepiej wyznać mu prawdę dobijająco powoli, krok po kroku, czy brutalnie wyrzucić ją z siebie. Tak czy owak, będzie zdruzgotany.

– Hej – mówi. Patrzy na mnie z troską.

Szybko mrugam, żeby powstrzymać łzy.

– Nic mi nie jest. Trochę mnie to wszystko przytłacza i tyle.

Wyciąga rękę i zakłada mi za ucho pasmo włosów.

– To zrozumiałe. Tak długo czekałaś na ten dzień. – Przerywa. – Nigdy nie wiadomo, może zjawią się twoi rodzice – dodaje ostrożnie.

Kręcę głową. Moje emocjonalne rozchwianie przypisał wytęsknionemu pojednaniu z rodzicami. No i dobrze. Nie jest ono głównym powodem, ale częściowym na pewno. Rodzice przeprowadzili się do Norfolk pół roku po tym, jak urodził się Josh, bo jak oświadczył mi ojciec, narobiłam im wstydu w oczach Kościoła i znajomych i nie mogą dłużej chodzić z podniesioną głową. Kiedy spytałam, czy będę mogła ich odwiedzać, odparł, że tak, ale sama. Nie pojechałam więc do nich; nie tylko nie akceptowali Adama, ale też nie chcieli znać Josha.

Napisałam do nich, gdy na świat przyszła Marnie, zawiadomiłam ich, że mają wnuczkę. Ku mojemu zaskoczeniu ojciec odpowiedział, że chętnie ją zobaczą. Zapytałam pisemnie, czy możemy przyjechać do nich w czwórkę, ale dowiedziałam się, że zaproszenie dotyczy tylko mnie i Marnie – ojciec wyjaśnił, że Marnie jest mile widziana, bo przynajmniej urodziła się ze związku małżeńskiego. I znowu ich nie odwiedziłam.

Od tamtej pory staram się utrzymywać z nimi kontakt, mimo że mi się nie odwzajemniają, wysyłam im kartki z okazji urodzin i świąt Bożego Narodzenia i zapraszam ich na wszystkie rodzinne uroczystości. Nigdy jednak nie odpisują, no i oczywiście nie przyjeżdżają. Nie spodziewam się więc, że tego wieczoru będzie inaczej.

– Nie przyjadą – odpowiadam smętnie. – Ale to już bez znaczenia. Skończyłam czterdzieści lat. Pora sobie odpuścić.

Adam zwraca głowę w stronę okna.

– Widziałaś, jaka pogoda? – pyta. Wie, że pora zmienić temat.
– No, nie do wiary. – Opadam na poduszki, ogarnięta nowym zmartwieniem. – Obawiam się, czy nie przesadziłam z tą sukienką.

– Dlaczego?

– Jest długa, do ziemi. I kremowa.

– To źle?

– Boję się, że przypomina suknię ślubną.

– Ma falbanki i tak dalej?

– Nie.

– I zamierzasz włożyć do niej welon?

Wybucham śmiechem.

– Nie!

– W takim razie – odpowiada, podnosi rękę i obejmuje mnie – to tylko długa kremowa sukienka.

Spoglądam na niego.

– Jak ty to robisz, że zawsze poprawiasz mi samopoczucie?

– Nadrabiam te wszystkie lata, kiedy cię zaniedbywałem – odpowiada lekko.

Ujmuję jego dłoń i splatam z nią palce.

– Przestań. Jesteś moim mężem, prawda? Nie odszedłeś.

– Nie... ale w ciągu pierwszych dwóch lat dużo przebywałem w Bristolu, z Nelsonem, zamiast z tobą i Joshem.

– Dopóki nie pojawiła się Marnie i miałeś powód, żeby zostać w domu.

Puszcza moją rękę i gdy widzę na jego twarzy znajomy smutek, chciałabym cofnąć to, co powiedziałam. Przez ostatnie dwadzieścia lat starał się zrekompensować mi swoją nieobecność na samym początku. Ale wciąż cierpi z jej powodu.

– Dostałam od niej przemiłe życzenia – podejmuję, bo gdy jest mowa o Marnie, od razu poprawia mu się humor. – Píše, że być może dziś nie zadzwoni. Chce się uczyć, więc wyjeżdża na weekend gdzieś, gdzie nie ma wi-fi.

– Jak udało nam się spłodzić takie rozsądne dziecko? – żartuje już znowu w dobrym nastroju.

– Nie mam pojęcia.

Uśmiecham się do niego słabo, a on całuje mnie, sądząc, że denerwuję się z powodu przyjęcia.

– Odpręż się. Wszystko pójdzie dobrze. O której przyjedzie po ciebie Kirin?

– Dopiero o jedenastej.

– Więc możesz się jeszcze zrelaksować. – Wstaje z łóżka. – Wypij kawę, gdy będę pod prysznicem. Kiedy zejdziesz, zrobię ci śniadanie.

Adam

Napieram ramieniem na płótno namiotu, które lekko ustępuje, a potem wraca na miejsce. Napieram na nie znowu, tym razem mocniej, i udaje mi się uchylić drzwi szopy na tyle, żeby wejść do środka.

Uwielbiam tę swoją szopę, z jej ziemistym zapachem trocin, które zaścielają podłogę. Pod frontową ścianą, z oknem wychodzącym na ogród, spoczywają na różnych poziomach drewniane kloce – dębowe, sosnowe i orzechowe. Pod tylną ścianą stoi sześciometrowy stół z rozłożonymi tu i tam zaciskami oraz elektronarzędziami. Na dwóch półkach leżą mniejsze narzędzia, których używam. W przeciwległym kącie znajdują się telewizor, odtwarzacz DVD i dwa stare fotele. Czasami przychodzimy tu z Nelsonem, żeby oglądać wydarzenia sportowe albo czarno-białe filmy. On przynosi piwo i wstawia je do lodówki. Przyznaje, że ukrywa się przed Kirin i dziećmi.

Kieruję się na drugi koniec szopy. Od czasu kiedy Marnie wpadła na pomysł, żeby sprawić Livii niespodziankę, trzymam tam coś. To metrowej długości drewniana skrzynia, w której przechowywałem duży kloc czarnego orzecha. Muszę ją przenieść do ogrodu i ukryć pod stołem, gdy tylko Livia wyjdzie.

Zaciągam skrzynię pod drzwi. I wtedy uświadamiam sobie, że namiot stoi za blisko, aby dało się je szerzej otworzyć i ją wynieść.

– Cholera jasna!

Zastanawiam się, czy dałoby się skrzynię rozłożyć i złożyć z powrotem w ogrodzie, ale każda ze ścian jest mocno przybita. Siadam na jednym z foteli i zachodzę w głowę, gdzie, do diabła, znajdę inną skrzynię, na tyle dużą, żeby pomieściła Marnie. Woń drewna i lakieru działa na mnie uspokajająco. Kładę stopy na stole i pogrążam się w myślach. Nie zamierzałem zostać stolarzem. Od czasu gdy ojciec zabrał mnie jako siedmiolatek na zwiedzanie mostu wiszącego Clifton, marzyłem wyłącznie o budowaniu mostów, kiedy więc zaproponowano mi w Edynburgu studia z inżynierii wodno-łądowej, nie mogłem się doczekać wyjazdu. Wszystko zmieniły jednak narodziny Josha – a przynajmniej tak to wtedy widziałem.

Nie próbuję usprawiedliwić swojego dawnego zachowania, ale trudno mi było patrzeć, jak Nelson i inni koledzy świetnie się bawią na uczelni, podczas gdy ja uczę się zawodu, który zupełnie mnie nie pociąga. Nie wiem, jak wytrzymali ze mną pan Wentworth, jedyny

człowiek, który chciał mnie przyjąć do terminu, i Liv. Znikałem, żeby spotkać się z Nelsonem w Bristolu, zostawiając ją samą z Joshem, i czasami wracałem dopiero po kilku dniach. Zalegałem w jego pokoju, podczytywałem razem z nim jego lektury, piłem do późnej nocy i prowadziłem studenckie życie, które wydawało mi się takie atrakcyjne. Dlatego rozumiem, dlaczego Liv tak zależy na tym przyjęciu. Kiedy człowiek zostaje pozbawiony czegoś, czego bardzo pragnie, już zawsze odczuwa za tym tęsknotę.

Na stole leży otwarty mój rejestr, więc nie wstając z fotela, przyciągam go do siebie i przerzucam strony. Zapisuję zamówienia w komputerze, ale też prowadzę ich odręczną dokumentację, pan Wentworth upierał się, żebyśmy tak robili. Zachowałem wszystkie jego rejestry. Z upodobaniem myślał o tym, że pewnego dnia ktoś będzie czytał o różnych meblach, które wykonał, drewnie, którego użył, liczbie narzędzi, którymi się posłużył, cenie, którą wyliczył. Zmarł przed pięcioma laty i chociaż pracowałem z nim nie dłużej niż dekadę, wciąż mi go brakuje.

Niemal całe drewno w szopie ma już swoje przeznaczenie – z największego kawałka, pięknego kłosa ciemnego dębu, powstanie stół dla zamożnego bankowca z Knightsbridge – jednak czarny orzech, mój ulubiony, jest zarezerwowany dla Marnie. Wykonam z niego rzeźbę na jej dwudzieste urodziny, które przypadają w lipcu.

Niczego nie oczekiwałem, zanim przyszła na świat. Pojawienie się Josha trzy lata wcześniej było dla mnie takim szokiem, że nie odnajdywałem się w roli ojca. Jednak Marnie z miejsca mnie urzekła, gdy tylko na nią spojrzałem. Jeśli narodziny Josha wyzwoliły we mnie to, co najgorsze, narodziny Marnie – to, co najlepsze. To ona samą swoją obecnością nauczyła mnie, jak być tatą.

Kiedy podrosła, zaprzyjaźniłem się z nią w taki sposób, w jaki nigdy nie zaprzyjaźnię się z Joshem. Przychodziła po szkole do szopy, siadała w jednym z foteli i opowiadała, jak minął jej dzień, podczas gdy ja pracowałem. Gdy miała dwanaście lat, kupiłem swój pierwszy motocykl i pokochała go tak samo jak ja. Livia zawsze się upierała, żeby dzieci chodziły do szkoły pieszo – zajmowało im to dwadzieścia minut – jednak Marnie rano przygotowywała się do wyjścia coraz dłużej, a potem prosiła mnie, żebym zawiózł ją na motocyklu, bo inaczej się spóźni.

– Nie ma nic bardziej *cool*, niż przyjechać do budy triumphem bonneville T-sto dwadzieścia – mówiła szeptem, gdy matka nie słyszała.

Livia miała mi za złe, że ulegam córce, ale to samo robiłbym dla Josha, gdyby tylko chciał. On wolał jednak za spóźnienie siedzieć w szkole po godzinach niż poprosić, żebym go podrzucił. Później, kiedy Marnie zaczęła chodzić na imprezy, zawoziłem ją i przyjeżdżałem po nią motocyklem. Nie przejmowała się, że pod kaskiem potargają jej się włosy, a sukienka pogniecie pod skórzanym kombinezonem, który kazałem jej wkładać. Byłem dumny, że tak jak ja kocha motocykle. Głupiec, nie przewidziałem, że któregoś dnia zechce mieć własny.

– Postanowiłam – oznajmiła mnie i Liv miesiąc temu, podczas jednej z naszych rozmów na FaceTimie.

Siedziała na łóżku, z telefonem na kolanach; za plecami miała ścianę z plakatem z napisem ZACHOWAJ SPOKÓJ I RÓB SWOJE oraz zdjęciami moimi, Livii i Josha oraz przyjaciół z rodzinnych stron. Jedno nawet było grupowe, przedstawiało ją i Cleo ze mną i Robem, ojcem Cleo, stojącymi z tyłu. Pamiętam, że zabraliśmy je do Windsoru na pizzę niedługo po tym, jak zdały egzaminy.

– Po zakończeniu roku akademickiego nie pojedę w podróż – mówiła dalej – tylko od razu wrócę do domu.

– Jak to? Po co ten pośpiech? – zapytała Livia, zanim zdążyłem się odezwać. Odnosiła się do Marnie bardziej szorstko niż w poprzednich latach. Pewnie się martwiła, że Marnie tęskni za domem.

– Bo chciałabym w swoje urodziny wybrać się na wędrowkę Długim Szlakiem.

Żadne z nas nie wiedziało, co na to powiedzieć. Od dziesięciu lat szliśmy z nią w jej urodziny na wyprawę Długim Szlakiem w Windsor Great Park, ale tylko dlatego, że była na miejscu. To, że zamierzała zrezygnować z wakacji dla wycieczki, którą mogła odbyć kiedy indziej, bo przecież mieszkaliśmy w pobliżu, było niepokojące. Wtedy jednak, nie mogąc dłużej udawać, wybuchnęła śmiechem.

– Żartuję! – wykrzyknęła. – Przyjadę do domu, żeby zrobić prawo jazdy na motocykl.

– Aha – odparłem z ulgą. – Ale nie musisz się z tym spieszyć, co?

– Muszę, bo myślę o kupnie motocykla.

– Nie będzie cię na niego stać jeszcze przez wiele lat – zauważyła Livia. – Nie lepiej wybrać się na wyprawę po Azji? Potem może już nie będziesz miała okazji zwiedzić Wietnamu ani Kambodży.

– Mamo – odrzekła cierpliwie Marnie. – Będę miała... na motocyklu!

Nie mogliśmy jej w żaden sposób nakłonić do zmiany planów. Nie martwiłem się tym tak jak Liv. Tęskniłem za Marnie i cieszyłem się, że przyjedzie do domu wcześniej, niż sądziliśmy. Podobała mi się także jej determinacja w dążeniu do celu. Jak zeszłego roku, kiedy próbowaliśmy wybić jej z głowy pomysł, żeby wytatuować sobie motocykl na plecach, od ramienia do ramienia.

– To co, chcesz go zobaczyć? – zapytała, kiedy podczas studiów przyjechała na weekend do domu. – Mój tatuaż?

– Chyba go sobie nie zrobiłaś – odparłem z pewną odrazą, że jednak się na to zdecydowała.

– Owszem. Nie martw się, przypadnie ci do gustu.

– Nie jestem pewien – uprzedziłem ją.

– A ja chętnie go zobaczę – odezwała się Livia, chociaż wiedziałem, że bardzo nie chciała, aby Marnie zrobiła sobie większy tatuaż.

Marnie ze śmiechem ściągnęła sweter i wyciągnęła rękę.

– Stchórzyłam – oświadczyła. – Uznałam, że taki będzie stosowniejszy.

Livia z aprobatą pokiwała głową.

– Na pewno.

– I co ty o nim myślisz, tato?

Spojrzałem na słowa wytatuowane piękną kursywą po wewnętrznej stronie jej przedramienia: „Anioł idący w rytm wyznaczany przez diabła”.

– Ciekawy. – Odetchnąłem z ulgą, że całość jest stosunkowo nieduża.

Ten tatuaż podsunął mi pomysł na rzeźbę dla niej. Zamierzałem zrobić anioła, ale nie takiego tradycyjnego, tylko jadącego w skórze na motocyklu. Chętnie bym się do tego zabrał, ale musiałem już iść, żeby zajrzeć do Liv, zanim wyjdzie, i zaoferować pomoc Joshowi przy rozwieszaniu balonów i dekoracjach, które kupił. No i znaleźć inną skrzynię, może na strychu. Umówiliśmy się tak, że Marnie powiadomi mnie esemesem o swoim przyjeździe, a wtedy ja wyciągnę skrzynię spod stołu i przesunę na środek tarasu. Ona – miejmy nadzieję, że niezauważenie – wślizgnie się przez boczną furtkę i schowa do skrzyni. Po zamknięciu wieka wezwę wszystkich na taras, aby byli świadkami, jak Liv otwiera prezent.

Sprytnie ze strony Marnie, że na użytek Livii wymyśliła kłamstewko o wyjeździe na weekend. Dzięki temu Livia nie będzie rozczarowana, jeśli córka przez cały dzień się do niej nie odezwie. Już nie mogę się doczekać, aby zobaczyć jej minę na widok Marnie. Lepszego prezentu byśmy jej nie sprawili.

Livia

Niosę w ręce nowe czerwone sandały, bo idąc w nich po schodach, obudziłabym Josha. Przystaję przed drzwiami jego pokoju, pod stopami czuję ciepło drewnianej podłogi. Nie słyszę żadnych odgłosów, które by świadczyły, że się porusza, ale nie dziwi mnie to. Przyjechał wczoraj późnym wieczorem, a w pociągu się uczył. Powiedział, żebym obudziła go wcześniej rano, ale chcę, żeby się wyspał.

Trzymając się poręczy, w drodze na dół pokonuję po dwa skrzypiące stopnie i przysiadam na ostatnim, żeby włożyć sandały. Na wycieracze leży stos kartek urodzinowych w kopertach. Zgarniam je i idę z nimi do kuchni, sprawdzając, od kogo są. Stwierdzam ze strasznym rozczarowaniem, że nie ma wśród nich żadnej od moich rodziców. Wbrew temu, co mówiłam wcześniej Adamowi, bardzo mi zależy, żeby zjawili się tu wieczorem, bo jeśli nie przyjadą dziś, w moje czterdzieste urodziny, nie zrobią tego już nigdy. I będę musiała się z nimi na zawsze pożegnać, choćby dla własnego zdrowia psychicznego, bo dwadzieścia dwa lata to dostatecznie długi czas, żeby wybaczyć swojemu dziecku.

Podniecenie, które udawało mi się podtrzymać od chwili, gdy Adam złożył mi życzenia, zaczyna znikać. Nawet trochę mi niedobrze, jak często na myśl o rodzicach. W kuchni nie ma śladu śniadania ani samego Adama, więc pewnie wyszedł na zewnątrz. Wczoraj było mi przykro, gdy zobaczyłam, jak daleko musiano rozbić namiot, ale jeśli mam być szczerą, w głębi duszy poczułam zadowolenie, że Nelson prawdopodobnie nie przeciśnie się przez ten odstęp. Obaj z Adamem mają zwyczaj wymykać się do szopy, żeby napić się piwa, a wieczorem naprawdę będę musiała mieć Adama pod ręką.

Rano jak zwykle należy się ode mnie Murphy'emu porcja pieśczęt. W kuchni trochę pachnie jeszcze stekami, które jedliśmy na kolację, więc otwieram okno. Wpada przez nie ciepłe powietrze. To niewiarygodne, jaki piękny dzień się zapowiada. Mogłam zaoszczędzić te kilkaset funtów, które wydałam na namiot. Z drugiej strony jednak to dobrze, że firma cateringowa ma gdzie urządzić zadaszony bufet. Przyjeżdżają o piątej, ruch zaczyna się więc dopiero za kilka godzin.

Siadam przy stole, opieram stopy na tej poprzeczce co zwykle i zaczynam czytać kartki urodzinowe. Rozlega się dzwonek do drzwi i kiedy je otwieram, widzę na progu mężczyznę trzymającego piękny bukiet żółtych róż.

– Pani Harman?

– To ja.

Podaje mi kwiaty.

– Dla pani.

– Ojej, są śliczne!

– Przed wstawieniem ich do wody proszę przyciąć łodygi o dwa centymetry – radzi. – Ale niech pani nie rozwiązuje bukietu.

– Dobrze. Dziękuję panu... – Oddała się ścieżką, zanim kończę.

Zbliżam nos do róż i wdycham ich odurzający zapach, zastanawiając się, kto je przysłał. Przez jedną krótką chwilę mam nadzieję, że może rodzice. Ale są raczej od Adama, uświadamiam sobie.

Zanoszę je do kuchni, kładę na stole i wyjmuję dołączoną do nich kartkę.

„Udanych urodzin, Mamo. Przykro mi, że na nich nie będę, ale myślami jestem z Tobą. Strasznie Cię kocham. Twoja Marnie. PS To ten bukiet, którego nie dostałaś”.

Do oczu napływają mi łzy. Nie pamiętam, abym mówiła Marnie, że chciałam iść do ślubu z bukietem żółtych róż, ale musiałam to zrobić. Wtedy przypominam sobie naszą ostatnią rozmowę, tę, którą odbyliśmy przed tygodniem, i robi mi się głupio.

Adam wybrał się wtedy na drinka z Nelsonem, a ponieważ wiedziałam, że wróci późno, skorzystałam z okazji i do niej zadzwoniłam. Zaczekałam z tym do dziesiątej; w Hongkongu była dopiero szósta rano, ale nie przejmowałam się, że może jeszcze spać.

– Mamo? – zapytała ze strachem, od razu przytomniejąc. – Czy wszystko w porządku?

– Tak, tak, w porządku – zapewniłam ją czym prędzej. – Po prostu pomyślałam, że do ciebie zadzwonię.

Usłyszałam, że czegoś szuka, może zegarka.

– Dopiero szósta rano.

– Tak, wiem, ale miałam ochotę na pogawędkę. I myślałam, że już wstałaś. Przepraszam.

– Nic się nie stało. Dlaczego nie jesteś na wizji?

– Och... sama nie wiem. Pewnie wybrałam nie tę opcję. Jak się masz?

– Jestem zagoniona. Mam dużo nauki. Kiedy wrócę do domu, chyba będę spała przez miesiąc.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

– Tak?

– Bo nie bardzo rozumiem, dlaczego chcesz zrezygnować z tej podróży. – Przeszłam od razu do rzeczy, zaniepokojona, że Adam wcześniej wróci i przyłapie mnie na próbie przekonania córki, żeby przyjechała do domu dopiero pod koniec sierpnia, jak pierwotnie planowała.

– Bo chcę zrobić to prawo jazdy. Przecież już wam tłumaczyłam!

– Ale przecież nic cię nie goni. – Wiedziałałam, że prawdziwy powód jej przyjazdu do domu nie ma nic wspólnego z egzaminem na prawo jazdy. – I tak nie stać cię teraz na motocykl.

– Czy tak uważa tata?

– Nie, ja tak uważam.

– Myślałam, że się ucieszysz z mojego wcześniejszego powrotu – odparła, zacinając się.

– Według mnie szkoda by było, żebyś nie zwiedziła całej Azji. I nie pojmuję, skąd ten pośpiech, żeby zdobyć coś, co nie będzie ci potrzebne jeszcze przez wiele lat.

– Kupiłam już bilet na samolot, więc i tak jest za późno.

– Zawsze możesz go wymienić.

Nastąpiła cisza.

– Nie chcesz, żebym przyjechała, mamó.

– Oczywiście, że chcę! – odparłam pospiesznie.

– Nie chodzi tylko o prawo jazdy. Mam jeszcze inne sprawy do załatwienia.

– To znaczy jakie? – Z trudem mówiłam spokojnym głosem.

– Inne i już. Przepraszam, mamó, ale jeśli zadzwoniłaś, aby wyperswadować mi powrót do domu pod koniec czerwca, to niepotrzebnie się trudziłaś. Chcę przyjechać i tyle.

Ostry ton jej głosu powiedział mi, że pora się wycofać. Zresztą w takiej sytuacji i tak nie mogłabym odbyć z nią rozmowy, którą musiałam prędzej czy później przeprowadzić.

– Rozumiem. I cieszę się, że cię zobaczę. – Przerwałam na chwilę, żeby wróciło porozumienie między nami. – Nie chciałam, abyś myślała, że musisz przyjechać i spędzić z nami lato... no wiesz, bo nie widzieliśmy się przez cały rok.

– Nie czuję się zobowiązana do przyjazdu, tęsknię za domem. – Zaśmiała się. – Chyba jestem większą domatorką, niż mi się wydawało.

Męczyłyśmy się jeszcze przez chwilę, ja pytałam, jakie ma plany na ten dzień, ona – jak idą przygotowania do mojego przyjęcia urodzinowego. Ale żadna z nas nie wkładała już w to serca; moje było przepełnione przecuciem nadciągającej katastrofy, a jej – ciężkie od świadomości, że matka wbrew swoim zapewnieniom nie chce, aby przyjechała do domu.

– Mam dla ciebie kartkę urodzinową – powiedziała ze smutkiem. – Wyślę ją dzisiaj. Może nie dojdź na czas, ale trudno.

– Będzie mi miło ją dostać, niezależnie od tego, kiedy dotrze – odparłam. A potem skończyłyśmy rozmowę.

Może wtedy postanowiła wysłać mi kwiaty, na wypadek gdyby jej kartka przyszła z opóźnieniem, co jednak nie nastąpiło. W chwili gdy myślę z niepokojem, ile musiały ją kosztować te róże, dobiega mnie dźwięk gitary i widzę Josha. Stoi u podnóża schodów ze zmierzwionymi włosami, jeszcze nieprzyglądzonymi wodą ani żelem. Gdy zaczyna grać *Happy Birthday* w wersji raperskiej, uświadamiam sobie, że to dzięki niemu i Adamowi, i wszystkim innym, którzy pomagali w organizacji mojego przyjęcia urodzinowego, wreszcie przestałam mieć wyrzuty sumienia i mogę cieszyć się tym dniem.

– Dziękuję! – wołam, klaszcząc w dłonie. Gdy odstawia gitarę na schody, słysząc stuknięcie drewna o drewno.

– Więc jakie to uczucie mieć czterdzieści lat? – pyta po wejściu do kuchni i podnosi mnie.

– Wspaniale! – odpowiadam ze śmiechem. – Ale jutro pewnie straci urok nowości. Odstawia mnie z powrotem na podłogę i przygląda mi się uważnie.

– Ładna sukienka.

Wygładzam spódnicę swojej białej sukienki na ramiączkach.

– Dzięki. Kupiłam ją specjalnie na dzisiejszy lunch z Kirin.

Pochyla się, żeby pogłaskać Murphy’ego.

– Jak się masz, stary? – mruczy. – Ty przynajmniej okazujesz radość na mój widok, nie tak jak Mimi. Nawet nie podeszła, żeby się przywitać. A w ogóle gdzie ona jest?

– Śpi na naszym łóżku.

– A tata?

– W swoim biurze.

Prostuje się.

– Biurze? Daj spokój, mamó, możesz nazywać to szopą, jak on.

Wzruszam ramionami i nalewam wody do czajnika. Napięcie między Adamem i Joshem przyprawia mnie o ból serca, a najbardziej ranią przytyki Josha pod adresem ojca – jego fryzury, tego, że wchodzi w średni wiek, pracuje w szopie. Adam zawsze bardzo się stara. Może zresztą o to właśnie chodzi – że stara się za bardzo.

Josh ruchem głowy wskazuje stół.

– Od kogo te kwiaty?

– Od Marnie. Czy nie są piękne?

– Wczoraj z nią rozmawiałem. – Otwiera lodówkę i wyjmuje z niej sok w kartonie. – Boleje, że nie może być tutaj dziś wieczorem.

– Wiem, mnie też jest przykro. – Zanoszę róże do zlewu i wbrew mądrej radzie dostawcy podcinam je tylko odrobinę, bo wydaje mi się, że dwa centymetry to za dużo. – Poszedłbyś po wazon do jadalni?

– Jasne.

– Więc – zaczynam, kiedy wraca – jak ci idą egzaminy?

– Jak dotąd nie najgorzej.

– Na pewno nie musisz się dziś uczyć?

Podnosi ręce nad głowę i wyciąga je, dotykając dłońmi sufitu. To zabawne, że pewne nawyki przechodzą z pokolenia na pokolenie, bo podobnie zawsze robi Adam. Koszulka Josha unosi się przy tym i odsłania jego nagi brzuch. Zbyt płaski, dochodzę do wniosku i zastanawiam się, czy odpowiednio się odżywia.

– Nie, wszystko pod kontrolą – odpowiada na moje pytanie, tłumiąc ziewnięcie. – Wczoraj wieczorem powtórzyłem trochę materiału w pociągu i jutro w drodze powrotnej też będę miał na to parę godzin. Dziś jestem wolny i mogę zrobić co trzeba.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością.

– Wybrałeś muzykę... no wiesz, taką dla każdego?

– Tak. Max pomógł mi sporządzić playlistę.

Max. Przyjaciel Josha z dzieciństwa, który stracił matkę w wieku pięciu lat i od tego czasu stanowi część naszej rodziny, jest dla mnie i Adama drugim synem, a dla Josha i Marnie – bratem. Max, którego od sześciu miesięcy unikam.

– Założę się, że goście mieli dziwaczne i wspaniałe życzenia.

– Można tak powiedzieć. Przy takiej rozpiętości wieku zawsze powstaje dziwna składanka – przyznaje, delikatnie dźgając mnie palcem w ramię na znak, że żartuje. Bierze ode mnie wazon. – Gdzie mam postawić te kwiaty?

– Na razie niech zostaną w środku, żebym mogła się nimi nacieszyć. Herbaty czy kawy?

– Herbaty. Ja zaparzę.

Siadam przy stole. Josh ma rację, wieczorem zjawia się tu przedstawiciele wielu pokoleń, od dziewiętnastoletniej córki Nelsona i Jess, Cleo, po rodziców Adama, już po siedemdziesiątce. Chcę, żeby wszyscy dobrze się bawili, więc poprosiłam każdego o podanie Joshowi swojej ulubionej piosenki, która zostanie nadana w ciągu wieczoru. W ramach zabawy będziemy próbowali przypisać kolejne utwory poszczególnym gościom.

– A co u Amy?

Josh opiera się o blat.

– Dobrze.

– Jednak nie uda jej się dziś przyjechać?

Drapie się po piersi.

– Nie. Ale rozumiem powód, osiemdziesiąte urodziny dziadka są dla jej rodziców ważniejsze od twojej czterdziestki.

– Niewątpliwie.

Przynosi mi kubek herbaty.

– Chcesz coś do jedzenia?

– Dzięki. Poczekam na twojego tatę. Obiecał, że zrobi mi śniadanie.

– Nie będzie ci przeszkadzało, że ja coś przekąszę? – Josh podchodzi do szafki, wyjmując z niej swoje płatki, wsypuje je do miski, zalewa mlekiem, bierze łyżkę z szuflady, a potem, oparty o lodówkę, zabiera się do jedzenia. Można odnieść wrażenie, że stale się o coś opiera, jakby jego ciało nie mogło samo utrzymać się w pionie. Smutek na twarzy, gdy myśli o tym, że Amy wieczorem nie przyjedzie, wcale nie ujmuje mu urody. Wygląda jak Adam w jego wieku.

Tłumię westchnienie. Martwi go nie tylko to, że nie będzie Amy.

– Kiedy porozmawiasz z tatą? – pytam.

– Niedługo.

– Musisz mu powiedzieć – kwituję, boleśnie świadoma własnej hipokryzji.

Ociera usta wierzchem dłoni.

– Wiem.

– On zrozumie.

Josh kręci głową.

– Nie – odpowiada ponuro. – Nie sądzę.

Adam

Wracam z szopy do domu i widzę przez okno, że w kuchni Livia rozmawia z Joshem. Nie stoją obok siebie – Livia siedzi przy stole, a Josh stoi oparty o lodówkę – ale czuję się jak ktoś obcy, kto ich podgląda. Może takie wrażenie odnosi Josh, kiedy patrzy na mnie i Marnie, gdy jesteśmy razem – uświadamiam sobie nagle. Zawsze sądziłem, że nie przyłącza się do nas, bo nie chce, abym myślał, że mi wybaczył. Ale może wydaje mu się, tak jak mnie teraz, że by nam przeszkadzał.

Gdy tak patrzę, skrępowany tym swoim dziwnym podglądactwem, ale nie mogąc się przed nim powstrzymać, Livia odrzuca głowę do tyłu, rozbawiona czymś, co powiedział Josh, i na ten widok się uśmiecham. Uwielbiam widzieć, że jest szczęśliwa, zwłaszcza że wiem, jak to na nią podziałało, gdy rodzice w dniu, w którym im wyznała, że bierzemy ślub, powiedzieli jej, że nigdy nie będzie. Do końca życia nie zrozumie, dlaczego się jej wyrzekli. Za każdym razem, gdy nie zjawiają się na uroczystości, na którą ich zaprosiła, pęka mi serce, bo choć ona sama mówi sobie, że nie przyjadą, zawsze mimo wszystko się ich spodziewa. Często mam ochotę wskoczyć na motocykl, odnaleźć ich w Norfolk i powiedzieć im, co tracą, nie tylko w odniesieniu do Liv, ale także Josha i Marnie, wnuków, których nie chcą znać. Powiedzieć, jaką wspaniałą mają córkę, jak bardzo ją kocham, jacy jesteśmy szczęśliwi. Ale zawsze się obawiam, że tylko pogorszyłbym sytuację.

Ostatnio jednak zdałem sobie sprawę, że gorsza dla Livii być nie może, dlatego postanowiłem napisać do jej rodziców i poprosić ich, żeby okazali serce i przyjechali na dzisiejsze przyjęcie. Dodałem, że rozumiem, jacy musieli być rozczarowani, kiedy Livia zaszła w ciążę, ale minęło już ponad dwadzieścia lat i pora sobie wybaczyć. Powołałem się na Josha i Marnie, którzy ku naszemu żalowi nie znają swoich dziadków. Załączyłem zdjęcie ich dwojga siedzących na murku w ogrodzie, zrobione przed wyjazdem Marnie do Hongkongu, i opisałem ich obszernie, to, jak żyją, czym się zajmują – wspomniałem nawet, że Marnie specjalnie przylatuje z Hongkongu na przyjęcie, aby sprawić Livii niespodziankę, bo liczyłem, że to ich przekona do przyjazdu. Spodziewałem się, że ojciec Livii natychmiast odpisze, zakazując mi dalszych kontaktów. To, że nie dostałem od niego odpowiedzi, napawa mnie nadzieją, że może jednak się zjawią.

Z zamyślenia wyrrywają mnie wibracje telefonu. Spoglądam w stronę okna, żeby sprawdzić, czy Liv i Josh nie zauważyli, że im się przyglądam, ale wciąż są zajęci rozmową.

Wyjmuję komórkę, zastanawiając się, czy to nie nowa wiadomość od Marnie. Ale nie, od Nelsona.

„Na pewno nie potrzebujesz dziś żadnej pomocy? Proszę... dzieciaki doprowadzają mnie do szału!”

Gdy pojechaliliśmy do nich w zeszły weekend, Nelson próbował opowiedzieć mi o swojej pracy, ale włązili na niego jego czteroletni synkowie, bliźniacy, a córeczka ozdabiała mu brodę wstążkami i spinkami. Bardzo lubię Nelsona, ale w tym, że role się odwróciły, jest coś głęboko satysfakcjonującego.

„Obaj wiemy, że dziś Ty opiekujesz się dziećmi. Kirin by mnie zabiła. Przykro mi!” – odpisałem.

Ruszam do domu, przygotowując się już na uczucie – chyba straty – które towarzyszy mi zawsze, gdy jestem z Joshem. Z pozoru dobrze się dogadujemy. Ale czegoś w tym brak, pewnie bliskości, której chyba nigdy między nami nie będzie.

Zawsze byłem świadom dzielącego nas dystansu, ale odczułem go w pełni tego dnia, gdy Josh wyjechał na studia do Bristolu, tam, dokąd osiemnaście lat temu przed nim uciekłem – nie umknęła mi ta ironia losu. Kiedy przyszedł się pożegnać, byli u nas Nelson i Kirin; podał mi rękę, a potem zwrócił się do Nelsona, który objął go serdecznie. Zdumiało mnie, że Josh odwzajemnił uścisk, jakby to było najbardziej naturalne na świecie. Poczułem się prawie tak, jakby to Nelson był jego ojcem, nie ja.

Wiem, że wtedy, na początku, zbyt skupiałem się na Marnie, i od tamtej pory staram się to Joshowi wynagrodzić, ale to trudne. Dlatego jestem tak idiotycznie dumny, że znalazłem mu ten staż w Nowym Jorku. Kiedy jest się stolarzem, nie ma się zbyt wielu możliwości, żeby pociągnąć za sznurki i pomóc dzieciom. Ja też tego nie zrobiłem, tyle że kiedyś przypadkiem gawędziłem z amerykańskim przyjacielem Olivera, jednego z moich klientów; facet przyszedł do mnie, żeby spytać, czy nie wykonałbym dla niego mebla do domu na Martha's Vineyard. Widział to, co zrobiłem dla Olivera, i chciał czegoś podobnego, tylko trzy razy większego. Rozmawialiśmy o naszym życiu, dzieciach i wspominałem, że Josh musi gdzieś odbyć staż na ostatnim roku studiów, najlepiej w dziedzinie marketingu cyfrowego.

– A czy myślał o tym, żeby pojechać do Stanów? – zapytał i wyjaśnił, że jest dyrektorem Digimaxu, dużej nowojorskiej firmy zajmującej się właśnie marketingiem cyfrowym, która oferuje staż studentom przed magisterium. Żeby za długo się nie rozwodzić – Josh wysłał tam swoje CV, odbył kilka rozmów telefonicznych z kimś z biura w Nowym Jorku i został przyjęty. Jest bardzo podekscytowany tym wyjazdem i cieszę się, że w przeciwieństwie do mnie wykorzystuje możliwości.

Livia

Adam przychodzi z ogrodu, zostawiając za sobą na podłodze ślad z trocin. Przyzwyczałam się do tego, już mnie to nie drażni.

– Cześć, Josh – mówi. – Dobrze spałeś?

– Tak, może być, zawsze dobrze śpię po powrocie do domu. A ty?

– Nie najlepiej. Śniło mi się, że zwiało namiot, razem z Marnie. – Zwraca się do mnie. – Śliczne róże... od kogo?

– Właśnie od niej – odpowiadam i podsuwam mu talerz z posmarowanymi masłem grzankami, bo byłam zbyt głodna, żeby na niego czekać. Bierze jedną z przepaszającym uśmiechem – przypomniał sobie poniewczasie, co mi obiecał.

– Nie miałaś zrobić mamie śniadania?

Ton głosu Josha nie brzmi oskarżycielsko, ale pytanie ma swój wydźwięk. Adam nie odpowiada, jak zwykle. Tłumię westchnienie.

– Dostałam też przemiłe kartki urodzinowe – zmieniam temat. Wskazuję ich plik na stole. Adam podchodzi i przerzuca je jedną ręką, w drugiej trzyma tost.

– Powinnaś zrobić z nich wystawkę – zauważa. – Nacieszyć się nimi.

– Tata ma rację. – Josh bierze kartki od Adama i ustawia je na blacie. – Prezenty wieczorem, dobra, mamó?

– Oczywiście.

Na wzmiankę o prezentach Adam robi się niespokojny. Wczoraj wspomniał, że musi rano pojechać do Windsoru, więc się domyślam, że jeszcze niczego dla mnie nie kupił. Przed kilkoma tygodniami napomknęłam o pięknej skórzanej torebce, ale była dość droga, dlatego mam nadzieję, że nie zwrócił na to uwagi. Miałabym wyrzuty sumienia, gdyby wydał tyle pieniędzy na coś takiego.

Patrzę na niego, jak opiera się o blat i pije drugi kubek kawy, próbując nawiązać z Joshem rozmowę o ustawieniu stołów – to ich przedpołudniowe zadanie – i rozwieszeniu lampek. Zauważam, że wygląda na zmęczonego, i ogarnia mnie fala czułości. Przez ostatnie cztery lata ciężko pracował – właściwie przez większość swojego życia – i liczy, że gdy Josh skończy studia, będzie lżej. Presja zmaleje, kiedy do opłacenia zostanie tylko jedno chesne i akademik.

Po ślubie obiecywaliśmy sobie, że gdy tylko się da, podejmiemy dalszą naukę. Adam pójdzie na inżynierię wodno-łądową, a ja na prawo. To nie z braku czasu, pieniędzy ani

ambicji Adam się nie kształcił; po prostu zdał sobie sprawę, że uwielbia stolarkę i rzeźbienie. W pracy z drewnem jest coś cudownie organicznego – twierdzi – co daje poczucie spokoju i zadowolenia.

Przez te wszystkie lata stworzył wspaniałą firmę. Bywa trudno pod względem finansowym, bo nie zawsze wiadomo, kiedy pojawią się pieniądze, a wykonanie mebla potrafi zająć całe tygodnie. Ale wyrobił sobie markę jako rzemieślnik i może dyktować ceny. Zamówienia przychodzą z całego świata – choćby w tym roku zrobił piękne rzeźbione biurka dla klientów z Norwegii, Japonii i Stanów. Każde jest unikatowe, a niektóre stanowią nie lada wyzwanie, jak w przypadku klienta, który zażyczył sobie komodę wysokości prawie dwóch metrów i szerokości metra, mającą w każdej szufladzie po kilka tajnych skrytek. Albo tego, który poprosił o drewniany powóz dla jednego ze swoich dzieci, z możliwością zaprzęgnięcia kucyka. To zamówienie pozwoliło opłacić większość kosztów związanych z pobytem Marnie w Hongkongu.

Ja zaczęłam studiować prawo na uniwersytecie otwartym, gdy Marnie miała dziesięć lat. Dyplom uzyskałam po sześciu latach, a po następnych dwóch mogłam już praktykować, co nastąpiło w odpowiednim momencie, bo właśnie tego roku Marnie wyjechała na studia. Uwielbiam swoją pracę i dzięki niej nie musimy już tak bardzo martwić się o pieniądze. Adam za nic nie chciał, aby nasze dzieci zaciągały pożyczki na opłacenie studiów, co oznacza, że mamy co miesiąc duże wydatki. A także że pracuje przez sześć dni w tygodniu po wiele godzin. Mimo to nasza sytuacja finansowa tak się poprawiła od czasów, gdy się pobraliśmy, że czasami muszę się szczypać, aby w to uwierzyć.

– O której przyjedzie Kirin? – pyta Josh, kończąc rozmowę z Adamem, chyba o jakimś pudle.

Spoglądam na zegarek.

– Lada chwila.

– Nelson przysłał mi esemesa. Chciałby do nas wpaść – mówi Adam z pogodną nutą w głosie. – Chyba próbuje się wykręcić od opieki nad dziećmiakami.

– Nie jestem zdziwiona. Wie, że Kirin zabiera mnie dziś na lunch. – Rzucam mu rozbawione spojrzenie. – Mógłbyś podskoczyć i mu pomóc. Josh na pewno sam sobie poradzi.

Adam krzywi się wymownie.

– Nie, dzięki. Mam już za sobą okres niańczenia dzieci, teraz jego kolej.

– Widzisz, tato? – odzywa się Josh. – Wczesne ojcostwo ma jednak swoje zalety.

– Poza tym, że musisz zrezygnować z życia?

Wiem, że to miał być żart, ale cała sztywnieję, gdy przez twarz Josha przechodzi cień, a z miny Adama wynika, że chciałby cofnąć to, co powiedział.

– Mamo, lepiej idź po swoje rzeczy – zwraca się do mnie Josh. Przechodzi na drugą stronę kuchni i w ten sposób fizycznie dystansuje się od ojca.

Biegnę na górę po telefon, a po drodze wstępuję do łazienki, żeby umyć zęby i umalować usta. Cieszę się, że wyrwę się na jakiś czas z domu i zobaczę Kirin – na chwilę zapomnę o tym, co się dzieje. Myślałam, żeby spędzić cały dzień w spa, ale uznałam, że to byłaby przesada, a poza tym w głębi duszy nigdy nie lubiłam, kiedy ludzie zanadto się na mnie skupiali. Zresztą sama potrafię zrobić sobie manikiur i ułożyć włosy. I przecież to nie jest dzień mojego ślubu.

Jestem zadowolona, że udało mi się znaleźć dla Adama prezent. Zamierzam mu go wręczyć wieczorem, w ramach podziękowania za to, że zawsze wspierał mnie w sprawie przyjęcia, nigdy nie próbował mnie odwozić od tego pomysłu. Trudno było znaleźć coś odpowiedniego: jego pasje to czarno-białe filmy, motocykle i mosty, a to nie stwarza wielkiego pola do popisu. Ale kilka tygodni temu, gdy byłam w Windsorze podczas przerwy na lunch, zauważyłam na wystawie agencji turystycznej ofertę tanich lotów do Bordeaux i Montpellier. Na jednym ze zdjęć reklamowych widniał wiadukt Millau, który jak dobrze pamiętałam, widzieliśmy na filmie dokumentalnym o osiągnięciach inżynierii. Adam był tym wiaduktem zafascynowany, mówił, że chciałby być jednym z jego budowniczych i że któregoś dnia chętnie zobaczyłby go na własne oczy. Uświadomiłam sobie, że trafił mi się idealny prezent, pod wpływem impulsu weszłam więc do środka i zabukowałam dwa bilety na samolot do Montpellier, a potem zarezerwowałam cztery noclegi w pięknej oberży w centrum Millau z fantastycznym widokiem właśnie na ten wiadukt.

Wyjeżdżamy w tym tygodniu: wylatujemy we wtorek, a wracamy w sobotę. Adam jeszcze o tym nie wie, bo to ma być niespodzianka. Będzie się niepokoił, że urywa się z pracy, gdy piętrzą się zamówienia, wiem o tym, ale zasłużył na urlop. Zamierzam podarować mu folder z biletami na samolot i zdjęcie wiaduktu Millau dziś wieczorem, gdy w krótkiej mowie będę dziękowała wszystkim za przybycie. Należą mu się podziękowania bardziej niż komukolwiek innemu. Musiał przez lata żyć z perspektywą mojego przyjęcia i gdyby wiedział, ile rzeczy przed nim ukrywałam i ile faktów nagięłam, żeby wypadło tak, jak chcę, byłby wstrząśnięty.

Wrzucam szminkę do torebki i wychodzę na dwór, żeby tam poczekać na Kirin. Przekonanie Adama, żebyśmy kupili ten dom, a nie tamten duży, nowoczesny, który bardziej mu się podobał, to jeden z przykładów, w jaki sposób nim manipuluję. Nie czuję się z tym nie w porządku tylko dlatego, że pokochał go tak samo jak i ja i nigdy nie żałował, że to na niego się zdecydowaliśmy.

Zobaczyliśmy go po raz pierwszy w roku, w którym urodziła się Marnie. Wynajmowaliśmy wtedy ciasne mieszkanie z dwiema sypialniami i zdawaliśmy sobie sprawę, że gdy mała wyrośnie z łóżeczka, które wcisnęliśmy w naszym pokoju między szafę a ścianę, nie będzie miała gdzie spać. Wstawienie piętrowego łóżka do pokoiku Josha nie wchodziło w grę. Kiedy obliczyliśmy, że rata kredytu hipotecznego wyniesie mniej więcej tyle samo, ile koszt wynajmu większego mieszkania, rodzice Adama zaproponowali,

że pożyczą nam pieniądze na zadatek. To uratowało nam życie, zwłaszcza gdy wspomnieli, że nie musimy od razu spłacać długu, że możemy to zrobić, kiedy poprawi nam się finansowo.

Obejrzelśmy wiele domów i wybraliśmy dwa, nowo wybudowany i właśnie ten. Tamten nowy, na działce poza Windsorem, był obszerniejszy. Miał dodatkową sypialnię i większą kuchnię, no i był w idealnym stanie. W przeciwieństwie do niego ten ponadstuletni domek wymagał wielu prac remontowych. Ale od razu się w nim zakochałam, bo miał piękny ogród, w którym już było mnóstwo kwiatów i krzewów. To doskonała sceneria dla ślubu i wesela – stwierdziłam, patrząc na porośniętą powojnikiem pergolę w rogu. A potem pomyślałam o przyjęciu, które miałam nadzieję wydać na swoje czterdzieste urodziny, tak jeszcze odległe, że planowanie go było śmieszne – zdawałam sobie z tego sprawę. Ale nie mogłam sobie darować.

– Marnie nie mogłaby zrobić pierwszych kroków w śliczniejszym miejscu – powiedziałam do Adama, celując w jego piętę achillesową, bo widziałam, że skłania się ku łatwiejszej opcji, jaką był całkiem nowy dom. – Pomyśl, jaką będzie miała tu frajdę podczas zabawy w chowanego. O czymś takim nie byłoby mowy na tamtym wydłużonym prostokącie, na którym jeszcze nawet nie wyrosła trawa.

To przesądziło sprawę, tak jak się spodziewałam. Gdybym wspomniała, że Josh miałby więcej miejsca na grę w piłkę, nie byłoby to takie przekonujące. Dręczyło mnie sumienie, bo Adam miał ochotę zająć dodatkowy pokój w nowo wybudowanym domu i urządzić w nim warsztat. Ale ogród szybko zdobył jego serce, tak jak moje.

Odmalowaliśmy ściany na biało i odnowiliśmy stare dębowe podłogi, a po kilku latach Adam zbudował sobie na końcu ogrodu dużą szopę, dzięki czemu przestało mnie nękać poczucie winy, że nie ma warsztatu. I wiedziałam, że kiedy wieczorem zaświecą się lampki na drzewach, ogród będzie wyglądał tak, jak to sobie wyobraziłam wtedy, przed laty.

Adam

Opuszczam pudło, w którym kiedyś coś dostarczono, nie pamiętam co, i podaję Joshowi, który stoi niżej w holu.

– A to do czego? – pyta.

Schodzę z drabiny i wsuwam ją z powrotem na strych. Nie mogę mu wyjawić prawdziwego powodu, więc uciekam się do przygotowanej odpowiedzi.

– Wiesz, że kupiłem dla mamy pierścionek? – Kiwa głową. – Domyśliłaby się po rozmiarze opakowania. Więc zamierzam schować puzderko z pierścionkiem do tego pudła, żeby miała większą niespodziankę.

– W takim razie może znaleźć cały zestaw pudełek, które dałoby się powkładać jedno w drugie? Zostało ich mnóstwo po tosterach i tym podobnych, a ja mam pudełko po butach. Do niego włożylibyśmy puzderko z pierścionkiem. – Jego entuzjazm rośnie. – Albo wsunęlibyśmy je do rolki po papierze toaletowym i wsadzilibyśmy do pudełka po butach. Wtedy za nic by się nie domyśliła!

– Nie, tylko to jedno pudło.

– Ale skoro niespodzianka ma być większa?

– Nie, chcę schować pierścionek do tego pudła i już. – Biorę je i stawiam pionowo, żeby dało się je znieść po schodach. – Pomożesz mi owinąć je papierem?

– A czy puzderko będzie tłuc się w środku? Trzeba by wypełnić pozostałą przestrzeń gazetami.

– Nie, nic mu się nie stanie. – Josh idzie za mną do kuchni. Tam rzucam pudło na podłogę. – Opakujmy je. Gdzieś tu powinien być papier.

– A nie lepiej to zrobić po włożeniu pierścionka? – dopytuje. – Wtedy będzie można pudło porządnie zakleić.

– Nie chcę go zaklejać.

– Dlaczego?

– Bo wtedy za długo będzie je otwierała.

Drapie się po głowie.

– Myślałem, że zależy ci, aby zwiększyć napięcie.

Zaczynam żałować, że poprosiłem go o pomoc.

– Tak, ale nie za bardzo.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz wieczorem. Na razie niech będzie po mojemu.

– Dobra, bo nigdy nic nie jest po twojemu. – Mówi to tak rzeczowo, jakby naprawdę uważał, że wszystko, co robię w życiu, wynika z obowiązku, nie z wyboru.

Uśmiecham się do niego przelotnie.

– I tak mi odpowiada.

Jego milczenie zdradza, że mi nie wierzy. Sięgam nad jedną z szafek kuchennych, znajduję rulony ozdobnego papieru, które Liv tam trzyma, i zabieramy się do owijania pudła.

– Co u Amy? – pytam, przerywając ciszę, która ciąży nam obu.

– Wszystko dobrze. Strasznie żałuje, że nie będzie na przyjęciu. Kiedy wsadzisz tam pierścioneł?

– Pojadę po niego, gdy zestawimy stoły.

To niewiarygodne, ile czasu zajmuje nam dwóm owinięcie pudła. Liv zrobiłaby to o wiele sprawniej, i to w pojedynkę.

– Mam nadzieję, że ze stołami pójdzie łatwiej niż z tym – rzuca Josh. Rozgląda się. – Gdzie zamierzasz to wstawić?

– Pod stół na tarasie. Ale będę musiał z tym poczekać, aż ludzie z firmy cateringowej rozłożą obrusy, bo nie chcę, żeby mama coś zauważyła.

– Wróci przed ich przyjazdem. – Zastanawia się przez chwilę. – Mam kilka tych zestawów imprezowych, z balonami, serpentynami i tak dalej, a w każdym jest też papierowy obrus. Możemy je posklejać i przykryć nimi stół.

– Dobry pomysł – odpowiadam i uśmiecham się do niego.

Idzie po nie i po sklejeniu rzeczywiście przykrywają stół aż do ziemi. Wsuwamy pod niego pudło.

– Doskonale – stwierdzam z ulgą, że to mam z głowy. Brak drewnianej skrzyni nie wydaje się już tak dotkliwy. – A teraz stoły.

Bierzemy spod ściany stoły na kozłach, dwanaście sztuk, cztery z nich stawiamy w namiocie, a pozostałe na trawniku.

– Krzesła teraz czy później? – pyta Josh.

– Możemy teraz.

Ustawiamy przy każdym stole po dziesięć krzeseł i gotowe. Sprawdzam, która godzina: jest za dwadzieścia dwunasta, za wcześnie na piwo.

Spoglądam na Josha.

– Piwko?

– Chyba zasłużyliśmy. Zostań, ja przyniosę.

Chociaż mam bliżej do kuchni niż on, wiem, że nie ma co się sprzeciwiać. Josh, jeśli tylko może, nie pozwoli, żebym go w czymś wyręczył. Nie podoba mu się nawet to, że opłacam jego studia, i zapowiedział, że zwróci mi za nie co do pensa. Dlatego to, że zgodził

się pojechać na ten staż, tyle dla mnie znaczy. Naprawdę byłem przygotowany, że odmówi, bo ja mu go załatwiłem.

Wraca z dwiema butelkami piwa i Murphym. Siadamy na murku, żeby je wypić, a Murphy sadowi się u naszych stóp. Wtedy nagle pojawia się między nami to dziwne napięcie, więc usiłuję coś powiedzieć.

– Wkrótce wyjedziesz do Nowego Jorku. Będę za tobą tęsknił – rzucam, zaskakując samego siebie, ponieważ nigdy dotąd nie powiedziałem mu nic równie serdecznego. Spodziewam się, że zareaguje odrzuceniem, ale ku mojemu zdziwieniu atmosfera się rozluźnia.

– Naprawdę?

– Tak, oczywiście.

Powoli kiwa głową, jakby potrzebował czasu, żeby to przetrwać.

– Pamiętasz, jak przed chwilą powiedziałeś, że niczego byś nie zmienił? To prawda?

Powietrze wokół nas nieruchomieje, jakby wszyscy i wszystko, od ptaków na drzewach aż po sąsiadów strzygących trawniki, zdali sobie sprawę z powagi jego pytania i wstrzymali oddech, licząc, że skorzystam z tej jedynej w życiu okazji – bo nigdy nie byliśmy tego tacy bliscy i może już nie będziemy – aby naprawić stosunki między nami. Co się takiego stało – zachodzę w głowę – że Josh postanowił wyciągnąć do mnie rękę, jeśli tak mam to rozumieć? Czy przyczyną jest to, że niebawem wyjedzie do Stanów i być może nie będziemy się widzieli przez rok?

Murphy podnosi łeb i patrzy na mnie z miną „Tylko znowu wszystkiego nie schrzań”. Przypominam sobie uwagę, którą Josh rzucił rano, o dobrych stronach wczesnego ojcostwa, i jego chmurny wyraz oczu, kiedy zbyłem ją żartem.

– Nie – odpowiadam. – Nieprawda. Coś bym zmienił, gdybym tylko mógł.

– Co takiego? Nie ożeniłbyś się z mamą? Oddałbyś mnie do adopcji? – Wyciąga przed siebie długie nogi i choć w jego głosie brzmi żartobliwa nuta, wiem, że pyta poważnie.

Patrzę na niego z uwagą. Ma taki sam kolor włosów jak ja, zanim zacząłem siwieć, i podobne rysy twarzy, z lekko zakrzywionym nosem.

– Nie, Josh – odpowiadam. – Nic z tych rzeczy.

– Więc co?

– Ożeniłbym się z twoją mamą, ale później, po studiach.

– Mógłbyś na nich poznać inną dziewczynę. A mama w tym czasie mogłaby poznać innego chłopaka.

Pociągam łyk piwa, bo często się nad tym zastanawiałem. Livia i ja znaleźliśmy się zaledwie kilka miesięcy i gdyby nie zaszła w ciążę, może w ogóle nie byłibyśmy razem. Na pewno nie figurowałem w jej długoterminowych planach, tak jak ona nie figurowała w moich, a to dlatego, że po prostu żadne z nas nie wybiegało myślą tak daleko. A jednak, po tych pierwszych trudnych latach, jesteśmy ze sobą szczęśliwi, bardzo szczęśliwi.

– Hm, twoja mama jest kobietą mojego życia, więc i tak na pewno byłibyśmy parą.

– Ale nie mielibyście mnie.

– Oczywiście, że byśmy mieli.

– Nie. Gdybyś ożenił się z mamą później, może urodziłby się wam syn, ale to nie byłbym ja. Jestem taki, jaki jestem, bo zostałem poczęty i przyszedłem na świat w tym, a nie innym czasie.

To jedna z tych chwil, kiedy mam wrażenie, że widzę swoje lustrzane odbicie. Na twarzy ma wypisaną urazę, tak jak ja. Nawzajem ranimy się do krwi – uświadamiam sobie.

Wracam pamięcią do dnia, w którym budował fort z klocków Lego i stale prosił mnie o pomoc, co zaczęło mnie złościć.

– Tato, potrzebuję pomocy tylko przy tym ostatnim elemencie – powiedział po raz piąty.

– Z całą resztą poradziłem sobie sam, tak jak mi mówiłeś.

– To dla niego za trudne – powtarzała mi Marnie, kiedy go ignorowałem. – Jeszcze do tego nie dorósł.

Josh jednak nie ustawał i zamiast go pochwalić, zburzyłem fort, bo straciłem panowanie nad sobą.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała Marnie niegramatycznie, patrząc z przerażeniem na rozsypane klocki.

– To było... niechcący – skłamałem.

Spojrzenie, które mi rzuciła, pełne niesmaku, przypomniało mi inne, tamto, którym witała mnie Livia, gdy w końcu, po całych dniach spędzanych w Bristolu z Nelsonem, wracałem do domu.

– Nie, zrobiłeś to specjalnie, widziałam! Wyszedłeś z siebie i cię poniosło. – Wykonała zamaszysty ruch ręką. – Jesteś okropny, już cię nie lubię! – Odwróciła się ode mnie i podeszła do Joshua. – Nie płacz – powiedziała do niego, wyciągnęła ręce i objęła go w pasie. – Pomogę ci zbudować go od nowa.

Zbliżyłem się, przykucnąłem obok niego, przeprosiłem go i zaproponowałem, że odbuduję z nim fort. Ale on nie zwracał na mnie uwagi.

– Zostaw go, tato, już za późno! – zawołała Marnie.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem w drzwiach Livię, w jej oczach błyszczały łzy. Nie łzy frustracji, które widywałem we wczesnym okresie naszego małżeństwa, ale rozpacz. I zacząłem się zastanawiać, jak długo tam stoi i ile widziała.

– Tak dalej być nie może – odezwała się drżącym głosem. – Naprawdę. – I dotarło do mnie, że ma rację.

Starałem się, ale Josh ledwie się do mnie odzywał. Zachowywał rezerwę, która zaczęła mi przeszkadzać, i nie chciał niczego ode mnie. A nasze rozmowy z biegiem lat zaczęły wyglądać tak:

– Josh, nie potrzebujesz pomocy przy tym projekcie z dinozaurami?

– Nie, dziękuję, tato.

– Josh, pomóc ci pomalować rower?

- Nie, dziękuję, tato.
- Josh, może razem przeniesiemy to łóżko?
- Poradzę sobie sam, dzięki.
- Josh, mam ci pomóc z tymi podaniami na studia?
- Nie, nie trzeba.
- Josh, kiedy przewożymy twoje rzeczy do Bristolu?

– W porządku, tato, Nelson pożyczy mi swojego vana.
I nic więcej, tylko ciągła bariera między nami, której do tej pory nie udało nam się przełamać. Aż do tej chwili, jeśli tylko znajdę odpowiednie słowa.

Pochyliłam się i drapię Murphy’ego.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że wtedy zburzyłem ci fort.
- To było strasznie dawno temu, tato.
- Być może. Ale wciąż wisi między nami.
- Wyłącznie w twoim odczuciu. Rozwaliłeś mój fort i już. Nie uderzyłeś mnie ani nic takiego. To ty musisz sobie odpuścić.

Nie jestem w stanie na niego spojrzeć.

- Ale wciąż masz do mnie żal z tamtego powodu.
- Nie, mam żal, ponieważ obchodzisz się ze mną jak z jajkiem. Dlatego wbijam ci szpilki... usiłuję wywołać jakąś twoją reakcję. Chcę tylko, żeby było między nami normalnie.
- Nie jestem pewny, czy wiem, jak to jest „normalnie”.
- Właśnie tak jak teraz, tato. Kiedy popija się razem piwo, gawędzi się i jest się ze sobą szczerym.

Czy to naprawdę takie proste? – mam wątpliwości.

- Zresztą jestem zadowolony, że zburzyłeś mi tamten fort – ciągnie.
- Prostuję się.
- Jak to?
 - Bo inaczej nie mielibyśmy Murphy’ego. Dlatego mi go kupiłeś, prawda? Miała to być ręka na zgodę.
 - Tak.
 - Tylko nie powiedziałaś mi o tym wtedy. Myślałem, że po prostu kupiłeś mi psa, zwłaszcza że tydzień później sprawiłeś Marnie kota.

– Tylko dlatego, że ciągle domagała się własnego zwierzaka. Czy... czy to coś by zmieniło, gdybym powiedział, że Murphy ma ci wynagrodzić zburzenie fortu?

– Może. Bo jeśli ściskasz wyciągniętą do siebie rękę, to znaczy, że nie żywisz już urazy. Porozumiewanie się, tato, porozumiewanie się to klucz do wszystkiego.

Przez jakiś czas siedzimy w milczeniu i dopijamy piwo.

– Cieszę się, że przyjąłeś tę propozycję stażu w Nowym Jorku – mówię, bo postanawiam wyrazić, ile to dla mnie znaczy.

– Fajnie – odpowiada. – Jeszcze po piwku?

– Czemu nie.

Siedzę i czekam, żeby poszedł po piwo.

– No to idź – rzuca, dając mi kuksańca.

– Co?

– No, skocz po piwo. Teraz twoja kolej.

Taka mała rzecz. Gdy jednak idę do kuchni, czuję się fantastycznie.

Livia

Kirin skręca z głównej drogi w naszą dobrze znaną uliczkę, a wtedy serce zaczyna bić mi szybciej.

– Co tu robimy? – pytam, starając się ukryć przerażenie.

Kirin się śmieje.

– Zabieramy Jess, oczywiście!

– To ona jedzie z nami?

– No! Chciałyśmy ci zrobić niespodziankę.

Przez chwilę trawię tę wiadomość i staram się zapanować nad emocjami. Cieszę się oczywiście, że bierzemy ze sobą Jess, nie ma co do tego wątpliwości, to moja stara przyjaciółka. Ale sprawy się komplikują.

– Dobrze się będzie czuła? – pytam Kirin. – Nie zmęczy się za bardzo?

– Nic jej nie będzie. Ale nie chce już prowadzić, dlatego po nią jedziemy.

Kiedy zajeżdżamy przed dom Jess, biorę torebkę i grzebię w niej. Nie wiedziałam, że Jess nie siada już za kierownicą, i mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Ale jak miała mi o tym powiedzieć, skoro nie widziałyśmy się od tygodni?

– Muszę wysłać esemesa – wyjaśniam przepraszająco i wyjmuję telefon.

Kirin odpina pas bezpieczeństwa.

– Nie ma problemu, pójdę po nią.

Pochylam głowę nad telefonem, rejestrując odgłos jej kroków, gdy oddala się ścieżką. Rozlega się stłumiony dźwięk dzwonnka i na chwilę mimowolnie wstrzymuję oddech. Potem słyszę, jak Jess mówi „Cześć”, drzwi frontowe zamykają się za nią i obie idą ścieżką do samochodu, gawędząc z podnieceniem. Dopiero wtedy wysiadam z wozu.

– Jess! – wykrzykuję, gdy podchodzi, ciężko opierając się na lasce. Ściskam ją, uważając, żeby jej nie przewrócić.

– Najlepsze życzenia urodzinowe! – odpowiada, odwzajemniając mój uścisk.

– Dziękuję. Jak miło cię widzieć!

– Minęło trochę czasu – rzuca łagodnie.

– Wiem i przepraszam. Naprawdę miałam dużo roboty, z przyjęciem i tak dalej. Pomogę ci wsiąść.

– Mogę siedzieć z tyłu – protestuje.

– Nie wygłupiaj się, zajmiesz miejsce z przodu. – Ujmuję ją pod ramię i pomagam jej usadowić się na fotelu. Wydaje się bardziej krucha, niż zapamiętałam, i ogarnia mnie niepokój.

Znam Jess od lat. Chodziłyśmy razem do szkoły i gdy poznałam na imprezie Adama, byłam z nią. Adam przyszedł z Nelsonem i chociaż Nelson bez przerwy dowcipkował, od razu przyciągnęło mnie do Adama, nie tylko dlatego, że był niezwykle przystojny i wyglądał zupełnie inaczej niż chłopcy w jego wieku, ale też dlatego, że gdy do mnie mówił, patrzył mi prosto w twarz. Jego oczy zawsze działały na mnie hipnotyzująco; są w pięknym odcieniu szarości i Marnie miała to szczęście, że je po nim odziedziczyła.

Pod koniec wieczoru umówiliśmy się we czwórkę na następny weekend i nie mogłam się doczekać, kiedy znowu go zobaczę – dopóki Jess nie spytała, czy będę miała coś przeciwko, jeśli będzie w parze z Adamem. Jej też musiał patrzeć w oczy, uświadomiłam sobie ze smutkiem. Jednak uznałam, że lepiej widywać go z Jess niż nie widywać w ogóle, a poza tym Nelson to zabawny kompan. Zresztą chodziło tylko o jeden wieczór. Wybraliśmy się do klubu – na co rodzice, gdyby wiedzieli, na pewno by mi nie pozwolili – i w pewnej chwili znalazłam się z Adamem sama. Później się przyznał, że zgodził się pójść na to spotkanie pod warunkiem, że Nelson zajmie się Jess, a on będzie mógł pobyć ze mną.

Jak to bywa w życiu z jego niespodziewanymi zwrotami, Jess jest obecnie żoną Roba, młodszego brata Nelsona. Ich córka Cleo to najlepsza przyjaciółka Marnie, ja zostałam jej matką chrzestną, a Jess matką chrzestną Marnie, więc stanowimy razem wielką szczęśliwą rodzinę. Jednak dwa lata temu u Jess zdiagnozowano stwardnienie rozsiane.

– Wszyscy na miejscach? – pyta Kirin, uruchamiając samochód.

– Tak – odpowiadam i zapinam pas. – To naprawdę urocza niespodzianka. Nie mogłabym milej spędzić urodzin niż z dwiema najlepszymi przyjaciółkami.

Może nie znamy się z Kirin tak długo jak z Jess, ale odkąd Nelson przedstawił ją mnie i Adamowi, stała się nam naprawdę bliska. Były takie czasy, kiedy zastanawialiśmy się z Adamem, czy Nelson kiedykolwiek się ożeni. I wreszcie się na to zdecydował, w wieku trzydziestu czterech lat, czyli wcale nie tak późno, tylko nam się tak wydawało, bo sami byliśmy małżeństwem z piętnastoletnim stażem. To także stało się szybko. Bez wątplenia połączył ich szalony romans, ale wcale mnie to nie dziwi. Kirin jest nie tylko niezwykle miła, ale także niezwykle piękna, ma długie ciemne gładkie włosy i oliwkową skórę, dziedzictwo hinduskiego pochodzenia.

Adam chyba przyjął z ulgą, że Nelson nie jest już kawalerem. Na początku było mu trudno, gdy widział, jak Nelson odjeżdża na swoim harleyu davidsonie z kolegami z klubu motocyklowego, podczas gdy on zabiera Josha i Marnie na pływalnię, do parku czy na wędrownki. Nawet po tym, jak Nelson i Kirin się poznali, ich i nasze życie codzienne bardzo się różniło, bo oni mogli robić, co chcieli, chodzić, gdzie chcieli, i nie musieli myśleć o nikim innym. Później urodziły im się bliźniaki, a po nich Lily i teraz Nelson nigdzie się bez nich nie rusza, chyba że w niedzielne poranki, kiedy jeździ motocyklem na wybrzeże.

– Rob pytał, czy Adam wybiera się jutro na przejażdżkę – mówi Jess, przerywając tok moich myśli – To znaczy jeśli w ogóle położycie się tej nocy.

– Wątpię, żeby niewyspanie powstrzymało Adama przed tym, co najbardziej lubi – odpowiadam krótko. A potem mam ochotę kopnąć samą siebie, bo zabrzmiało to tak, jakbym nie chciała, żeby Adam pojechał na przejażdżkę, a wcale tak nie jest.

To prawda, że motocykle były kiedyś kością niezgody między nami, ale tylko przez to, co wydarzyło się na początku naszego małżeństwa. Kiedy Josh miał kilka miesięcy, wyprowadziliśmy się od rodziców Adama, gdzie mieszkaliśmy po ślubie, i przenieśliśmy się do własnego mieszkania. Pieniądzy było mało, ponieważ wszystko, co zarobił Adam, szło na dziecko, więc żeby podreperować budżet, zaczęłam brać prasowanie. Ludzie w drodze do pracy podrzucali w koszykach pogniecione pranie, a w drodze powrotnej do domu odbierali je starannie wyprasowane. Brałam tylko dwa koszyki dziennie, ale dziesięć tygodniowo pozwalało nam związać koniec z końcem, bo pan Wentworth, próbując skłonić Adama, żeby regularnie przychodził do warsztatu, płacił mu tylko za przepracowane godziny. A to oznaczało, że pensja, jaką dostawał Adam, była różna i czasami nie starczało nam na opłacenie czynszu.

Po kilku miesiącach, nie mówiąc nic Adamowi, ze stu funtów, które dorabiałam sobie co tydzień, zaczęłam odkładać po dziesięć do pudełka na buty, trzymanego na dnie szafy. Brakowało mi wakacji, na które zabierali mnie rodzice, i żeby zrobić jemu i Joshowi niespodziankę, chciałam wynająć domek w Kornwalii.

Pewnej soboty, gdy zaczęłam myśleć o zarezerwowaniu domku – bo po dwóch latach zaoszczędziłam wystarczającą sumę – już w zaawansowanej ciąży z Marnie wróciłam z supermarketu i zobaczyłam na ulicy przed naszym mieszkaniem zaparkowany motocykl. Sądząc, że jest u nas Rob, bo wiedziałam od Jess, że właśnie kupił sobie motor, dotknęłam maszyny i stwierdziłam, że jest jeszcze gorąca. Byłam zadowolona, że dopiero co przyjechał; bo gdyby zjawił się wcześniej, obudziłby Josha z popołudniowej drzemki. Ale w mieszkaniu zastałam tylko Adama, siedział na kanapie i po jego minie od razu się zorientowałam, że coś jest nie tak.

– A gdzie Rob? – zapytałam, stawiając torby z zakupami na podłodze.

– Wyszedł.

Położyłam sobie ręce na karku, żeby go rozmasować.

– Czy to nie jego motocykl stoi na dole?

– Nie. – Zrobił przerwę. – Mój.

– Twój?

– Właśnie.

Zdziwiona usiadłam naprzeciwko niego.

– Nie rozumiem. Stać cię na motocykl? – Nic nie odpowiedział i serce zamarło mi w piersi. – Proszę, tylko mi nie mów, że wziąłeś pożyczkę. Chyba się umówiliśmy: żadnych pożyczek, kupujemy tylko to, na co możemy sobie pozwolić.

Oparł głowę na kanapie.

– Och, nie martw się, stać nas.

Popatrzyłam na niego zdumiona jego zachowaniem. Czyżby moi rodzice spuścili z tonu i przysłali nam czek albo coś takiego? Kiedy się okazało, że znowu jestem w ciąży, napisałam do nich z pytaniem, czy mogliby wznowić wypłatę sumy należącej mi się z pieniędzy zostawionych przez babcię. Ojciec odmówił, twierdził, że babcia tak samo by się mnie wstydziła jak oni. Nie przypuszczałam, żeby zmienili zdanie, a nawet gdyby tak się stało, wypłata byłaby na moje nazwisko, więc Adam nie miałby do niej dostępu. Może więc jego rodzice coś dali?

– Rodzice pożyczyli ci pieniądze?

– Nie – odparł ze wzrokiem utkwionym w sufit.

– Premia od pana Wentwortha?

Prychnął.

– Chciałbym.

– Może byś ją dostał, gdybyś pokazywał się w pracy częściej! – odcięłam się. – Przestań grać, Adam. Skąd wziąłeś tę forszę?

Opuścił głowę i spojrzał mi w oczy.

– Dobrze wiesz skąd.

Dopiero po chwili się zorientowałam, co miał na myśli. Pobiegłam do sypialni i zobaczyłam na łóżku otwarte pudełko po butach. Została w nim tylko garść monet jedno- i dwufuntowych. Kiedy ostatnio liczyłam jego zawartość, wynosiła ponad tysiąc funtów. A teraz było ledwie dziesięć. Przerazona, że Adam mógł zrobić coś takiego, wzięłam pudełko i z nim wróciłam.

– Jak śmiałeś?! – zawołałam. – Jak śmiałeś ukraść moje pieniądze?!

W jednej chwili zerwał się na nogi.

– Jak ty śmiałaś?! – odciął się gwałtownie, zbliżając twarz do mojej. – Jak śmiałaś chować przede mną forszę, wiedząc, że bardzo zależy mi na motocyklu?!

– Dopiero od czasu, gdy Rob go sobie kupił! Wcześniej nie wspominałeś, że chcesz mieć motocykl!

– Bo myślałem, że nie będę mógł sobie na niego pozwolić, mając dziecko na wychowaniu! Ale wtedy Rob mnie oświecił, powiedział mi, że nie mam na motocykl, bo ukrywasz przede mną pieniądze. To kiedy zamierzałaś ode mnie odejść?

Spojrzałam na niego.

– O czym ty mówisz? Czy mówiłam kiedyś, że chcę od ciebie odejść?

– To po co byś miała zbierać pieniądze?

– Na pewno nie po to, żeby się z tobą rozstać! Kocham cię, Adamie, choć czasami nie rozumiem dlaczego, na przykład gdy tak się zachowujesz.

– Więc na co była ta forsa?

– Oszczędzałam, żebyśmy mogli pojechać z Joshem na wakacje!

Josh w swoim pokoiku zaczął płakać, obudziły go nasze podniesione głosy. Ogarnął mnie strach.

– Kiedy? Kiedy kupiłeś ten motocykl?

– Dziś rano, po twoim wyjściu.

– Nie było mnie tylko dwie godziny.

– Wystarczająco długo.

– Był tu Rob? Został z Joshem, gdy wyszedłeś?

– Nie, jeden z jego kumpli sprzedawał motocykl, więc Rob pojechał ze mną.

Patrzyłam na niego pełna pretensji, że nawet nie rozumie, do czego zmierzam.

– A w jaki sposób wróciłeś?

– A jak sądzisz? Przyjechałem na motocyklu.

– W jaki sposób?

– Co znaczy „w jaki sposób”?

– Jak prowadziłeś, wioząc ze sobą Josha?

Widziałam, jak główkuje, myśli gorączkowo – Josh? Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Zapomniałeś o nim, co? – Podeszłam do niego tak wściekła, że miałam ochotę wydrapać mu oczy. – Zapomniałeś o Joshu. Tak rzadko się nim zajmujesz, że zapomniałeś o jego istnieniu. Wszedłeś, żeby kupić sobie motocykl, i zostawiłeś synka bez opieki, synka, który mógł się obudzić sam w mieszkaniu. – Spojrzałam za jego plecy w stronę otwartego okna. – On ma już prawie trzy lata, Adamie, trzy! Potrafi się wspinać!

– Nie pomyślałem – wyjąkał. – Nie wziąłem tego pod uwagę.

– Nigdy nie bierzesz niczego pod uwagę, w tym cały problem! Myślisz tylko o sobie, nie o mnie ani o Joshu, nigdy o nas nie myślałeś i nie będziesz myślał! Więc zrobisz tak. Wyjdę, a kiedy wrócę, ma cię tu nie być! Idź do Nelsona i zamieszkaż u niego... więcej myślisz o nim niż o nas. Masz tu pieniądze na przejazd! – I wściekle rzuciłam mu w twarz monety z pudełka.

Przez wiele następnych dni widziałam ślady po nich na jego czole.

Chociaż Adam zwrócił motocykl jeszcze tamtego popołudnia i zdołał odzyskać pieniądze, nigdy nie wybaczył Robowi, że wprowadził go w błąd. Ja też nie, bo wiedziałam, że skoro Jess zdradziła mu to, co powiedziałam jej w zaufaniu – że w tajemnicy oszczędzam pieniądze – musiała także wspomnieć, na jaki cel je odkładam. Zastanawiałam się wtedy, czym Rob się kierował. A potem przypomniałam sobie, ile razy próbował umówić się ze mną na randkę, mimo że już znałam Adama, mimo że zawsze odmawiałam. Nawet teraz jedyny powód, jaki przychodzi mi do głowy, jest taki, że chciał się na mnie zemścić. I gdy tak siedzę za Kirin i Jess, patrząc na piękne wiejskie krajobrazy za oknem, po plecach przebiega mi zimny dreszcz.

Adam

Wyjmuję skórzaną kurtkę z szafy pod schodami i wychodzę do garażu. Mimo że wybieram się tylko do Windsoru, wciąż czuję to samo podniecenie, które mi towarzyszy, gdy jadę gdzieś na motocyklu. Wkładam kask, włączam muzykę i jestem w swoim sekretnym świecie.

Uruchamiam silnik, który zaskakuje z rykiem. To niewiarygodne, jak uszczęśliwiła mnie rozmowa z Joshem. Gdy tak siedzieliśmy i piliśmy drugie piwo, zaczęliśmy rozmawiać jak nigdy do tej pory, o niczym szczególnie ważnym, ale o codziennym życiu. Josh pytał o moje techniki rzeźbiarskie, więc opowiedziałem mu o aniele, którego chcę zrobić dla Marnie. Zamierza przyglądać mi się podczas pracy, gdy jutro się do niej zabiorę.

Żałuję, że Livia nie ma żadnych hobby ani pasji, takich jak ja, gdy chodzi o motocykle i rzeźbienie w drewnie. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki sama nie poskarżyła się na to kilka tygodni temu. Pracowała do późna przy stole kuchennym, więc poszedłem zaproponować jej kieliszek wina i zobaczyłem, że płacze – łzy kapąły jej na klawiaturę.

– Hej – powiedziałem. Odsunąłem jej laptopa. – Co się stało?

Wytarła oczy i przytuliła się do mnie, gdy schyliłem się, żeby ją objąć.

– Czuję się taka do niczego pod każdym względem... pod każdym.

Pocałowałem ją we włosy i otoczył mnie znajomy zapach kokosa i perfum.

– Ojej – odparłem. – Zupełnie bez powodu.

– Powiedz mi szczerze – poprosiła, podnosząc głowę i spoglądając na mnie. – Czy nie uważasz, że ponieważ moi rodzice byli pokręcani, doprowadziłam do tego, że Josh i Marnie też są pokręceni?

To pytanie było tak zaskakujące, że aż się zaśmiałem.

– Liv! To chore! Jesteś wspaniałą matką, nie można by znaleźć lepszej. Bez ciebie nasze dzieci nie osiągnęłyby tego wszystkiego. Wychowałaś ich na fantastycznych ludzi.

Odsunęła się i próbowała wrócić do pracy na komputerze. Zamknąłem go jednak i wziąłem ją za rękę.

– Jesteś nadzwyczajna – zapewniłem ją. – Nie wiem, co cię tak zdołowało, ale mówię prawdę.

Popatrzyła za okno w ciemną noc.

– Chodzi o to... sama nie wiem... mam chyba poczucie, że gdzieś po drodze zgubiłam samą siebie. Jestem matką, żoną, prawniczką, przyjaciółką, ale czasami chciałabym mieć coś własnego, tak jak ty, coś, co byłoby tylko moje. Ty masz motocykl i drewno. Ja od lat nie mam żadnego hobby, chyba nigdy go nie miałam. Inaczej niż ty nie przejawiam żadnych talentów. Ty jesteś taki twórczy, a ja... wcale.

Zabolało mnie, że nie widzi, jaka jest cudowna. Ująłem ją za nadgarstki i delikatnie pociągnąłem, żeby wstała. Kiedy otoczyła mnie ramionami, poczułem jej żebra pod swetrem. Ostatnio straciła na wadze i wciąż pytałem ją o przyczynę. Czy to wszystko z powodu przyjęcia? Czy może martwi się o coś ważniejszego? Ale gdyby tak było, przecież by mi powiedziała; zawsze mi mówiła, co ją gnębi.

– A róże? – podsunąłem, zadowolony, że wpadłem na coś, czym się interesuje. – Nie znam nikogo, kto tak jak ty potrafiłby nazwać każdą ich odmianę. To niezwykły talent.

Zaczęła się uśmiechać, a potem śmiać tak głośno, że do oczu napłynęły jej łzy.

– No co? – zapytałem. – Przecież tak jest!

– Adamie, to najbardziej dobijająca uwaga, jaką słyszałam! Mam trzydzieści dziewięć lat! Umiejętność określenia odmiany róży to nie żaden talent. Mówisz, jakbym miała osiemdziesiątkę... – Uspokoila się, więc znowu ją objąłem.

– Znajdziemy ci na czterdzieste urodziny jakieś naprawdę fajne hobby – obiecałem. – Tylko poczekaj.

Wiem, że przyczyną problemu są jej rodzice, a nie brak hobby. Dlatego tak mi zależy, żeby jej wieczorne przyjęcie wypadło jak najlepiej, z nimi czy bez nich. Zasłużyła na to, żeby być rozpieszczaną, mieć swój dzień, pełen niespodzianek i prezentów, jak pierścionek, po który właśnie jadę.

Zakład jubilerski mieści się w labiryncie zamkniętych dla ruchu kołowego uliczek, więc jak zwykle zostawiam motocykl na parkingu i następny, krótki odcinek drogi pokonuję na piechotę. Jest jeszcze ciepło, słońce świeci tym mocniej, im bliżej do południa, i myśl, że Livia jedzie na zabiegi do spa, które mają być dla niej niespodzianką, sprawia mi przyjemność. Wymijając sobotnich zakupowiczów, ściągam rękawice, wsadzam je do kieszeni kurtki i wyjmuję telefon, żeby sprawdzić, która godzina.

Jest za jasno, żebym mógł zobaczyć, co widnieje na wyświetlaczu, więc osłaniam go dłonią. Na stronie głównej widzę powiadomienie o informacji.

„Doniesienie z ostatniej chwili. Niedaleko międzynarodowego lotniska w Kairze rozbił się samolot Pyramid Airways”.

Mój wzrok zatrzymuje się na nazwie „Pyramid Airways”. Marnie miała lecieć tymi liniami. Przystaję i serce zamiera mi w piersi. Wiem, że to nie może być jej lot, to na pewno jakiś inny. Ale niepokojąca jest także wiadomość o lotnisku kairskim.

Stukam palcem w wyświetlacz, żeby otworzyć aplikację BBC News.

„O godzinie 11.55 czasu miejscowego podczas startu z międzynarodowego lotniska w Kairze rozbił się samolot Pyramid Airways, lot PA206 do Amsterdamu”.

Zasycha mi w ustach. Czy to ten lot, na który Marnie miała się spóźnić? Czy następny?

Krzyczy jakieś dziecko. Coś – torba – uderza mnie w nogę. Podnoszę głowę, nic nie widzę, usiłuję ogarnąć to, co właśnie przeczytałem. Muszę sprawdzić numer lotu Marnie, ale przez chwilę nie mogę poruszać dłońmi. Przechodzę w cień przy wystawie sklepowej i odnajduję wymianę zdań na WhatsAppie, podczas której przysłała mi szczegóły połączenia. Drżącymi palcami przewijam stronę.

Hongkong–Kair HK945, wylot 6.10, przylot 10.15
Kair–Amsterdam PA206, wylot 11.35, przylot 17.40
Amsterdam–Londyn EK749, wylot 19.30, przylot 19.55
Londyn–dom, ok. 21.00!!!

Lot PA206, z Kairu do Amsterdamu, o jedenastej trzydzieści pięć. Powtarzam dwa razy: lot PA206, o jedenastej trzydzieści pięć. Numer lotu w wiadomościach to właśnie PA206. To nim miała lecieć Marnie, gdyby samolot z Hongkongu się nie spóźnił.

To taki szok, że cały zaczynam się trząść. Nie tylko szok, ale także ulga. Rozpinam kurtkę, która nagle wydaje mi się zbyt ciężka. Dzięki Bogu, że Marnie nie zdążyła na ten lot, dzięki Bogu, że jej samolot był opóźniony. Muszę się jednak upewnić, sprawdzić, czy rzeczywiście nie mogła przylecieć do Kairu na czas i zdążyć się przesiąść.

Odnajduję aplikację z lotami, którą zainstalowałem w telefonie, kiedy Marnie wyjechała na studia, a potem wracam do naszej rozmowy na WhatsAppie, żeby pobrać numer jej lotu z Hongkongu. Wklejam go do aplikacji: HK945. Pojawiają się szczegóły – samolot wylądował w Kairze o jedenastej dwadzieścia pięć miejscowego czasu, czyli z godzinnym opóźnieniem – i zaledwie dziesięć minut przed startem samolotu do Amsterdamu. Z ulgi robi mi się słabo. Marnie nie mogła zdążyć, miała tylko dziesięć minut na przesiadkę. Musi być w Kairze, między jednym lotem a drugim. Pewnie jest zmartwiona, ale przynajmniej cała i zdrowa.

Ale... dlaczego się ze mną nie skontaktowała? Może dzwoniła, tylko to przeoczyłem. Sprawdzam nieodebrane połączenia – nic. Stukam w ikonę FaceTime i wpatruję się w wyświetlacz, czekając, żeby pojawiła się na nim jej twarz. Daremnie. Wychodzę stamtąd i próbuję porozumieć się z nią drogą audio, w razie gdyby sygnał był za słaby i nie można było nawiązać połączenia wideofonicznego. Nadał bez skutku. Piszę esemesa: „Marnie, samolot z Kairu miał po starcie wypadek. Odezwij się, gdy tylko będziesz mogła. Uściski xxx”.

Wysłałam WhatsAppa tej samej treści, żeby podwoić szanse, a potem, wstrzymując oddech, czekam na znak, że Marnie go przeczytała – dwa niebieskie ptaszki na górze wyświetlacza, które oznaczają, że wiadomość została wyświetlona przez odbiorcę... Nic. Nie ma ptaszków. Sprawdzam status wiadomości – niedostarczona. Pewnie z powodu katastrofy sieć jest tam przeciążona. Na lotnisku panuje chaos. Prawdopodobnie nie poinformowali o wypadku, ale wszyscy wiedzą, że coś jest nie tak, bo na tablicach

pojawiają się informacje, że następne loty są albo opóźnione, albo odwołane. Biedna Marnie, będzie zrozpaczona z powodu tego, co się stało.

Muszę się zastanowić, co dalej: jak się dowiedzieć, gdzie ona jest i czy wszystko w porządku. Zwykle podają numer, pod który mogą dzwonić rodziny, aby sprawdzić, czy na pokładzie samolotu był ich krewny albo powinowaty. Wiem, że Marnie tam nie było, ale dobrze by było mieć pewność.

Wchodzę znowu na stronę BBC News i widzę uaktualnienie: „Prawdopodobnie wszyscy pasażerowie i członkowie załogi w liczbie 243 zginęli”. Dociera do mnie rzeczywistość. Livia, muszę porozumieć się z Livią, ona musi się dowiedzieć. Przytłacza mnie myśl o rozmowie z nią. Jak mam ją powiadomić o tym, co się stało, żeby nie wpadła w panikę? Jest z Kirin i Jess w spa – nie mogę tak po prostu do niej zadzwonić i powiedzieć jej przez telefon.

Obok przechodzi grupa nastolatków, przepychają się i potrącają mnie w ramię, gdy odświeżam informacje BBC News. Ale niczego więcej się nie dowiaduję, brak nowych informacji. Wchodzę na WhatsApp, ale nadal nie ma ptaszków przy wiadomości do Marnie.

Ogarnia mnie strach. Nie mam pojęcia, co robić.

Livia

Samochód zwalnia i Kirin skręca na lewo, w zielony, otoczony rododendronami podjazd, a potem zatrzymuje się przed pięknym wiejskim domem.

– Co to takiego? – pytam, wyglądając przez okno.

– Nasz urodzinowy prezent dla ciebie – odpowiada i uśmiecha się do mnie w lusterku wstecznym. – Popołudnie w spa, z umówionymi zabiegami kosmetycznymi i masażem.

Odpinam pas bezpieczeństwa i pochylam się, żeby otoczyć je obie ramionami.

– O mój Boże, jesteście wspaniałe! Dziękuję wam! Dziękuję! – Nagle coś przychodzi mi do głowy. – Ale idziecie ze mną, prawda? Nie tylko mnie tu przywiozłyście?

Jess się śmieje.

– Nie martw się, idziemy z tobą.

– Chodziłam na takie zabiegi raz w miesiącu, zanim w moim życiu pojawili się Nelson i dzieci – wyjaśnia Kirin, wysiadając z samochodu. – Pierwszy zabieg mamy o drugiej, więc zdążymy jeszcze zjeść lunch. – Obejmuje nas i dyskretnie pomaga wysiąść Jess. – Chodźcie, tędy.

– Tak się cieszę, że wyrwałam się na kilka godzin – mówi Jess, gdy podążamy wyłożoną płytami chodnikowymi ścieżką. Wonny klematis pnie się po drewnianych łukowatych treliach. – Rob czyści motocykl i części leżą nawet w zlewku kuchennym.

Kirin kiwa głową.

– Ja też. To niewiarygodne, ile Nelson miał do mnie pytań: kiedy położyć Lily spać i co podać chłopcom na lunch. Ale dość już o facetach. Jak się czujesz, Liv? Czy to nie dziwne, że twoje wymarzone przyjęcie odbędzie się już za parę godzin?

– Jeszcze nie w pełni to do mnie dociera – odpowiadam.

– To musi być niesamowite uczucie – zauważa Jess, gdy dochodzimy do kamiennych schodów, które prowadzą do wejścia. Wspiera się na mnie ciężiej i staje tak, żeby bokiem wejść po stopniach. – Tak długo je planowałam.

– Przez dwadzieścia lat. Czy to nie żenujące? Ale chyba będzie takie, jak sobie wymarzyłam. Pogoda jest śliczna i przyjdzie tyle osób, prawie sto. Jestem taka szczęśliwa.

– Zasłużyłaś na to – odpowiada Kirin.

Zatrzymuję się przed drzwiami.

– Naprawdę?

– Tak, oczywiście, że tak! – zapewnia Jess. Pociąga mnie za rękę, żebym szła dalej. – Dlaczego miałabyś nie zasłużyć?

– Sama nie wiem... czy nie uważacie w głębi duszy, że jest coś niemoralnego w wydawaniu tylu pieniędzy na jeden wieczór, jedną osobę?

Kirin wzdycha ze zniecierpliwieniem i rusza do recepcji. Już wcześniej o tym rozmawialiśmy i uważa moje wątpliwości za śmieszne.

– Krótko mówiąc, nie. Ja wydałam znacznie więcej na ślub i wesele – odpowiada ze śmiechem i wciska złoty dzwonek obok informacji: „Proszę dzwonić, żeby uzyskać pomoc”.

– Tak, ale trwały przez cały dzień. No i to był ślub z weselem, a nie zwykłe urodziny.

– Spokojnie, też zamierzam urządzić huczne przyjęcie na swoją czterdziestkę!

Prowadzą nas na taras, gdzie wokół dużego basenu stoją nakryte do lunchu stoliki. Na leżakach spoczywa kilka osób, wszystkie rozmawiają przez telefon. To takie banalne, ale woda naprawdę lśni w słońcu.

– Szkoda, że nie zabrałam ze sobą kostiumu – rzucam, patrząc tęsknie na basen.

Jess sięga do torby i wyjmuję ładnie opakowany prezent, który podaje mi zamasztyłym gestem.

– Mówisz i masz.

– Co to?

– Coś, w czym poczujesz się fantastycznie.

– Już tak się czuję, z takimi cudownymi przyjaciółkami jak wy. – Odwijam papier i wyjmuję piękny kostium kąpielowy z ramiączkami ozdobionymi dżetami. Sama bym sobie takiego nie kupiła, więc jestem zachwycona.

Kirin zamawia szampana i zanim go nam przyniosą, idziemy do przebieralni.

– Leży idealnie – mówię po włożeniu kostiumu. – Jest śliczny, dziękuję! Mamy czas, żeby popływać?

– Jasne.

Dopiero w wodzie sobie uświadamiam, w jakim napięciu żyłam przez kilka ostatnich tygodni. Kładę się na plecach, zamykam oczy i czuję, jak się rozluźniam. Wszystko się uda – mówię sobie. Musi. Nie zniosłabym, gdyby było inaczej.

Przynoszą nam szampana, więc wychodzimy z basenu.

– A to dla kogo? – pyta Jess. Wskazuje szklankę soku pomarańczowego.

Kirin unosi dłoń.

– Dla mnie... chociaż wypiję łyk bąbelków – dodaje.

Jess patrzy na nią uważnie.

– Chyba nie jesteś...

Kirin uśmiecha się do niej smutno.

– Tak.

– Ojej, Kirin, to wspaniale! – wołam i ściskam ją serdecznie.

Siada nagle, jakby ugięły się pod nią nogi.

– To bliźniaki – mówi. – Znowu.

Dokonuję w głowie szybkich obliczeń i uświadamiam sobie, że będzie miała pięcioro dzieci poniżej szóstego roku życia.

– O mój Boże, ale cudownie! – Jess jest niezwykle podniecona, chociaż wiem, że musi jej być przykro, bo po urodzeniu Cleo próbowała jeszcze zająć w ciążę. Ale po trzech poronieniach uznali z Robem, że powinni dać sobie spokój. Pewnie trudno im to przyszło, bo Nelson i Rob są braćmi, Jess jednak to najbardziej bezinteresowna osoba, jaką znam. Nie zasłużyła na to wszystko, co spotkało ją w ciągu ostatnich dwóch lat.

– Jak się czujesz? – pytam Kirin.

– Na razie dobrze. To dopiero dwunasty tydzień. Pojechałam wczoraj na USG i okazało się, że dzieci jest dwoje.

– Szkoda, że nie widziałam miny Nelsona, gdy się dowiedzieliście.

– Nie było go ze mną.

– Dlaczego?

– Nie powiedziałam mu, że jestem w ciąży.

Jess zerka na mnie: nie powiedziała Nelsonowi?

– Ale... – Patrzy z niepokojem na Kirin. – I niczego nie zauważył?

Ta kręci głową.

– Jeszcze nie przybrałam na wadze i nie mam porannych mdłości. Zawsze najgorzej przechodzę środkowe trzy miesiące. Ale lada chwila się zacznie.

– Dlaczego to przed nim ukrywasz? – pytam. – Chyba nie przyjmie tego źle?

– Gdy urodziła się Lily, zastanawialiśmy się nad czwartym dzieckiem i wtedy Nelson powiedział, że troje wystarczy. Poruszyłam z nim ten temat jeszcze raz, gdy domyśliłam się, że jestem w ciąży, ale był zdecydowanie przeciwny.

– Och, Kirin. – Wyciągam rękę i ściskam jej dłoń. – Jakoś się z tym pogodzi, gdy mu powiesz.

– Tak, wiem. I mimo że narzeka, doskonale się czuje w roli ojca. Tylko że to mają być bliźnięta. – Zaczyna się śmiać. – Chyba nie śniło mu się, nawet w najgorszych koszmarach, że skończy z pięciorgiem dzieci w wieku przedszkolnym. To będzie dla niego cios.

Jess i ja także wybuchamy śmiechem.

– W tym, że Nelson będzie ojcem piątki, jest coś strasznie śmiesznego – zauważa Jess, ocierając oczy. – Chyba musimy się napić. – Podaje nam kieliszki z szampanem. – Sto lat, Livio! – wznosi toast. – I gratulacje – dodaje, uśmiechając się do Kirin.

– Dziękuję, że mnie tu zabrałyście – mówię. Stukam się z nimi kieliszkiem. – Jesteście niezrównane.

Kirin pociąga łyk szampana.

– Może powiem Nelsonowi dziś wieczorem, gdy będzie po kilku drinkach.

– To całkiem dobry pomysł. Gdy wszyscy zaczną mu gratulować i mówić, jaką wspaniałą będzie mieć rodzinę, uzna, że jest najszczęśliwszym facetem na świecie.

– Chodzi nie tylko o to, że jestem w ciąży – wyznaje Kirin. Zamienia kieliszek na szklanekę z sokiem. – Zamierzam odejść z pracy. Wychowanie piątki dzieci kosztuje, ale chcę z nimi być. Więc pod względem finansowym będzie trudno. – Przerzywa na chwilę. – Przede wszystkim koniec z wakacjami. I innymi rzeczami... takimi jak te nedorzecznie drogie wina, które Nelson tak lubi, czy motocykl. To moja pensja idzie na te luksusy, jego tak naprawdę pokrywa tylko koszty spłaty kredytu hipotecznego i wydatki domowe.

– Na pewno chętnie się poświęci, to przecież tylko kilka lat – uspokaja ją Jess.

– Ale to nie jest kwestia kilku lat, no nie? Dzieci z wiekiem stają się jeszcze bardziej kosztowne.

– O tak – włączam się. Nie chcę sobie wyobrażać, ile będą kosztować studia i utrzymanie pięciorga dzieci. – Ale pomyśl, jaką wspaniałą masz rodzinę. I są szanse, że przynajmniej część z nich, gdy dorośnie, będzie mieszkać w tym samym kraju co wy. Paula... no wiecie, moja koleżanka z pracy, ta, która w zeszłym roku przeszła na emeryturę... ma jednego syna w Australii, a drugiego w Kanadzie. Bardzo bym nie chciała, żeby obydwójce moich dzieci zamieszkało za granicą.

– O Marnie nie musisz się martwić – orzeka Jess. – Pewnie jesteś zadowolona, że postanowiła przyjechać do domu, zamiast podróżować po Azji, zwłaszcza że Josh za parę tygodni wylatuje do Nowego Jorku.

Niespokojnie wiercę się na krześle.

– O tak.

– I nie martwcie się – dodaje Kirin. – Powiem Nelsonowi. Gdy tylko nadarzy się odpowiedni moment.

– To dobrze – mówię. Zastanawiam się jednocześnie, kiedy ja znajdę odpowiednią chwilę, żeby wyznać Adamowi to, co powinien już wiedzieć.

– Przykaż Adamowi, żeby nie śmiał się za głośno ani za długo, gdy usłyszy nowinę.

– Nie będzie – zapewniam ją. – Może nawet poczuje lekką zazdrość.

Jess się dziwi.

– Naprawdę? Nigdy nie chciał trzeciego dziecka, prawda?

– Dałabym głowę, że byłaby to ostatnia rzecz, jakiej by pragnął. Ale we wrześniu, gdy Marnie wyjechała do Hongkongu, a Josh wrócił na uczelnię, chyba poczuł, że w domu zrobiło się pusto, bo powiedział, że powinniśmy sprawić sobie jeszcze jedno dziecko. – Piję duży łyk szampana i śmieję się. – Wyobrażacie to sobie?

– Jeszcze nie jest za późno – kwituje Kirin.

– Och, nie miałam na myśli swojego wieku, nic takiego. – Jest młodsza ode mnie tylko o dwa lata i za nic bym nie chciała, by sądziła, że o to mi chodziło. – Po prostu mam to już za sobą.

– Wrzuć na luz! – woła ze śmiechem. – Chociaż Nelson poczułby się znacznie lepiej, gdyby Adam także miał zostać ojcem.

– Nie ma szans! – odpowiadam stanowczo. – Przykro mi!

Kelner przynosi karty dań i zamawiamy lunch. Czekając na jedzenie, jeszcze raz idziemy wykąpać się w basenie, a potem kładziemy się na leżakach, żeby wyschnąć. Gdy nacieram się kremem przeciwsłonecznym Kirin, wracam pamięcią do rzuconej przez Adama uwagi o jeszcze jednym dziecku.

– Adamie, nie mów mi takich rzeczy! – Staralam się powiedzieć to lekkim tonem, ale tak naprawdę byłam zła, bo kiedyś chciałam mieć liczniejszą rodzinę.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Jak to? Jesteś świetną matką, doskonale byś sobie poradziła.

– Nie w tym rzecz. Jeśli mielibyśmy sprawić sobie jeszcze jedno dziecko, należało to zrobić piętnaście lat temu. Wtedy chętnie.

– Nigdy o tym nie wspominałaś.

– Bo wiedziałam, jak byś zareagował.

Ściągnął brwi.

– Mogłaś przynajmniej mnie o to zapytać. Niewykluczone, że bym się zgodził.

– Posłuchaj, zapragnęłaś teraz trzeciego dziecka tylko dlatego, że Marnie wyjechała z domu. Wiem, że to przykre, ale nie chciałaś nawet drugiego.

Wzdrygnął się i pożałowałałam swoich słów. Adam nigdy sobie do końca nie wybaczył, że nie chciał Marnie.

Adam

Ruszam z powrotem na parking. Panuje już większy ruch, ludzie się przepychają, rodziny chodzą grupami. Czy ktoś z nich słyszał o tej katastrofie? Nikt nie sprawia wrażenia smutnego, życie toczy się jak zwykle. A może o niej słyszeli, ale ponieważ nie wydarzyła się tutaj, specjalnie się nią nie przejęli. To był lot z Kairu do Amsterdamu, więc większość osób, których dotyczy to nieszczęście, pochodzi z Egiptu albo Holandii. Nikt oprócz nich po pierwszym szoku nie będzie nad tym bolał. Ta obojętność wydaje się zła, egoistyczna. Znowu wraca do mnie myśl o Marnie. Powinienem jechać do domu, bo może tam zadzwonić. Nie chcę, żeby Josh odebrał telefon stacjonarny i usłyszał ją w hysterii.

Na jak długo będzie uziemiona, sama na kairskim lotnisku? Nie wyobrażam sobie nawet, jak musi się czuć – przestraszona, zmartwiona, zupełnie nieprzygotowana na taką sytuację, bez żadnego życiowego doświadczenia, które pomogłoby jej poradzić sobie z tym wszystkim. Powinienem z nią być, koniecznie.

Przystaję i rozglądam się wokół. Gdzieś tu była agencja turystyczna. Tam mi pomogą. Wsiądę w samolot do Kairu i odszukam tam Marnie. Ruszam szybko, potem biegnę, przedzierając się przez tłumy ludzi, aż w końcu docieram na miejsce.

Jestem jedynym klientem. Młoda kobieta – z wyglądu niewiele starsza od Marnie, ale blondynka, nie ciemnowłosa – unosi głowę i uśmiecha się do mnie.

– Czym mogę panu służyć?

– Chciałbym zabukować lot do Kairu.

Od razu wyraźnie się niepokoju. Słyszała o katastrofie, na pewno słyszała, właśnie rozmawiała przez telefon. Zastanawiam się, czy została przeszkolona na taką okoliczność: wchodzi klient i prosi o bilet do miejsca, gdzie właśnie rozbił się samolot. Nie patrzę jej w oczy, licząc, że nie podejmie tego tematu.

– Kiedy chciałby pan lecieć? – pyta.

– Jeszcze dziś, jeśli można. – Mój głos brzmi dziwnie, nawet dla mnie.

Kobieta rzuca mi kolejny przelotny uśmiech.

– Może pan usiądzie, gdy będę szukała połączeń?

Nie chcę usiąść, ogarnia mnie klaustrofobia.

– Dziś chyba się nie uda – ciągnie ostrożnie. – Są jakieś problemy z lotami do Kairu. – Przerzywa. – O, znalazłam jeden do Egiptu, ale na inne lotnisko.

– Nie, chodzi mi o Kair.

Ogląda się przez ramię, w stronę otwartych drzwi na zaplecze, ale nie ma nikogo, kto by jej pomógł.

– Może znajdzie się coś na jutro – mówi, patrząc znowu na ekran komputera. – Czy jest pan zainteresowany?

Rozważam to. Chcę tylko znaleźć się przy Marnie, czekanie całą dobę nie wchodzi w grę. A jeśli gdy przylecę, Marnie już tam nie będzie, jeżeli znajdą dla niej jakiś samolot? Usiłuję myśleć logicznie. Jeśli nie ma dziś żadnych połączeń do Kairu, to raczej nie będzie też z niego wylotów i Marnie się nie wydostanie. Poza tym, jak ją znam, będzie zbyt przestraszona, żeby wsiąść teraz do jakiegokolwiek samolotu. Ma dopiero dziewiętnaście lat, jest za młoda na takie przeżycia. Będzie chciała jedynie z nami porozmawiać, ze mną i z Liv, mieć pewność, że ktoś po nią przyjedzie.

– W takim razie niech będzie na jutro – odpowiadam agentce.

– Jest lot z Londynu, z Heathrow, o dziesiątej trzydzieści – mówi. – Może mieć opóźnienie – dodaje z wahaniem.

– Biorę.

– A kiedy chciałby pan wrócić?

To pytanie mnie zaskakuje. Nie mam pojęcia, co będzie się działo tam, na miejscu. Jeśli znajdą dla Marnie miejsce w samolocie do Londynu, będę musiał lecieć z nią, a skąd mam wiedzieć, jaki to lot? A może zdecydujemy, że lepiej, aby wróciła do Hongkongu, zamiast przyjeżdżać do domu?

Jest zbyt wiele możliwych scenariuszy. Zaczynam się pocić po pachami i na czole. Pracownica agencji turystycznej mi się przygląda. Oczy jej się rozszerzają. Żadne z nas nie mruga.

– Nie wiem jeszcze, więc na razie poproszę bilet w jedną stronę – mówię.

Kiwa głową, spogląda na ekran i znowu przenosi wzrok na mnie.

– To ma być jeden bilet?

Już mam odpowiedzieć, że tak, gdy uświadamiam sobie, że Livia zechce lecieć ze mną. I też tam być. Poczuję się tak samo jak ja, zapragnie zobaczyć Marnie na własne oczy, znaleźć się przy niej. Nie zgodzi się zostać w domu.

– Nie, poproszę dwa.

Ponownie kiwa głową.

– To będzie razem pięćset czternaście funtów, lot Luxor Air.

– Dobrze.

– Nazwisko?

– Słucham?

– Nazwisko pasażerów?

– Ach... Olivia Harman i Adam Harman.

– Państwa samolot przyleci do Kairu o szesnastej pięćdziesiąt miejscowego czasu.

– Dziękuję.

Wysyłam Marnie esemesa.

„Marnie, wiemy, co się stało, nie martw się, zostań tam, gdzie jesteś, mama i ja przyjedziemy po Ciebie. Na dziś nie ma żadnych połączeń, więc wylatujemy jutro i lądujemy za dziesięć piąta po południu. Jeśli będziesz musiała się przenieść, do hotelu czy gdzie indziej, zawiadom nas. Zadzwoń, gdy tylko będziesz mogła. Uściski”.

– Proszę. – Agentka powtarza wszystkie informacje o locie, a potem pyta, czy wydrukować bilety. Potwierdzam i stojąca obok drukarka zaczyna pracować. Kobieta wkłada bilety do granatowego folderu z logo agencji.

– Bardzo pani dziękuję – mówię i chowam go do kieszeni kurtki.

Agentka się uśmiecha i mam ochotę wyrzucić to z siebie, opowiedzieć jej o Marnie, o tym, że miała lecieć tym samolotem. Ale ona opuszcza wzrok i wyjmuje terminal płatniczy.

Płacę bez słowa i wychodzę.

Za drzwiami przystaję na chwilę. Telefon, który trzymam w dłoni, wciąż milczy, ale na wszelki wypadek rozjaśniam wyświetlacz. Jest za piętnaście druga, od katastrofy minęły już prawie dwie godziny. Nadal nie ma żadnej wiadomości od Marnie. Próbuję do niej zadzwonić, ale nie mogę się połączyć. Wiadomość, którą wysłałem z agencji turystycznej, nie została dostarczona. Jak długo sieć nie będzie działać?

Drogę na parking pokonuję jak w zamroczeniu. Wyjmuję kask ze schowka i wsiadam na motocykl. Powietrze się ochłodziło. Powinienem zadzwonić do Liv, ale będzie lepiej, jeśli powiem jej osobiście. Pokażę godziny lotów i sama się przekona, że Marnie nie mogła zdążyć na ten samolot.

Nagle się zatrzymuję. Przyjęcie. Zapomniałem o przyjęciu. Jak to możliwe, do cholery, że o nim nie pomyślałem? Może powinniśmy je odwołać. Zastygam w bezruchu, żeby się zastanowić. Livia byłaby zrozpaczona, gdybyśmy to zrobili, zresztą nie ma powodu, żeby się nie odbyło, jeśli tylko Marnie się odezwie, a na pewno tak się stanie.

Livii nie będzie, gdy przyjadę do domu – dociera do mnie – powinna być w spa. Przez chwilę rozważam, czy nie zadzwonić do Kirin i nie spytać, gdzie są. Mógłbym tam podskoczyć. Porozmawiałbym z Livią i przynajmniej podzieliłbym się z kimś swoim niepokojem. Ale to byłoby egoistyczne. Zepsułbym jej całą przyjemność i na myśl, że poczułaby się tak jak ja... stwierdzam, że nie, nie mogę jej tego zrobić.

Znowu spoglądam na telefon. Nic, żadnej wiadomości. Już druga po południu.

Livia

Kirin się przeciąga i wzdycha z zadowoleniem.

– Piękna pogoda – mruczy.

– Zdumiewające, prawda? Dziękuję ci, Kirin, za to wszystko, sama nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwoliła.

– To wynika z egoizmu, bo uwielbiam tu przyjeżdżać. – Sięga do torebki po telefon, a ja szybko zerkam na jej brzuch. Rzeczywiście, nie ma jeszcze żadnej wypukłości.

Spoglądam na Jess, która siedzi w cieniu, z książką na kolanach. Ma zamknięte oczy, więc przyglądam jej się przez chwilę. Wygląda tak krucho, że odwracam wzrok.

– O nie – odzywa się Kirin z przygnębieniem.

Jess i ja odwracamy głowy w jej stronę.

– Chodzi o któreś z dzieci? – pytam. Pewnie dostała wiadomość od Nelsona.

Zaprzecza.

– W Egipcie rozbił się samolot. Nikt nie przeżył. – Krzywi się ze smutkiem. – Na pokładzie było dwieście pięćdziesiąt osób, łącznie z załogą.

– To okropne – odpowiadam ze zgrozą.

– Przestańcie. – Jess się wzdryga. – Nie mogę tego słuchać.

Moja komórka leży na stole wyświetlaczem do góry, więc ją odwracam.

– Nie będę patrzeć na telefon do końca dnia – deklaruje. – To nie w porządku, że ja świętuję, gdy inni rozpaczają.

– Zawsze ktoś na świecie rozpacza – komentuje Kirin.

– Wiem. Ale katastrofa lotnicza... to wstrząsające.

– Czy zaprosiłaś na przyjęcie kolegów z pracy? – pyta Jess. Chce zmienić temat, bo na pewno jej już to mówiłam.

– Tak, mają być chyba wszyscy.

– O rany – rzuca Kirin.

– Nie sądziłam, że przyjdą całą paczką, ale okazuje się, że tak.

– Tak to jest, no nie? – ciągnie Kirin. – Zaczynasz od krewnych i przyjaciół, potem zapraszasz sąsiadów i kolegów z pracy, i lista się wydłuża. Tak było z naszym ślubem, skończyło się na tym, że mieliśmy dwustu gości, horrendalna liczba.

– W moim przyjęciu najlepsze jest to – odpowiadam – że w przeciwieństwie do ślubu każdy, kogo zaprosiłam, jest przeze mnie mile widziany.

Z wyjątkiem jednej osoby – dodaję w duchu – jednej jedynej, która może zepsuć mi cały wieczór. Ale tylko jeśli na to pozwolę.

Zwracam twarz ku słońcu. Jeździłam z rodzicami, zanim się mnie wyparli, do ładnych hoteli, ale żaden nie był równie luksusowy jak ten. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jaką jestem szczęściarą, że pochodzę z takiej zamożnej rodziny, a potem często się zastanawiałam, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie zaszła w ciążę, gdybym poszła wytyczoną wcześniej drogą. Matka i ojciec chcieli, żebym studiowała medycynę, co bardzo mi odpowiadało, więc teraz byłabym lekarzem, być może żoną innego lekarza, niewykluczone, że miałabym więcej dzieci i spędzałabym wakacje gdzieś za granicą. Byłaby to egzystencja, tylko egzystencja, bo rodzice stale ingerowaliby w moje życie. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym być tak szczęśliwa, jak jestem teraz; musiałabym co tydzień po kościele chodzić do nich na lunch, świętować Boże Narodzenie w ich nieskazitelnym domu, przestrzegając zakazów i nakazów: nie ma opierania łokci na stole, trzymania stóp na krześle, wylegiwania się w łóżku do dziewiątej, garbienia się ani oglądania żadnych innych kanałów niż BBC2. Udało mi się od tego uciec – uświadamiam sobie – nam się udało. Gdyby moi rodzice zaakceptowali Adama i Josha, do końca życia mielibyśmy wobec nich dług wdzięczności, byłibyśmy związani z nimi poczuciem obowiązku.

– Wielka szkoda, że Marnie nie może przyjechać na twoje urodziny – mówi Jess ze współczuciem. – Cleo będzie jej brakowało. Gadały o twoim przyjęciu od małego, snuły wizje, jak to będzie mieć dziewiętnaście lat.

– I projektowały sukienki, w których wystąpią – dodaję, uśmiechając się na to wspomnienie.

Ja też tak robiłam. Myślałam: „W dniu mojego przyjęcia urodzinowego Josh będzie miał dwadzieścia dwa lata, a Marnie dziewiętnaście” i nie umiałam sobie wyobrazić, jak będą wyglądali ani na kogo wyrosną. Stanowili dwie niewiadome, ale zawsze mieli być obecni na moim przyjęciu. – I dociera do mnie, że gdy o nim marzyłam przez te wszystkie lata, ani razu nie pomyślałam, że mogłoby nie być na nim Marnie. Czy raczej że nie chciałabym, aby była.

– Cleo ma ochotę przyjść? – pytam Jess. – Mimo że nie będzie Marnie?

– Bez obawy, nigdy w życiu by sobie nie darowała. – Patrzy na mnie. – A skoro mowa o Marnie: Cleo chce wydać dla niej przyjęcie, w weekend po jej powrocie, i zaprosić wszystkich ich wspólnych przyjaciół. Prosiła, żebym cię spytała, czy nie masz nic przeciwko temu.

Ściska mnie w gardle.

– Bardzo miło z jej strony.

– To byłby pierwszy weekend lipca. Nie masz żadnych planów?

– Nie – odpowiadam, bo nie wybiegam myślą poza dzień powrotu Marnie. Nie zastanawiałam się, co będzie później, jeszcze nie. Jej przyjazd wywoła takie reperkusje, że

jestem w stanie skupić się tylko na nim.

– My także nie mamy – odpowiada Kirin. – O rany, jeszcze jedno przyjęcie w perspektywie, niesamowite!

– Nas chyba nie zaproszą – komentuję wesoło.

Uśmiecham się do Kirin, ale świadomość, że to przyjęcie się nie odbędzie, napawa mnie głębokim smutkiem. A co z innymi rzeczami, które robiliśmy w szóstkę? Co ze świętami Bożego Narodzenia? Muszę spędzać je wśród ludzi, w serdecznej, wesołej atmosferze, ponieważ wtedy najbardziej odczuwam skutki odrzucenia przez rodziców. To dla mnie niepojęte, bo z rodziną Adama jest radośniej, niż kiedykolwiek było z moimi rodzicami. Jednak gdy tylko w bożonarodzeniowy poranek otwieram oczy, czuję wielką dziurę w sercu, której nie są w stanie wypełnić nawet Adam, Josh, Marnie i wszyscy nasi przyjaciele.

Pogodziłam się z odrzuceniem już w pierwszych latach z Adamem. Opuszczał mnie tyle razy, że nie wiem, jakim cudem to przetrwaliśmy. Tkwi to we mnie jak zadra, choć nigdy mu tego nie powiedziałam. Od lat tak się stara wynagrodzić mi ten czas, że byłby zdruzgotany, gdyby wiedział, że wciąż cierpię z tego powodu. Wraca to do mnie w środku nocy i wywołuje żal do niego, że naraził mnie na takie przejścia.

Gdy odszedł po raz pierwszy, byłam przekonana, że miał jakiś wypadek albo został zamordowany. Wyobrażałam sobie jego pobite, z maltretowanymi ciałem, leżące gdzieś w rowie, słyszałam pukanie do drzwi, widziałam policjanta z policjantką stojących na progu. Nie powiedział, dokąd się wybiera, więc myślałam, że poszedł na zakupy. Gdy tamtego wieczoru nie wrócił, powiedziałam sobie, że pojechał do Nelsona i został u niego na noc, i byłam zła, że nie zadzwonił, aby mi o tym powiedzieć. Ale jednocześnie umierałam z niepokoju. Żadne z nas nie miało wtedy telefonu komórkowego – w 1997 roku były jeszcze drogie, za drogie dla nas – więc nie mogłam się z nim skontaktować i spytać, gdzie jest.

Ponieważ następnego dnia nadal go nie było, poszłam na policję. Uważali, że robię z igły widły, widziałam to. Gdy zorientowali się w naszej sytuacji – że jesteśmy jeszcze dziećmi z niemowlęciem – pewnie uznali, że Adam po prostu ma romans. Poradzili mi, żebym poczekała jeszcze parę dni, ja jednak nie mogłam uwierzyć, że Adam naraziłby mnie na takie zmartwienie, że gdyby mógł, nie próbowałby się ze mną skontaktować.

Pan Wentworth okazał mi więcej zrozumienia niż policja. Kiedy wpadłam z płaczem do jego warsztatu, pocieszał mnie, mówił, że Adam musi się wyszumieć i w końcu wróci. Tak też się stało, trzy dni później, ale kiedy zdałam sobie sprawę, że nie tylko nie zadał sobie trudu, aby mnie zawiadomić, że jest cały i zdrowy, ale jeszcze nie wyraził żadnej skruchy, mówił, że powinnam się domyślić, iż był u Nelsona – wtedy coś we mnie umarło. Kiedy znowu mi to zrobił i znowu, przysięgam, że mu nie wybaczę, bo za każdym razem strasznie się bałam, że tym razem naprawdę spotkało go coś niedobrego.

Wiem, że to małosłowne, i myślę tak tylko wówczas, gdy przypominam sobie złe chwile, ale czasami, czasami, chciałabym, żeby się przekonał, jakie to uczucie nie wiedzieć, gdzie jest kochana osoba, i z niepokoju odchodzić od zmysłów. Obawiać się najgorszego.

Adam

Nie pamiętam, jak wróciłem do domu, ale tu jestem, stoję przy swoim motocyklu w garażu, powietrze wokół mnie znajomo pachnie olejem, tekturą, kurzem. Jakby nie było dwóch ostatnich godzin. Nie potrafię myśleć o niczym innym jak tylko o Marnie. Musi odczuwać na przemian ulgę, że nie zdążyła na przesiadkę, i przerażenie z powodu tego, co mogło się wydarzyć. Na pewno też myśli o ludziach, którzy zdążyli na tamten samolot. Gnębi ją poczucie winy, że przeklinała swoje spóźnienie i teraz ma o czym opowiadać – znam ją.

Moja ręka sama odnajduje telefon, palce odblokowują ekran i odruchowo otwierają WhatsApp. Status moich wiadomości jest taki sam: nedoręczone. No, Marnie, chcę tylko krótkiego „Nic mi nie jest”. Znowu próbuję do niej zadzwonić, ale słyszę to samo co poprzednio: ciszę.

Wchodzę do domu. Josh stoi w holu z trójkątną kanapką w dłoni.

– Mogę zobaczyć? – pyta z przejęciem.

Unikam jego wzroku, bo nie chcę, aby się zorientował, że coś jest nie tak. Zdejmuję kurtkę i wieszam ją do szafy.

– Co?

– Pierścionek dla mamy. Dasz zobaczyć? Czy jest zapakowany?

Dopiero po chwili sobie przypominam.

– Nie, ja... nie był jeszcze gotowy.

– Jak to nie był gotowy? Dlaczego?

– Z powodu rozmiaru – improwizuję. – Zapomnieli, że mieli go zmniejszyć.

Siada na jednym ze stopni i odgryza kęs kanapki.

– Ale zdążą z nim na wieczór, prawda?

Ruszam w stronę kuchni, bo muszę być sam.

– Tak, liczę na to. Zadzwonią do mnie, gdy będzie do odebrania.

Idzie za mną.

– A nie mogłeś go wziąć, nawet jeśli jest za duży? Mamie by to nie przeszkadzało.

Mam ochotę mu powiedzieć, aby zamilkł, że mam gdzieś ten pierścionek, że chcę tylko, aby Marnie zadzwoniła.

– Pewnie tak. Nie pomyślałem – mówię zamiast tego. – Zależało mi, żeby mogła go włożyć od razu, gdy tylko go jej dam.

– I teraz go dopasowują, tak?

– Chyba tak.

– Ale powiedzieli, że na pewno będzie gotowy przed wieczorem? – wypytuje z pełnymi ustami. – Mogę po niego pojechać, jeśli chcesz.

Patrzę na niego.

– Josh, zadzwonią do mnie. Wcześniej nic nie mogę zrobić!

Nieruchomieje z kęsem kanapki w ustach. Kątem oka widzę, że Murphy podnosi łeb, obudzony moim podniesionym głosem.

– Wszystko w porządku, tato? – pyta Josh.

Staram się zachować opanowanie.

– Tak, tak. Jestem rozczarowany i tyle.

– Nie wyglądasz dobrze.

– Trochę boli mnie głowa.

– Masz przerąbane. Wziąłeś coś na to?

– Nie. – Tak bardzo potrzebuję przestrzeni, że wręcz fizycznie świerzbi mnie skóra. Kieruję się do schodów. – Pójdę do łazienki i poszukam jakiejś tabletki.

– Może się położyć albo coś? Na razie nie ma nic do roboty, wszystko toczy się własnym trybem. Max przyjdzie pomóc przy lampkach i tak dalej.

Na wzmiankę o Maxie reaguję ostro.

– Czy mama wie, że Max ma przyjść?

– Tak, dlaczego pytasz?

Nie powinienem był tego mówić, nie myślę przytomnie. Josha nie było, więc nie wie, że Liv ostatnio inaczej odnosi się do Maxa. Znamy go od dziecka, traktujemy jak członka rodziny. Max jest dla Josha kimś takim jak Nelson dla mnie i jeszcze kilka miesięcy temu Livia bardzo lubiła, gdy przychodził. Nagle jednak wszystko się zmieniło. Ma taką nieprzyjazną minę za każdym razem, kiedy chłopak odwiedza nas podczas swoich bytności w domu, po przyjeździe z uczelni, i stara się go unikać – a to musi gdzieś pilnie zadzwonić, a to coś załatwić. Kiedy ją o to zagadnąłem, odpowiedziała, że coś mi się uroiło. Ale znam Livię. I wiem, że Max też to zauważył, nawet jeśli Josh nie, bo teraz unika jej tak jak ona jego. Powinienem był wyrzucić na nią większą presję i kiedyś to zrobię. Ale nie dziś.

– Bez powodu – odpowiadam Joshowi. – Rzeczywiście, może pójdę się położyć. – Rzuca mi zdziwione spojrzenie, bo nigdy dotąd nie kładłem się w środku dnia. – Daj mi godzinę.

Idę na górę i na półpiętrze patrzę na drzwi do pokoju Marnie, jakbym dopiero je zauważył. Spoglądałem na nie setki razy od czasu jej wyjazdu do Hongkongu, gdy szedłem po schodach do swojego pokoju i z niego wychodziłem, ale nigdy tak naprawdę ich nie widziałem. Biała farba łuszczy się w prawym dolnym rogu. Mosiężna gałka jest wytarta.

W miejscu, gdzie Marnie uparła się powiesić drewnianą tabliczkę ze swoim imieniem, tę, którą wyszperała na jarmarku bożonarodzeniowym przed dziesięcioma laty, pozostały trzy dziurki po gwoździach.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Tyle tu Marnie. Na ścianie wciąż wiszą jej plakaty – na jednym z nich rozpoznaję aktora grającego w *Grze o tron*. Na półkach stoją jej książki – *Harry Potter*, *Władca pierścieni*, trylogia *Zorza polarna*, ale także powieści Jane Austen i Nancy Mitford. Na marmurowym kominku rozstawione są zdjęcia; parę przedstawia ją ze mną, Livią i Joshem, ale większość – z kolegami ze szkoły i z uczelni. Na wielu z nich widzę Cleo, co mnie nie dziwi. Jest tam cała seria ich fotek, jak się wygłupiają i robią miny.

Ale też wiele Marnie brakuje. Nie ma stosu ubrań, które musiałem przynieść na łóżko, żeby usiąść na fotelu, gdy zachodziłem do niej pogadać, książek i czasopism rozrzuconych po podłodze. Łóżko jest nieposłane; materac został przykryty, żeby się nie kurzył, a narzuta, starannie złożona, spoczywa w plastikowym worku. Powinienem przynajmniej je dla niej posłać.

Odciągam gładkie czarne zasłony i otwieram okna, żeby przewietrzyć pokój, a wtedy widzę, że Max przyjechał na motocyklu. To dobrze. Nie ma ryzyka, że Josh przyjdzie na górę i zobaczy, co robię. Wyjmuję pościel z komody i oblekam. Po krótkim poszukiwaniu znajduję poduszki na półce w szafie.

Miękki biały szlafrok wisi z tyłu na drzwiach i nagle wraca do mnie wspomnienie Marnie wchodzącej w nim do kuchni. Uwielbia go, mówi, że to najwygodniejsza rzecz na świecie. Musiał się zakurzyć, bo wisi tu od jej wyjazdu, czyli od sierpnia. Zdejmuję go z haczyka, na kołnierzu jest żółtawa plama, więc zabieram szlafrok na dół, do pomieszczenia gospodarczego, po drodze niemal potykając się o zmierną do kuchni Mimi, i wkładam do pralki na krótkie, trzydziestominutowe pranie.

Wracam do pokoju Marnie i siadam na świeżo zaścielonym łóżku. Żałuję, że nie mam czym jeszcze zabić czasu, dopóki ona nie zadzwoni. Staram się nie spoglądać na telefon, licząc, że to zmniejszy niepokój, który jednak nie przestanie rosnąć, dopóki Marnie się nie odezwie. Wyjmuję więc komórkę, patrzę na wyświetlacz, przeklinam i chowam ją z powrotem do kieszeni. Muszę przestać. Kiedy Marnie będzie mogła zadzwonić, to zadzwoni.

Livia

Nigdy wcześniej nie byłam u kosmetyczki. Kremy, które nakłada mi na twarz, pachną tak apetycznie, że mogłabym je zjeść. Jednak, nie wiadomo dlaczego, pod wpływem tych wszystkich zabiegów zbiera mi się na płacz. Chyba to wina mroku, bo światła są przyćmione, i muzyki, która gra w tle – delikatnego szumu wiatru i wody. Może przenoszą mnie one do czasu, gdy byłam w łonie matki. Bo przecież się mówi, że pod wpływem niektórych doznań wracamy do chwil sprzed narodzin.

Okrywający mnie ciepły koc zostaje zdjęty i mam przekręcić się na brzuch, bo teraz będzie masaż. W ławie znajduje się otwór na nos i usta, więc będę mogła oddychać. Kiedy przed zabiegami wypełniałam formularz, musiałam określić, jaki życzę sobie rodzaj masażu, silny, średni czy delikatny, i wybrałam delikatny, bo oglądałam programy, w których masażyści do nieprzytomności okładają człowieka pięściami. Ale i on nie jest dość delikatny. Masażystka wbija mi palce w szyję i likwiduje napięcie, którego nie ma, bo po zabiegach na twarz po raz pierwszy od wielu tygodni czuję się całkiem zrelaksowana. Może gdy zapytała, czy mi przyjemnie, powinnam była odpowiedzieć, że muszą mieć jeszcze czwartą kategorię, głaskanie.

Mimowolnie myślę, że gdyby moją matkę w dzieciństwie więcej głaskano, byłaby lepszym człowiekiem. Tak naprawdę nie znałam swojej babci, bo kiedy miałam pięć lat, przeniosła się do domu opieki i jeździliśmy do niej raz w roku, z obowiązku. Wydaje mi się, że wszystko, co robiła moja matka, wynikało z obowiązku. Nie sądzę, żeby coś w życiu sprawiło jej przyjemność. Na zdjęciach przedstawiających ją w najszcześniejszych chwilach, a przynajmniej za takie uznawanych – w dniu ślubu i moich narodzin – ma ponurą minę, jak zwykle pozbawioną cienia uśmiechu. I uświadamiam sobie, że nie pamiętam, aby kiedykolwiek się uśmiechała, chyba że w drodze do kościoła pozdrawiała proboszcza.

Na pewno nie uśmiechała się w domu, zresztą tak samo jak mój ojciec. Czy naprawdę byli tacy nieszczęśliwi? Matka sprawiała wrażenie mniej poważnej, gdy przeglądałyśmy razem czasopisma poświęcone ślubom i weselom, planując uroczystość, jaką z ojcem zamierzali mi zorganizować, kiedy będę wychodziła za mąż. Wciąż nie rozumiem, dlaczego było to dla niej takie ważne – dla kobiety tak surowej pod każdym względem. Gdyby to nie było dla niej równie doniosłym wydarzeniem, nie miałabym takiej obsesji na punkcie swojego przyjęcia.

Nie to, że nie byłam szczęśliwa w dniu ślubu. Mieszkałam już z Adamem u jego rodziców i kiedy obudziłam się tamtego ranka, Jeannie – mama Adama – przyniosła mi do łóżka śniadanie. Adam był nieobecny, poprzedniego wieczoru spotkał się z kolegami i nocował u Nelsona, który miał go przywieźć do pubu na przedślubnego drinka. Jess przyszła pomóc mi się wyszykować – wcześniej wybrałyśmy się razem na zakupy i kupiłyśmy dla mnie ładną jasnożółtą sukienkę do kolan, za którą zapłaciła Jeannie. Proponowała, że zafunduje mi prawdziwą suknię ślubną, ale wiedziałam, że moi rodzice byliby zgorszeni, gdybym wystąpiła w tradycyjnej bieli panny młodej, a poza tym to miała być skromna uroczystość.

Wiedziałam, że moi rodzice nie przyjdą do pubu, więc zebrało się nas tylko dziewięcioro: ja i Adam, Jeannie i Mike, siostra Adama, Izzy, i jej mąż Ian, Nelson, Rob i Jess. To były miłe chwile. Ku niesmakowi Adama Ian nastawiał w szafie grającej jedną ckliwą piosenkę po drugiej.

– Nie możemy posłuchać Aerosmith albo Queen? – narzekał. – Albo choćby Boba Dylana czy Jamesa Browna?

Ian się śmiał.

– A co powiesz na to?

Rozległy się dźwięki *Unchained Melody*, więc Adam i Nelson zasłonili uszy, ale Ian nakłonił nas, mnie i Adama, żebyśmy zatańczyli do tej piosenki, gdy pozostali będą do niej śpiewać. I zanim się skończyła, miałam łzy w oczach, nie tylko ze śmiechu, ale także dlatego, że Adam przestał się wygłupiać i w tańcu przytulił mnie mocno, szepcząc mi do ucha obietnice, że będzie mnie zawsze kochał. I chociaż Adam nadal nie znosi *Unchained Melody*, ten utwór stał się „naszą” piosenką.

Moi rodzice nie przyszli też do urzędu stanu cywilnego, gdzie znowu się wzruszyłam. Ostatnio jednak dotarło do mnie, że nigdy nie postawiłam się na miejscu swojej matki. Musiało być dla niej szokiem, kiedy się dowiedziała, że jestem w ciąży, i choć nasze doświadczenia życiowe są zupełnie inne, wiem już, że czasami, gdy najmniej się tego spodziewamy, dzieci potrafią nam sprawić bardzo niemiłą niespodziankę.

Byłam w pracy, gdy zadzwonił telefon. Marnie. Przyjechała do domu na letnie wakacje i pracowała w Boots, żeby zarobić trochę pieniędzy przed wyjazdem do Hongkongu pod koniec sierpnia.

– Jesteś zajęta, mamo?

– Eee... tak, w każdej chwili spodziewam się klientów.

– Ojej.

– A co się stało?

– Źle się czuję.

– Jesteś w pracy?

– Nie, zostałam w domu. Nie mogłabyś przyjechać?

– Jak to, teraz? – Wiedziałam, że spotkanie zajmie mi nie więcej niż godzinę, i miałam nadzieję, że Marnie może tyle poczekać.

– Tak. Naprawdę źle się czuję, mamó.

– Jesteś chora?

– Tak. Nie. Mamó, przyjedź do domu, dobrze? – Po raz pierwszy usłyszałam w jej głosie panikę i do głowy przyszły mi wszystkie okropne choroby, od ostrej grypy żołądkowej po zapalenie opon mózgowych.

– Jest naprawdę źle, Marnie? – zapytałam, zrywając się na nogi. – Może trzeba wezwać pogotowie? – Staralam się mówić spokojnie, ale gdy wspomniałam o pogotowiu, koledzy spojrzeli na mnie zaniepokojeni.

– Nie, nic mi się nie stanie do twojego przyjazdu. Możesz już wyjść z pracy?

Pochwyciłam spojrzenie Pauli, która znieruchomiała, patrząc na mnie.

– Dobrze, będę w domu za dwadzieścia minut. W porządku?

– Tak. – Usłyszałam, że łamie jej się głos. – Dzięki, mamó.

Byłam w domu w niespełna dziesięć minut, bo Paula nalegała, że mnie podwiezie; nie szłam więc jak zwykle na piechotę.

– Daj znać, jak czuje się Marnie, dobrze? – poprosiła, gdy wysiadałam z samochodu.

– To pewnie ta grypa żołądkowa, o której mówiłaś. Najwyraźniej jakaś paskudna.

Spodziewałam się, że zastanę Marnie leżącą na kanapie w salonie, ale kiedy z góry dobiegło mnie jej zbolale wołanie, znalazłam ją w łazience: siedziała na podłodze i bardzo krwawiła. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to poronienie.

Później, w szpitalu, już po wszystkich, miałam do niej mnóstwo pytań – ale też wielu rzeczy zaczęłam się domyślać. Kiedy dostała się na studia w Hongkongu, nie posiadała się z radości. Ale gdy po kilku miesiącach przyjechała do domu na Wielkanoc, mówiła, że nie jest pewna, czy chce tam studiować.

– Ale dlaczego? – zapytałam zdziwiona, że zamierza zrezygnować z takiej wspaniałej okazji.

– To tak daleko. – Jadłyśmy wtedy lunch i bez przekonania dźgnęła widelcem ziemniak.

– Nie będziemy się mogli zobaczyć przez dziewięć miesięcy.

– Jeśli naprawdę zatęsknisz za domem, pomyślimy, czy nie dałoby się ściągnąć cię tu na Boże Narodzenie – odezwał się Adam i aż się wzdrygnęłam, bo wiedziałam, że bilety lotnicze o tej porze roku kosztują ponad tysiąc funtów. Wówczas spojrział na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Gdy już będzie na miejscu, dojdzie do siebie. Na razie ma stracha i potrzebuje asekuracji”. – Zresztą czy nie jest za późno, żeby zrezygnować? – mówił dalej.

– Na pewno znajdzie się wielu studentów, którzy chętnie zajmą moje miejsce – odparła, przesuwając ziemniak na talerzu.

– Mówisz poważnie, Marnie? Naprawdę nie chcesz jechać do Hongkongu?

– Sama nie wiem. Bardzo mi się podoba na uniwersytecie.

Mimo że pochyliła głowę nad talerzem, zauważyłam, że się zarumieniła, i zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma nowego chłopaka. Marnie jednak zawsze chętnie przedstawiała nam chłopców, z którymi chodziła, więc myślałam, że rzeczywiście ma stracha – dopóki nie usiadłam przy jej łóżku w szpitalu.

– Jak się czujesz? – zapytałam.

– Jestem zmęczona. Przybita. – Popatrzyła na mnie i w oczach miała tyle bólu, że ścisnęło mi się serce. – Ale mi ulżyło.

– Czulaś się źle od dłuższego czasu?

Pokręciła głową.

– Nie. Ulżyło mi, bo nie muszę już podejmować decyzji. Chyba nie mogłabym urodzić tego dziecka. – W jej oczach pojawiły się łzy. – Wiem, jak okropnie brzmi to dla ciebie, bo ty urodziłaś Josha. Ale miałaś tatę. Ja nie miałabym nikogo.

– Miałabyś nas, zawsze możesz na nas liczyć – zwróciłam łagodnie jej uwagę. – Nie próbowalibyśmy cię do niczego namawiać, postaralibyśmy się tylko, żebyś wiedziała, na czym stoisz. – Zawahałam się. – A ojciec dziecka... czy wiedział, że byłaś w ciąży?

Potwierdziła skinieniem głowy i łzy spłynęły jej po policzkach.

– Tak. Ale dał mi do zrozumienia, że nie chce, abym urodziła, że to nie jest dla nas odpowiednia pora.

– Bardzo mi przykro, Marnie. – I zapytałam niepewnie: – Jak się czulaś, gdy się tego dowiedziałaś?

Skubała kołdrę, rozpaczliwie starając się nie rozkleić.

– To był dla mnie cios. Nie chciałam usunąć ciąży, ale miałam świadomość, że on ma rację. Ty i tata sobie poradziliście, nam by się nie udało. W każdym razie nie teraz.

– Dlatego nie byłaś pewna, czy chcesz jechać do Hongkongu?

– Tak.

– A teraz co o tym myślisz?

– Że dobrze mi robi, jeśli wyjadę. Nasz związek... to nie jest zdrowa relacja.

– Czy to ktoś z uniwersytetu?

– Proszę, nie pytaj mnie o niego, mamó. Zresztą to już skończone. Gdyby nie to – ruchem głowy wskazała na siebie w szpitalnym łóżku – nawet byś się nie dowiedziała. Ale dziękuję ci, dziękuję, że jesteś tu ze mną.

Czekałyśmy na wypis i Marnie zasnęła. I gdy spała, zaczęłam się zastanawiać, kto mógł być ojcem jej dziecka. To, że nie chciała niczego mi o nim powiedzieć oprócz tego, że była to niezdrowa relacja, tylko pobudziło mnie do myślenia. Przyszło mi do głowy, że wdawa się w romans z jednym z wykładowców na uczelni. Marnie jest piękniejsza, niż sądzi, z tymi swoimi szarymi oczami, alabastrową skórą i wijącymi się włosami koloru jesiennych liści, za które oddałabym wszystko. Martwiłam się o nią i byłam wściekła, że wykorzystał młodą dziewczynę. Jak śmiał? To był jej pierwszy rok studiów, pierwszy rok poza domem.

Inna uwaga Marnie, że im dwojgu by się nie udało – w każdym razie nie teraz – upewniła mnie, że jestem na właściwym tropie. Stworzyłam sobie w wyobraźni obraz tego faceta – trzydziestoparolatka, żonatego, dzieciatego – i miałam ochotę go zabić. Byłam przerażona, że Marnie odważyła się związać z kimś, kto nie jest wolny. Jednak przypomniałam sobie, że tego nie wiem; może ojciec dziecka jest jak ona studentem, jej kolegą. Ale w takim przypadku nie musiałyby niczego przede mną ukrywać. To, co mi zdradziła, budziło mój niepokój.

Pragnęłam porozmawiać z Adamem, ale nie chciałam zostawiać Marnie samej. Poza tym musiałam ją spytać, czy mogę mu powiedzieć o jej poronieniu.

– Nie! – odparła zdecydowanie, gdy to zrobiłam. – Nie, on nie może się dowiedzieć. Ani Josh. Nie mów im, mamó, proszę. Nie chcę, żeby wiedzieli.

Uszanowałam jej życzenie, choć z trudem. Nie lubiłam ukrywać niczego ważnego przed Adamem i było mi ciężko, że nie mogę mu się zwierzyć. Wciąż myślałam o wnuku, którego byśmy mieli, gdyby Marnie nie poroniła i postanowiła urodzić. Wiedziałam, że nie ma sensu zastanawiać się nad czymś, co było niemożliwe, ale w dwunastym tygodniu ciąży Marnie musiałyby ostatecznie podjąć decyzję. I nie byłam pewna, czy zdecydowałyby się na aborcję. Nie mogłam jej o to zapytać, więc w skrytości ducha opłakiwałam dziecko, które przyszłoby na świat, gdyby sprawy ułożyły się inaczej.

I chociaż wyrzucałam sobie, że osądzam Marnie, w głębi duszy nie mogłam się nadziwić, że związała się z kimś, kto prawdopodobnie miał partnerkę, a może i dzieci. Winilałam za to siebie. Nie ostrzegłam jej, żeby nie wdawała się w romanse z żonatymi czy zajętymi mężczyznami, bo nigdy nie przyszło mi na myśl, że mogłaby zrobić coś takiego. Miałam poczucie, że zawiodłam jako matka i że to przeze mnie przeszła przez coś tak traumatycznego jak poronienie.

W następnych dniach godzinami siedziałam w internecie, oglądałam zdjęcia z jej wydziału na uczelni i próbowałam zidentyfikować faceta, który zdobył serce mojej córki, a potem tak się z nią obszedł. Niewielu było takich, którzy mogli być przed trzydziestką; większość wyglądała na czterdziestolatków, dwa razy od niej starszych, co tym bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że została wykorzystana. Mówiłam sobie, że Marnie może ponosić taką samą odpowiedzialność, niewykluczone, że to ona któregoś uwiodła. Ale to nie poprawiało mi samopoczucia.

Pamiętam, że gdy patrzyłam na Marnie w jej siedemnaste urodziny – miała tyle lat, co ja, gdy zaszłam w ciążę – myślałam: Jak oni mogli? Jak moi rodzice mogli się mnie wyrzec? I sądziłam, że Marnie mogłaby zrobić wszystko, naprawdę wszystko, a ja bym jej wybaczyla.

Zastanawiam się teraz, czy nie było to kuszenie losu, który postanowił wystawić mnie na próbę.

Adam

Ściska mnie w żołądku, gdy tak krążę po pokoju Marnie. Ona musi – naprawdę musi – zadzwonić, zanim Liv wróci do domu. Jeśli tego nie zrobi, Liv, kiedy dowie się ode mnie o katastrofie, nie będzie chciała uwierzyć – nawet jeśli jej pokażę – że nasza córka jest bezpieczna, że nie mogła zdążyć na samolot z Kairu, mając na przesiadkę tylko dziesięć minut. Wpadnie w panikę.

Muszę z kimś porozmawiać, nie po to, żeby wyrzucić wszystko z siebie, ale żeby wypełnić czas, gdy tak czekam. Nelson, zadzwonię do Nelsona.

Siadam na łóżku i już mam do niego zatelefonować, gdy sobie przypominam, że pilnuje dzieci. Myślę, czyby nie poszukać Josha i nie zaproponować mu pomocy w ogrodzie, nie zając się czymś. Żeby nie myśleć. Ale on jest z Maxem, wygłupiają się i żartują, przygotowując wszystko na wieczór.

Uświadamiam sobie, że najchętniej pogadałbym z tatą. Wyszukuję jego numer i dzwonię.

– Cześć, Adamie, co tam? – Nie mogę wydobyć słowa, gdy słyszę znajomy głos. – Adamie? Adamie, jesteś tam?

Wstaję.

– Tak, przepraszam, tato, Josh mnie o coś pyta.

– Chcesz oddzwonić?

Dociera do mnie poniewczasie, że nie powinienem do niego telefonować. Ma jakiś niesamowity szósty zmysł i wyczuwa, gdy coś mnie gnębi.

– Nie, wszystko w porządku – wyduszam z siebie.

– A jak się czuje Liv?

Podchodzę do okna i przytykam czoło do szyby.

– Uszczęśliwiona, podekscytowana. Jest w spa, z Kirin i Jess.

– Więc nie biega jak kot z pęcherzem?

– Nie, to niewiarygodne, jak dobrze jest zorganizowana.

– A ty?

– Ja?

– Tak. Jak się masz?

Prostuję się.

– Dobrze.

– A Marnie?

O Boże.

– Słucham?

– Marnie. To z jej powodu jesteś przygnębiony? Bo nie będzie na przyjęciu?

– Ja wcale nie... – Urywam. – Chciałbym, żeby przyjechała, i tyle.

– Jak my wszyscy. Odzywała się?

– Tak, wczoraj. Miała się uczyć. A co u ciebie i mamy?

– Już nie możemy się doczekać, żeby zobaczyć się z wami wieczorem. – Milknie na chwilę. – Na pewno wszystko dobrze?

– Na pewno. Pomyślałem, że zadzwonię, i już.

– Dać ci mamę?

– Nie, nie trzeba, powiedz jej, że pogadamy później. No to więcej ci nie przeszkadzam.

– Wszystko się ułoży, jeśli coś cię martwi, synu – mówi na koniec.

I wtedy omal tego z siebie nie wyrzucam, omal nie pytam, czy słyszał o katastrofie samolotu. Ale gdybym to zrobił, nie mógłbym się powstrzymać i powiedziałbym mu o Marnie, a zanim powiem komukolwiek, muszę porozmawiać z Liv.

– Lecę, tato – rzucam i zanim zdąży odpowiedzieć, przerywam połączenie.

Nie jestem w stanie znieść tej ciszy. Opuszczam pokój Marnie i schodzę na parter. Pralka w pomieszczeniu gospodarczym skończyła pracę. Wyjmuję z niej szlafrok Marnie i wkładam do suszarki, żeby nasza córka mogła go włożyć, kiedy przyjedzie.

Livia

Opieram głowę na fotelu w samochodzie i zamykam oczy. Właśnie odwiozłyśmy Jess, więc wróciłam na przednie siedzenie.

– Nie walcz z tym – mówi Kirin. Uśmiecha się do mnie z rozbawieniem.

– Przepraszam – jęczę i zmuszam się do zamknięcia ust po największym ziewnięciu w moim życiu. – To przez ten masaż. Jestem tak zrelaksowana, że chce mi się spać.

– Więc to nie wina dodatkowego kieliszka szampana? – pyta, śmiejąc się. – Możesz sobie odpocząć, do domu mamy jeszcze kawałek drogi. – Spogląda przez przednią szybę. – Skąd się biorą takie korki?

– To przez sobotnich zakupowiczów – odpowiadam. – Jeśli tylko odstawisz mnie przed przyjęciem, będzie dobrze.

– Co sądzisz o stanie Jess? – Słyszę niepokój w jej głosie i chciałabym odpowiedzieć, że moim zdaniem Jess jest w świetnej formie, ale nie mogę.

– Bywało, że miała się lepiej – mówię ze smutkiem. – Trochę chwiała się na nogach, mimo laski.

– Naprawdę się o nią martwię. Nelson też. – Przerzywa. – On właściwie bardziej martwi się o Roba. Powiedział mu, że według nas już widać po niej skutki SM, ale Rob chyba nie chce tego dostrzec. Nie uważa, żeby Jess miała się gorzej, twierdzi, że wciąż jest bardzo samodzielna. A przecież ona sama powiedziała mi, że ma trudności z wchodzeniem po schodach i czasami traci czucie w rękach. Nelson się boi, że Rob sobie nie poradzi, gdy choroba Jess będzie postępować. Oczywiście my zawsze jej pomożemy, ale gdy urodzą się dzieci, nie będziemy mieli tyle czasu co teraz.

– Dlatego powinnaś powiedzieć Nelsonowi, że jesteś w ciąży, to ważne – przypomniałam jej.

– Zrobię to zaraz po powrocie do domu. – Samochód znowu się zatrzymuje i Kirin wyciąga rękę w stronę radia. – Nastawię jakąś muzykę, na pewno znajdzie się taka, która cię uspi. Możesz się zdrzemnąć przed przyjęciem. Nie masz już nic do roboty, prawda?

– Nie, a jeśli nawet coś by trzeba jeszcze zrobić, na miejscu są Josh i Max.

– Więc się odpręż.

Ale chociaż chętnie bym posłuchała jej rady, uniemożliwia mi to wzmianka o Maxie. Nie wiem, kiedy zaczęłam podejrzewać, że to on jest ojcem dziecka Marnie, ale pewnie

wtedy, gdy w październiku zadzwoniła do mnie z Hongkongu i powiedziała, że on chce do niej przyjechać – a wolałaby, żeby nie przyjeżdżał.

– Dlaczego? – zapytałam, bo kiedyś bardzo Maxa lubiła.

– Bo planuje przylot w grudniu, a ja będę wtedy zbyt zajęta pisaniem pracy, żeby oprowadzić go po mieście.

– Na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, żeby samemu wybrać się na zwiedzanie, gdy ty będziesz się uczyć – zauważyłam, biorąc jej tłumaczenie za dobrą monetę.

– Tak mówił. Więc powiem mu, że wyjeżdżam z przyjaciółmi. To nieprawda, ale w razie czego potwierdzisz, dobrze, mam? Jeśli Max wspomni, że chciałby przyjechać do mnie w grudniu, powiesz, że mnie nie będzie?

– Hm – zaczęłam pełna wątpliwości. – Nie wiem, czy powinniśmy go okłamywać. A nie zrobiłaby ci dobrze jego wizyta?

– Nic mi nie dolega.

Wyglądało na to, że jest w lepszej formie, i trochę mi ulżyło. Strasznie ciężko było wyprawić ją do Hongkongu zaledwie sześć tygodni po poronieniu. Zaproponowałam, że polecę z nią, ale odmówiła. Chociaż nie chciała o tym rozmawiać, rozstanie z ojcem dziecka wiele ją kosztowało. Czasami, gdy przystawałam przed jej pokojem, słyszałam, że płacze, a wtedy niepewnie pukalam do drzwi. Pozwalała mi wejść, więc siadałam obok i obejmowałam ją, nic nie mówiąc.

– Naprawdę? Naprawdę czujesz się lepiej? – zapytałam. Pragnęłam, żeby tak było, bo nie ma nic gorszego niż wiedzieć, że twoje dziecko cierpi, i być za daleko, żeby je przytulić.

– Tak. To co, wesprzesz mnie? Proszę, mam. Nie chcę, żeby Max przyjechał.

Nie mogłam zobaczyć jej twarzy, bo to nie była jak zwykle rozmowa na wizji, i nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Specjalnie skomunikowała się ze mną w trybie audio, żebym nie widziała jej miny, gdy będzie mówiła o Maxie, który był niemal jej bratem, należał do naszej rodziny, więc gdyby związała się z nim, to rzeczywiście byłoby – cóż, niezdrowe. Zdałam sobie sprawę, że wszystkie elementy układanki do siebie pasują. Marnie dostała się na uniwersytet w Durham, Max był na czwartym roku w Newcastle, dwadzieścia minut drogi od niej, i przypominałam sobie, jak ją przekonywał, gdy musiała wybrać między Durham a Edynburgiem, za którym obstawał Adam.

– Jeśli wybierzesz Durham, będę blisko ciebie – powiedział wtedy. – W razie czego zaopiekuję się tobą.

A ona się zaśmiała i odparła:

– Nie potrzebuję opieki. Ale miło byłoby mieć cię w pobliżu.

Rozmawiałam z Marnie przez głośnik, bo jednocześnie przyrządzałam sałatkę, ale odeszłam od zlewu i ciężko usiadłam przy stole, kładąc na nim telefon.

– Marnie – zaczęłam. Chciałam się dowiedzieć, czy mam rację. Ale być może wyczuła, że się domyśliłam, bo szybko mi przerwała.

– Tylko potwierdź moją wersję, mam – poprosiła.

Nie zrobiłam tej sałatki. Kiedy Adam wrócił do domu z wyjazdu na wybrzeże i zastał mnie wpatzoną w przestrzeń, zaniepokoił się.

– Wyglądasz na zmartwioną – zauważył, patrząc na mnie uważnie. – Wszystko w porządku?

– Marnie dzwoniła.

– Ojej. – Posmutniał. – Szkoda, że mnie nie było. Jak się ma?

– Dobrze – odrzekłam automatycznie, bo uświadomiłam sobie coś innego, a mianowicie że Marnie w normalnych okolicznościach nie zadzwoniłaby w niedzielę rano, bo wiedziałaby, że nie zastanie ojca. Zdecydowała się zatelefonować tego ranka, ponieważ nie chciała, aby Adam słyszał, jak prosi mnie o wyperswadowanie Maxowi przyjazdu do Hongkongu.

– Co u niej nowego?

– Niewiele. – Czekał na dalszy ciąg. – Max chce polecieć do niej w grudniu, ale ona zamierza wyjechać gdzieś z przyjaciółmi – powiedziałam, świadoma, że już za nią kłamię.

– Szkoda, dobrze by jej zrobiła wizyta Maxa. Nie spodziewałem się, że Marnie będzie tak bardzo tęsknić za domem, i to już po czterech miesiącach.

Ponieważ nie wiedział, że poroniła ani że zakończyła związek, jej obniżony nastrój przypisywał tęsknocie za bliskimi.

– Była dziś pogodniejsza – dodałam, żałując, że nie mogę mu się zwierzyć, zapytać, czy jego zdaniem to możliwe, aby Marnie i Max związali się ze sobą. Jednak gdybym zaczęła tę rozmowę, musiałabym powiedzieć mu o poronieniu, a nie chciałam zawieść zaufania córki. Rozważałam to w kółko, ale pamiętałam, jak bardzo jej zależało, żeby Josh nie dowiedział się o ciąży. Rozumiałam, dlaczego nie chce, żeby Adam się dowiedział – bała się, że będzie nią rozczarowany – ale przecież ona i Josh byli ze sobą tak blisko, że nie mieli przed sobą tajemnic. Jeżeli obstawała przy tym, aby brat też się o niczym nie dowiedział, to dlatego, że obawiała się mu powiedzieć, kto jest ojcem dziecka. A w przeciwieństwie do mnie on wyciągnąłby od niej tę informację.

Wszystko inne też nabrało sensu. Zanim Marnie wyjechała na studia, Max zamierzał odwiedzić ojca w ten sam weekend, w który przyjeżdżał do nas Josh, więc mieliby okazję się spotkać. Jednak przy kilku okazjach nie miał podobnego pretekstu, a i tak do nas zachodził, mówiąc, że chce zobaczyć się z nami, że lubi moją kuchnię albo potrzebuje przy czymś pomocy Adama. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że tak naprawdę zjawiał się, żeby zobaczyć Marnie, i wyrzucałam sobie, że byłam tak naiwna. Czy już wtedy coś ich łączyło? Czy wszystko się zaczęło, gdy Marnie wyjechała do Durham?

Choć to głupie, czułam się oszukana. Jak Max mógł nakłaniać Marnie, aby „zrozumiała”, że nie może urodzić dziecka, znając okoliczności przyjścia Josha na świat i wiedząc, że Adam i ja nie odmówilibyśmy im pomocy po tym, co sami przeszliśmy? Patrzył na nas, na naszą rodzinę, i uznał, że nie chce czegoś takiego? W moich oczach była to straszliwa nielojalność wobec Josha, mnie i Adama.

Gdy później do nas wstępował – zawsze pytając o Marnie, jak jej tam w Hongkongu – ledwie mogłam na niego patrzeć. Wielokrotnie miałam ochotę zapytać go o prawdę i powiedzieć Adamowi, żeby nie częstował go piwem ani nie zabierał na drinka. Ale gdyby Adam się dowiedział, że Max zrobił Marnie dziecko, a potem praktycznie kazał jej się go pozbyć, nie darowałby mu tego.

Dlatego wolałam mu nie mówić.

Adam

Siadam na naszym łóżku, w domu panuje cisza. Z ogrodu dochodzą głosy Josha i Maxa, ale są niewyraźne, więc nie rozróżniam słów. Przed chwilą, gdy przechodzili pod oknem sypialni, słyszałem, jak rozmawiali, chyba o muzyce na wieczór. Ale nie zwróciłem na to uwagi.

Obok mnie leży telefon stacjonarny, wyświetlacz jest ciemny, wyłączony. Wcześniej, kiedy byłem w pokoju Marnie, nagle sobie uprzytomniłem, że mogła zadzwonić do domu, i gdy biegłem na dół, niemal uwierzyłem, że nagrała się na automatyczną sekretarkę. Ale niestety nie, były tylko trzy wiadomości dla Liv, od kolegów i koleżanek, którzy odśpiewali jej *Happy Birthday* i życzyli wszystkiego najlepszego.

Telefon komórkowy rozjaśnia mi się w dłoni i natychmiast spoglądam na wyświetlacz. To jednak nie nowa wiadomość na WhatsAppie, ale informacja o przyjściu e-maila – reklamy wyprzedaży akcesoriów motocyklowych. I uświadamiam sobie, że głupi nie zajrzałem do poczty elektronicznej. Może znajdę tam coś od Marnie.

Wchodzę do skrzynki odbiorczej i szybko przewijam wiadomości, szukając wzrokiem jej adresu mailowego i imienia. Ale daremnie. Słyszę trzaśnięcie drzwi od samochodu i zaraz potem głos Liv. Ogarnia mnie dziwne uczucie, którego nie potrafię określić, jakbym został przyłapany na jakimś złym uczynku. Pośpiesznie wystukuję mail do Marnie, proszę w nim, żeby zadzwoniła albo napisała, i na koniec dodaję, że ją kochamy, bardzo kochamy.

– Mamo, nie wchodź na razie, namiot nie jest jeszcze gotowy! – Josh musi być na tarasie, bo jego głos brzmi zbyt głośno. Liv będzie musiała wejść przez boczną furtkę.

Wstaję i zbliżam się do okna. Josh skacze z rozpostartymi ramionami, zagrządzając jej drogę.

– Zostań tam! – woła.

– Dobrze – odpowiada Liv. Śmieje się i poprawia pasek torebki, który zsunął jej się z ramienia. – Mogę chociaż tu usiąść?

Stoi przy stole, pod którym z pomocą Josha przed południem ukryłem pudło, żeby Marnie miała się gdzie schować, gdy przyjedzie. Z tą niespodzianką trzeba będzie poczekać. Ogarnia mnie złość. Liv na to nie zasługuje, podobnie jak Marnie. Dlaczego dzień nie potoczył się tak, jak powinien?

Z zamyślenia wrywa mnie znowu głos Josha.

– Dobra, możesz tam zostać. Jeśli tylko nie podejdziesz bliżej i nie będziesz patrzeć w stronę namiotu!

– Obiecuję. Ale Kirin dała mi to. – Wyjmuje z torebki szampana. – Powiedziała, że mam wypić go z tatą przed przyjęciem. To taki miły gest... trzymała butelkę w lodzie, żebyśmy od razu mogli ją otworzyć.

Serce mi się ściska. Kieliszek szampana to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę.

– Max i ja nie będziemy mieli nic przeciwko, jeśli zostawicie trochę dla nas.

Liv się pochyla, żeby pogłaskać Murphy'ego, który pojawił się u jej nóg.

– Da się zrobić – odpowiada lekkim tonem.

– Miałaś miły dzień?

– Tak, cudowny! Zrobili mi masaż i zabiegi pielęgnacyjne na twarz. – Patrzy z udawaną surowością na Josha. – Nie zauważyłeś we mnie żadnej różnicy?

– Rzeczywiście pomyślałem, że wyglądasz bardziej... promiennie... niż zwykle – kwituje i tym ją rozśmiesza.

Liv podnosi rękę, żeby osłonić oczy.

– A gdzie tata?

– Na górze. Dostał migreny.

– O nie! Dawno już jej nie miewał. Więc nie pojechał do miasta?

– Pojechał, ale po powrocie był nieswój, więc go zapytałem, czy dobrze się czuje, a on odpowiedział, że boli go głowa. – Ścisza głos, ale nie na tyle, abym nie mógł usłyszeć, co mówi. – Chyba nie powinienem tego zdradzać, ale zdaje się, że ma to coś wspólnego z prezentem dla ciebie.

– O rany, nie chcę, żeby się stresował, jeśli nic mi nie kupił. To naprawdę nie ma znaczenia. Sądzisz, że powinnam coś powiedzieć, aby przestał się gryźć?

– Nie, na razie o tym nie wspominaj, bo może wszystko dobrze się skończy. A jeśli nie, to przynajmniej będziesz uprzedzona. Dobrze zrobiłem, że ci o tym powiedziałem, prawda? – upewnia się.

Livia potwierdza skinieniem głowy.

– Tak, na pewno. – Patrzy z rezygnacją na szampana. – Chyba nie będzie chciał się napić, skoro ma migrenę. – Zdejmuje torebkę z ramienia i stawia na stole. – Lepiej do niego zajrzeć.

Jej rozczarowanie stanowi dla mnie bodziec. Ruszam do drzwi sypialni. Dam radę, dam radę dla Livii. To tylko kieliszek szampana.

Zbiegam po schodach, przechodzę przez kuchnię i już jestem na tarasie.

– Tato! – mówi Josh. – Jak się czujesz?

Staję niepewnie, bo do Livii i Josha dołączył Max. Livia zbliża się do mnie.

– Josh mówi, że masz migrenę. – Ściska mnie.

– Miałem – koryguję. – Ale już mi przeszła. Łyknąłem tabletkę paracetamolu.

Patrzy mi w oczy.

– Na pewno?

– Tak. Pięknie pachniesz.

– To te kremy, które stosują w spa, mają tak apetyczny zapach, że chętnie bym je zjadła. Josh się krzywi.

– Ojej.

– Cześć, Adamie!

– Cześć. – Nie patrzę na Maxa, spoglądam na butelkę, którą trzyma Livia. – Co to? – pytam.

– Szampan. Od Kirin. Pewnie nie masz ochoty na kieliszek?

– Napiję się z chęcią.

– Świetnie! Josh, Max, wy też?

– Nie, ja dziękuję – odpowiada grzecznie Max.

– Jesteś pewny? Wystarczy dla wszystkich.

Zerkam na Livię, zastanawiając się, dlaczego nagle stała się dla niego taka miła.

– Wypijmy szampana sami – proponuję.

Josh rzuca mi zdziwione spojrzenie. A potem się orientuje – albo tak mu się wydaje, bo podnosi rękę w geście poddania.

– Słusznie, mamy co robić. Musimy przed piątą odprowadzić Murphy’ego do ojca Maxa.

Pies na dźwięk swojego imienia trąca dłoń Livii.

– Może tu zostać, w jednej z sypialni – odpowiada ona. – Na przykład w pokoju Marnie, która na pewno nie miałaby nic przeciwko temu.

– Nie! – Josh i ja protestujemy jednocześnie. On się śmieje i kręci głową.

– Będzie słyszał hałas, mamó, a tego nie znosi. – Patrzy na mnie porozumiewawczo. – Tato, napij się z mamą szampana i nie puszczaj jej na trawnik. Tam na razie nie wolno jej wchodzić. Chodź, Max.

– To do zobaczenia! – Livia do nich macha, a potem zwraca się do mnie. – Mam pójść po kieliszki?

– Nie, usiądź i nie ruszaj się z miejsca. – Biorę krzesło i stawiam je wzdłuż stołu, żeby nie wsuwała nóg pod blat. Raczej nie sięgnęłyby nimi do pudła, ale wolę nie ryzykować.

– Jestem dziś rozpieszczana – komentuje i siada z uśmiechem.

Przez chwilę szukam w kuchni kieliszków. Znajduję dwa w głębi szafki i zanoszę je na taras. Josh sądził, że chcę się go pozbyć, aby wyjaśnić kwestię prezentu, i Livia chyba myśli podobnie, bo gdy tylko nalewam szampana, pyta, jak moja wyprawa do miasta. W chwili gdy wraca do mnie wspomnienie rozbitego samolotu, zerkam na jej torebkę i widzę wetknięty do niej telefon, niemal zasłonięty przezroczystą plastikową torebką z mokrym kostiumem kąpielowym. Ogarnia mnie przerażenie. Nie przyszło mi do głowy, że Livia mogła przeczytać o katastrofie. A jeśli zajrzy do odebranych wiadomości i zacznie o tym mówić?

– Dobrze – odpowiadam na jej pytanie o wyjazd do miasta. – Więc... – Sięgam po jeden z kieliszków i podaję go jej. – Nie przeszkadza ci obecność Maxa?

– Oczywiście, że nie. A dlaczego pytasz?

Patrzę na nią badawczo, ale unika mojego wzroku. Podnosi kieliszek i kryształowe szkło lśni w blasku słońca.

– Dostaliśmy je w prezencie ślubnym – mówi.

– To tłumaczy, dlaczego wciąż są w pudełku.

– Pamiętasz, kto nam je dał?

– Z całą pewnością nie twoi rodzice.

– Nie, ich przyjaciele, Mary i David. Ciekawa jestem, czy im powiedzieli, że sprawili nam prezent ślubny i odwiedzili mnie w szpitalu, gdy urodził się Josh. Dostaliśmy prezenty z okazji ślubu i narodzin dziecka od wielu ich znajomych, właściwie prawie wszystkich.

Podnoszę kieliszek. Jeśli woli udawać, że nie ma problemu z Maxem, niewiele więcej mogę zrobić.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Uśmiecha się z zadowoleniem.

– Dziękuję. Nie mieści mi się w głowie, że kończę dziś czterdzieści lat, to niewiarygodne! Czuję się prawie tak samo jak wtedy, gdy miałam dwudziestkę. – Śmieje się sama z siebie. Od tamtego czasu przeszliśmy długą drogę.

– Opowiedz, jak było w spa. – Wskazuję głową jej torebkę. – Widzę, że pływałaś.

– Tak, Jess podarowała mi na urodziny piękny kostium, a mają tam basen. Domyślałam się, że zorganizowanie tego wszystkiego kosztowało cię sporo zachodu.

– Musiałem zostać wtajemniczony, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie i sama umówiła się do spa. Wtedy miałem ci powiedzieć, że to za droga impreza i że nie warto wydawać na nią pieniędzy.

– Tylko że nigdy takich rzeczy nie mówisz, więc od razu bym się domyśliła.

Pociągam łyk szampana.

– Nie usiądziesz? – pyta.

– Usiądę. Ale najpierw wypłuczę twój kostium.

– Ja mogę to zrobić – sprzeciwia się. – Poza tym wypłukałam go już w spa.

– Więc go rozwieszę, żeby wysechł. – Zanim zdąży odwieść mnie od tego zamiaru, wyciągam rękę i razem z kostiumem ukradkiem wyjmuję z torebki telefon. – To zajmie tylko chwilę.

W pomieszczeniu gospodarczym po wyłączeniu dźwięku chowam telefon na dno kosza z praniem, po czym rozwieszam kostium na suszarce.

– Zrobione – mówię po powrocie na taras i siadam naprzeciwko Liv. – Więc dobrze się bawiłaś? W spa?

– Zabiegi na twarz mi się podobały, ale masaż nie za bardzo. Jednak czuję się niezwykle odprężona. I zjadłyśmy pyszny lunch, z szampanem.

Unoszę brwi.

– Więc to nie jest twój pierwszy kieliszek? – rzucam. Jak zwykle staram się żartować z tego, że ma słabą głowę i niewiele jej potrzeba, aby się upić.

– Nie, poza tym Jess i ja musiałyśmy wypić za Kirin, bo, bo... – jąka się – przecież prowadziła samochód.

– Ale na jeden kieliszek chyba mogła sobie pozwolić?

– Tak, ale surowo podchodzi do kwestii prowadzenia po alkoholu. Musi, bo byłaby uziemiona, gdyby straciła prawo jazdy.

Kiwam głową.

– A jak się ma Jess?

– Nie za dobrze. Nie wyglądała najlepiej i trudno jej było utrzymać równowagę.

– Biedna Jess. Świetnie się składa, że Rob może pracować w domu.

Kiedy u Jess stwierdzono SM, wszyscy byliśmy wstrząśnięci i nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. W dość szybkim czasie straciła sprawność, a razem z nią pewność siebie i każdy z jej otoczenia przyjął to inaczej. Rob, który początkowo bardzo ją wspierał, zaczął zmieniać stanowiska w ramach swojej firmy, co wiązało się z tym, że dużo podróżował i zostawiał Jess samą, zdaną tylko na siebie. Byliśmy razem w pubie, gdy Nelson postanowił z nim na ten temat porozmawiać.

– Gdybyś powiedział swojemu szefowi, jak się ma sprawa z Jess, to chyba dałby ci dawną robotę? – zapytał.

– Już wam mówiłem... to stanowisko to awans, który jest nam, mnie i Jess, bardzo na rękę, zwłaszcza że nie wiadomo, jak dalej z nią będzie – wyjaśnił Rob z rozdrażnieniem, nieprzyzwyczajony do tego, że zazwyczaj opiekuńczy i życzliwy starszy brat ma do niego pretensje. – Na razie może pracować, ale jak długo jeszcze?

– Ale gdy nie będzie miała cię do pomocy, czy jej stan nie pogorszy się szybciej?

– To ryzyko, które musimy podjąć. Rozmawiałem o tym z Jess, nie ma nic przeciwko temu, żebym wyjeżdżał na parę dni w tygodniu. A jeśli jej stan rzeczywiście się pogorszy, wtedy się zastanowię, czy nie poprosić znowu o pracę przy biurku. O rany, Nelsonie, odpuść mi, co?

Dogaduję się z Robem, ale nie jestem z nim blisko, szczególnie od czasu, gdy próbował wbić klin pomiędzy mnie a Livię na początku naszego małżeństwa, nakłaniając mnie do kupna motocykla. Kiedy byłem młodszy, strasznie mnie wkurzało, że stale przyklejał się do mnie i Nelsona. Nelson z jakiegoś powodu zawsze czuł się za niego odpowiedzialny. Rob potrafi być zabawny, ale przez większość czasu strasznie mnie drażni. Nie chodzi o to, że obnosi się ze swoją aparycją gwiazdora filmowego i wkłada przeciwsłoneczne awiatory, gdy tylko zaświeci słońce, ani że wykorzystuje swój urok, ale o to, że zawsze musi być w centrum zainteresowania. Jednak wygląda na to, że jestem jedyną osobą, która się domyśliła, dlaczego bez protestu przyjął to nowe stanowisko – bo chętnie wyjeżdża, ucieka

przed zmartwieniem, jakim jest choroba Jess. Mogę to zrozumieć, mimo że ja sam nigdy bym tak nie postąpił, gdyby Livię spotkało coś podobnego.

Rob w końcu ugiął się pod presją rodziny, zarówno Jess, jak i własnej, i w styczniu tego roku wrócił do pracy w biurze. Zostawił Jess tylko raz, pod koniec kwietnia, kiedy pojechał z Cleo na jej urodziny do Hongkongu, do Marnie, bo Jess nie chciała, żeby córka leciała sama.

Gdy Rob wyjechał, Jess przeniosła się do nas i chociaż nie było z tym żadnych problemów, w jej stosunkach z Livią coś się zmieniło, raczej ze strony Livii. To naprawdę przykre, wydaje mi się jednak, że Livia, obcując z nią przez całe dziesięć dni, uświadomiła sobie, jak bardzo Jess sobie nie radzi, i nie mogła się z tym pogodzić. I od tamtego czasu zachowuje wobec niej dystans, tak że w weekendy umawiamy się raczej z jej kolegami i koleżankami z pracy niż z Jess i Kirin, inaczej niż kiedyś, jakby chciała mieć wymówkę, żeby się z nimi dwiema nie spotkać. Gdy ją o to zagadnąłem, wcale się nie wypierała.

– Nie masz czasami wrażenia, że nasza szóstka za bardzo trzyma się razem? Dobrze nam robi poszerzenie grona przyjaciół.

Nie mogłem się z nią nie zgodzić, zresztą lubię jej znajomych i zawsze dobrze się razem bawimy. Brakuje mi jednak dawnych weekendowych kolacji i improwizowanych lunchów z innymi. Właśnie dlatego parę tygodni temu powiedziałem Nelsonowi i Robowi, żeby przyszli w weekend z Kirin i Jess na grilla. Livia nie zaprotestowała, kiedy ją o tym uprzedziłem, ale ponieważ źle się poczuła, do spotkania nie doszło. Nie twierdzę, że udawała chorą, bo naprawdę wyglądała okropnie. Ale to moim zdaniem za duży zbieg okoliczności i nie mogę pogodzić się z myślą, że Liv jest przytłoczona chorobą Jess.

Liv dotyka mojego ramienia.

– O czym myślisz?

Dociera do mnie, że byłem nieobecny duchem.

– Przepraszam. Myślałem o tym, jak dobrze wygląda ogród.

Ujmuje mnie za rękę.

– Chcę zapamiętać tę chwilę na zawsze – mówi łagodnie. – Ty, ja, Josh, przyjęcie. I Marnie, oczywiście.

Marnie. Jak mogłem zapomnieć nawet na sekundę? Gdybym tylko wiedział na pewno, że jest bezpieczna. Livia przymyka oczy i zwraca twarz ku słońcu. Wyjmuję z kieszeni telefon i zerkam szybko na wyświetlacz.

Nic, żadnych wiadomości.

Livia

– Czy nie jest cudownie? – mrużę.

Adam nie odpowiada, więc obracam głowę w jego stronę i mrużąc oczy, przyglądam mu się, aby sprawdzić, czy dobrze się czuje. Ma opuszczone powieki i widząc napięcie na jego twarzy, uświadamiam sobie, że kłamał, wcale nie miał migreny. Cieszę się, że nie drążył tematu Jess. Wiem, że się zastanawia, o co chodzi, dlaczego nie widuję się z nią tak często jak dawniej. Powiedziałam mu, że powinniśmy poszerzyć grono znajomych, ale nie zna powodu, nie wie, co zamierzam.

Przyjaciele zawsze byli dla mnie ważniejsi niż dla większości ludzi, a to dlatego, że nie miałam rodziny. Z braku rodzeństwa traktuję Jess i Kirin jak siostry, a Nelsona i Roba jak braci. Mam jednak świadomość, jak niepewna jest przyszłość, i wiem, że już bardzo niedługo wszystko się zmieni. Dlatego za każdym razem, gdy spotykam się z Jess, serce mi pęka.

Dziś wydawała się taka krucha. Może powinnam wysłać jej esemesa, napisać, że zrozumiałam, jeśli będzie wolała zostać wieczorem w domu i odpocząć. Ulga, jaką czuję na myśl, że mogłaby nie przyjść na przyjęcie, napawa mnie niesmakiem do samej siebie. Nie zrobię tego, byłoby jej bardzo przykro, gdybym zasugerowała, aby nie przychodziła. Zdaje sobie sprawę z tego, że wiem, iż za nic nie darowałyby sobie takiej okazji, nawet gdyby ktoś musiał ją do nas zanieść.

Max to kolejna osoba, której dzisiejszego wieczoru mogłoby nie być. Dziwnie było dziś się z nim spotkać. Nie widzieliśmy się przez jakiś czas, więc być może zapomniał, że od października ledwie się do niego odzywałam. Liczyłam, że jeśli będę się wobec niego zachowywać jak kiedyś, wszystko wróci do normy. Tak się nie stało. Musi być zdezorientowany. Świadomość, że powinnam się z tego wytłumaczyć, jest strasznie dobijająca.

Sięgam po kieliszek i popijam ciepłego już szampana. Marnie będzie miała z czego się spowiadać. Co to była za ulga usłyszeć w październiku, że ma się lepiej – to podczas tej rozmowy telefonicznej powiedziała mi, że nie chce, aby Max do niej przyjeżdżał. Dobry nastrój dopisywał jej jeszcze podczas świąt Bożego Narodzenia i przez cały styczeń. Jednak gdy przyszedł luty, znowu popadła w przygnębienie. Zdaniem Adama stwierdziła, że nie będzie mogła przyjechać na moje przyjęcie, i to tak na nią podziałało. Zaproponował więc,

żebym poleciała do Hongkongu i z nią porozmawiała. Uzgodniłam wszystko w pracy i uznaliśmy, że najlepiej byłoby, gdybym wybrała się do niej na początku kwietnia.

Zanim jednak zdążyłam powiedzieć o tym Marnie, skontaktowała się ze mną na FaceTimie. Siedziała na ławce przed uniwersytetem, okulary przeciwsłoneczne miała odsunięte na czoło. Widziałam za jej plecami szklane drzwi do budynku, wchodzących i wychodzących przez nie studentów, niektórzy, z torbami na ramionach, nieśli książki. Bardzo mnie cieszyło, że mogłam zobaczyć, jak wygląda jej życie w Hongkongu, zamiast oglądać ścianę pokoju, w którym mieszka.

– Wiesz co, mamie? Przyjeżdża do mnie Cleo!

– To wspaniale! – odparłam zadowolona, że znowu odżyła. – Kiedy?

– W kwietniu, na swoje urodziny. Przyleci z nią Rob, bo Jess nie chce, żeby podróżowała sama.

– Zabawne, że widziałam się z Jess kilka dni temu i nic mi o tym nie wspomniała.

– Na pewno dlatego, że oboje z Robem dopiero na to wpadli. To ma być prezent urodzinowy dla Cleo.

– Ojej, jak miło z ich strony.

– Wiem, już nie mogę się doczekać!

– Więc dobrze, że nie zarezerwowałam sobie biletu na samolot – powiedziałam rozbawiona jej podnieceniem.

– Jak to?

– Myślałam, żeby cię odwiedzić.

– Naprawdę? Kiedy?

– Zamierzałam przylecieć na początku kwietnia. Ale skoro przyjeżdżają do ciebie Cleo i Rob, może powinnam wybrać się w maju.

– Mamie, nie musisz, naprawdę. To znaczy, oczywiście, byłoby cudownie, gdybyśmy się zobaczyły, ale gdy Cleo i Rob wyjadą, do mojego powrotu pozostanie już tylko parę miesięcy.

– Przykro mi, że ten rok w Hongkongu nie sprawił ci większej przyjemności – odparłam.

– Ależ sprawił – obstawała. – Tylko że to tak daleko od wszystkich. – Zawahała się. – Nie było łatwo.

– Wiem – zapewniłam ją, sądząc, że nawiązuje do tamtego rozstania. – Ale byłoby jeszcze trudniej, gdybyś została w Anglii. Dystans dobrze robi.

– Pod tym względem masz rację – odrzekła. – O tak.

Gdy Adam wrócił ze spotkania z Nelsonem, powiedziałam mu, że chyba jednak nie polecę do Hongkongu.

– Jess i Rob kupują Cleo na urodziny bilet na samolot, więc nie ma sensu, żebyś leciała w kwietniu. Wiedziałeś o tym? Że to ma być jej prezent urodzinowy?

– Tak, Rob właśnie w pubie wspomniał o tym Nelsonowi. Rozważali to już od jakiegoś czasu, ale Jess się niepokoiła, że Cleo leciałaby sama, dlatego Rob będzie jej towarzyszył.

– Tylko podróż odbyłaby samodzielnie – zaprotestowałam. – Na miejscu miałyby Marnie do towarzystwa.

Przypominając sobie tę rozmowę, zwracam głowę w stronę Adama. Na pewno wie, że na niego patrzę, ale nie otwiera oczu, żeby nie musieć ze mną rozmawiać. Jeśli nie czuje się dobrze, to przyjęcie będzie dla niego męką. Powinnam była je odwołać wiele tygodni temu. I kiedy powiem mu to, co muszę, nie zrozumie, dlaczego tego nie zrobiłam. Pomyśli, że chciałam, aby się odbyło za wszelką cenę. Nie pojmie, że chciałam go oszczędzić najdłużej, jak się da, bo później jego świat legnie w gruzach.

Mój zawalił się sześć tygodni i trzy dni temu, po tygodniu pobytu Cleo w Hongkongu, kiedy przed wyjściem do pracy skontaktowałam się z Marnie na FaceTimie. Była ósma rano, czyli czwarta po południu w Hongkongu. Adam poszedł już do warsztatu, a Jess, która mieszkała u nas, jeszcze nie wstała. Znałam rozkład dnia Marnie i wiedziałam, że skończyła już zajęcia i czeka w hotelu, aż Cleo i Rob wrócą ze zwiedzania. Na czas ich pobytu praktycznie przeprowadziła się do pokoju Cleo, zadowolona, że może choć na krótko wynieść się z ciasnej klitki w akademiku.

– I jak tam? – zapytałam.

– Cudownie! Tak się cieszę, że tu są. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak długo nie było mnie w domu. – Siedziała przy drewnianym biurku przed komputerem i na ścianie za jej plecami widziałam piękne grafiki z kwiatami lotosu. Miała na sobie biały hotelowy szlafrok i sądząc z kąta nachylenia głowy, właśnie malowała paznokcie.

– Mam zadzwonić, kiedy skończysz? – zapytałam.

– Nie, w porządku, jeśli ci nie przeszkadza, że widzisz tylko czubek mojej głowy. Idziemy później na kolację, do dobrej restauracji. Zaraz zrobię sobie długą przyjemną kąpiel.

– Będzie ci brakowało hotelowych wygód, gdy wyjadą – zażartowałam. – Dokąd dziś poszli?

– Na Stanley Market. – Podniosła wzrok. – Szkoda, że nie możesz zobaczyć tego targu, mam, jest niesamowity. Powinnaś była przyjechać z nimi. Wybrałabyś się z Robem na zwiedzanie, a ja miałabym Cleo dla siebie.

– Czy on was krępuje? – spytałam rozbawiona.

– Nie, wcale nie.

– Ich przyjazd ci posłużył – zauważyłam. – Wyglądasz na zadowoloną.

– Kto nie byłby zadowolony w takim pięknym hotelu – odparła ze śmiechem.

Zbliżyłam twarz do ekranu.

– Czy Cleo zmieniła pokój?

– Dlaczego pytasz? – Znowu pochyliła głowę nad paznokciami.

– Te grafiki na ścianie... – wyjaśniłam. – U niej nie przedstawiały kwiatów lotosu.

– A, tak... tamten pokój znajdował się obok windy, więc ze względu na hałas poprosiła o inny.

Chciałam zauważyć, że mają teraz wielkie podwójne łóżko zamiast dwóch pojedynczych, gdy drzwi za nią się otworzyły i stanął w nich mężczyzna, który najwyraźniej dopiero co wyszedł spod prysznica i właśnie wycierał włosy ręcznikiem. Zaszokowało mnie nie tyle to, że był nagi, ile że Marnie sprowadziła swojego chłopaka do pokoju hotelowego przyjaciółki. Ale Cleo to pewnie nie przeszkadzało, bo przecież Marnie musiała zapytać ją o pozwolenie.

– Przyjemnie tu, znacznie wygodniej niż w moim obskurnym pokoju w akademiku – odrzekła Marnie, nieświadoma, że jej chłopak prezentuje swoje wdzięki. On, gdy ją usłyszał, szybko podniósł głowę, a kiedy się zorientował, że mówi do kogoś na FaceTimie, czym prędzej wrócił do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Jednak zdążyłam zobaczyć jego twarz.

Serce zamarło mi w piersi. Potem, świadoma, że muszę coś powiedzieć, zanim Marnie uniesie wzrok i zobaczy, jak jestem wstrząśnięta, wydusiłam z siebie:

– Więc dopóki możesz, ciesz się tymi luksusami. – Miałam nadzieję, że mój głos brzmi jak poprzednio.

– Tak robię. A jak tam przygotowania do przyjęcia? To już za sześć tygodni.

– Właśnie, nie mogę w to uwierzyć! Wczoraj Liz przywiozła próbki jedzenia – powiedziałam. Zdałam sobie sprawę, że mówię za szybko. – Wszystko było pyszne, tak się cieszę, że zdecydowałam się na nią w kwestii cateringu. Przywiezie ze sobą troje pracowników, którzy będą serwować dania na ciepło, a potem posprzątają, więc nie będę musiała się tym zajmować.

– Żałuję, że mnie nie będzie – skwitowała z westchnieniem.

– Ja tak samo.

Wyprostowała się i zamachała przed ekranem paznokciami. Rękawy jej szlafroka się zadarły, odsłaniając tatuaż na przedramieniu: „Anioł idący w rytm wyznaczany przez diabła”.

– Zobacz! – rzuciła. – Podobają ci się?

– Nie przepadam za granatowym kolorem – odparłam. Nie mogłam się nadziwić, że nawet udało mi się zaśmiać. – Ale wyglądają bardzo ładnie. Zamierzasz wieczorem włożyć tę niebieską sukienkę?

– Jak się domyśliłaś? Przepraszam, mamie, będę już kończyć, Cleo i Rob zaraz wrócą, więc muszę się wykąpać.

– Najpierw sprawdź, czy lakier już wysechł – poradziłam jej.

Pomachała rękami w powietrzu.

– Nie martw się. To do usłyszenia, tak?

– Tak, zadzwonię za kilka dni.

– Pa! Ucałuj ode mnie tatę.

– Dobrze.

Nie wiem, jak długo tam siedziałam ze wzrokiem utkwionym w ciemny ekran. Nie mogłam ruszyć się z miejsca, a jednocześnie nie byłam w stanie zapanować nad gorączkowymi myślami; starałam się znaleźć sens w tym, co właśnie zobaczyłam. Próbowałam sobie wmówić, że się pomyliłam, że to nie Rob stał nagi w drzwiach łazienki, tylko jakiś inny mężczyzna. A gdy nie mogłam się już dłużej okłamywać, usiłowałam znaleźć uzasadnienie – Rob korzystał z łazienki Cleo, bo z jego własną było coś nie tak, i gdy wychodził z niej nago, nie wiedział, że Marnie jest w pokoju, dlatego szybko schował się z powrotem. Nie chciałam uwierzyć, że Marnie okłamywała mnie od początku rozmowy, gdy mówiła, że Rob i Cleo wyszli i że Cleo zmieniła pokój. Nie chciałam uwierzyć, że malowała paznokcie w pokoju Roba, czekając, aż zwolni on łazienkę, bo miała z nim romans. Musiało być jakieś inne wytłumaczenie.

Weszłam na facebookową stronę Cleo i zrobiło mi się niedobrze. Widniały tam zdjęcia ze Stanley Market i innych atrakcji turystycznych Hongkongu, ale na żadnym z nich nie zobaczyłam Roba. Było też kilka selfie, jedno z podpisem: „Dziś znowu zwiedzam sama” i emotikonem wyrażającym smutek. Z wcześniejszych wpisów jasno wynikało, że Cleo od przyjazdu z ojcem do Hongkongu bardzo często zwiedzała miasto w pojedynkę. Usiłowałam nie dopuścić do siebie prawdy, która aż biła w oczy, mówiłam sobie, że Marnie nie zrobiłaby czegoś tak niemoralnego, tak szkodliwego, nie wdałaby się w romans z nikim, kto praktycznie stanowił część naszej rodziny, jeszcze zanim się urodziła. To było nie do pojęcia. Rob, nie dość że starszy od Marnie o dwadzieścia lat, był jeszcze mężem Jess, bratem Nelsona i ojcem jej najlepszej przyjaciółki.

Pamiętam, że zebrało mi się na wymioty i że wpadłam w panikę, gdy w sypialni na górze zatrzeszczały deski podłogowe – był to znak, że Jess wstała z łóżka i zaraz przyjdzie do kuchni. Chwyciłam torebkę, pobiegłam do przedpokoju i wypadłam za drzwi, zgarniając po drodze kluczyki samochodowe. A potem wsiadłam do niego i pojechałam, nie do kancelarii, ale za miasto, tam się zatrzymałam i wybuchnęłam płaczem.

Adam

– Mam coś zrobić? – pytam Livię. Rozpaczliwie pragnę opuścić taras.

– Nie, nie trzeba – odpowiada. Zrywa się na nogi, gdy słyszy, że przyjechała firma cateringowa. – Może pójdziesz się przygotować? Chciałabym zająć łazienkę o szóstej.

Gdy wchodzę do domu, mój telefon sygnalizuje nadejście wiadomości. Przystaję u podnóża schodów, żeby wyjąć go z kieszeni, serce wali mi w piersi, a ręce się trzęsą. Zamykam oczy, zamawiam w duchu modlitwę, a potem spoglądam na wyświetlacz. To jednak esemes od Izzy.

„Cześć, braciszku! Mam nadzieję, że Liv od rana świętuje. Ian i ja trochę się spóźnimy. Do zobaczenia, już nie mogę się doczekać! xx”.

Czuję taki zawód, że mam ochotę rzucić telefonem o ścianę. Nie dam rady tak dalej, nie mogę wciąż czekać na znak życia od Marnie. W drodze na górę otwieram aplikację BBC News, żeby znaleźć numer infolinii dla krewnych i bliskich pasażerów tamtego lotu. Jeśli wytłumaczę, że Marnie nie zdążyła na ten nieszczęsny samolot i tkwi gdzieś na lotnisku, może przekażą jej ode mnie wiadomość za pośrednictwem stanowiska Pyramid Airways. Ogarnia mnie poczucie winy, gdy myślę o rodzinach, które muszą zadzwonić pod ten numer z odmiennego powodu, ale nie przychodzi mi do głowy żaden inny sposób, żeby się z nią skontaktować.

Na pierwszej stronie donoszą o powodzi w Indonezji i śmiertelnym ataku nożownika. Katastrofa samolotu zeszła na trzecie miejsce. Obok nagłówka znajduje się zdjęcie: szczątki samolotu w płomieniach. Przysiadam ciężko na łóżku i szybko przewijam wiadomości w poszukiwaniu numeru telefonu. Uderzają mnie słowa: reportaże wideo z miejsca wypadku. Ale przecież... jeśli z lotniska w Kairze docierają filmy, to dlaczego Marnie nie zadzwoniła, nie przysłała żadnej wiadomości? Z przerażająco złym przeczuciem odtwarzam jeden z nich.

Młody mężczyzna żywo gestykułuje. „Stałem tam – ktoś tłumaczy jego relację – i usłyszałem samolot, był głośniejszy niż zwykle, więc podniosłem głowę i go zobaczyłem, leciał bardzo nisko, wiedziałem, że powinien być wyżej, bo często je obserwuję, widzę, jak po starcie wznoszą się w powietrze. Ale ten zamiast się wznosić, nagle się zatrzymał, o tam, w połowie drogi. A potem runął”.

Krew tak tętni mi w uszach, że prawie nie słyszę, co ten człowiek mówi dalej. „Wiedziałem, że powinien być wyżej, bo często je obserwuję, widzę, jak po starcie wznoszą się w powietrze”. Ale przecież samolot, ten, którym powinna była lecieć Marnie, rozbił się po dwudziestu minutach lotu. Pamiętam, jak to obliczałem, spadł jedenasta pięćdziesiąt pięć, a więc dwadzieścia minut po starcie o jedenastej trzydzieści pięć. Dlaczego więc facet na filmie mówi, że maszyna runęła w trakcie wznoszenia się?

Tak trzęsą mi się dłonie, że ledwie mogę utrzymać w nich telefon. Przewijam wiadomości wstecz, żeby wrócić do relacji z wypadku, i przesuwam wzrokiem po tekście, gorączkowo szukając informacji, która potwierdzi, że mam rację, że wszyscy inni się mylą: samolot nie rozbił się zaraz po starcie, tylko po dwudziestu minutach lotu. I wtedy widzę to zdanie, czarno na białym – „Maszyna spadła trzy minuty po starcie z międzynarodowego lotniska w Kairze” – i zastygam w bezruchu, bo mogła rozbić się po starcie o jedenastej pięćdziesiąt pięć tylko z jednego powodu: jeśli lot był opóźniony.

Brakuje mi tchu. Przez chwilę pokój wokół mnie wiruje. Zamykam oczy i nakazuję sobie wziąć się w garść. Nie wolno mi wpadać w panikę, wszystko będzie dobrze, muszę tylko obliczyć, o której dokładnie godzinie samolot wystartował. Ale najprostszy rachunek przekracza moje możliwości. Skupiam się siłą woli – maszyna rozbiła się trzy minuty po starcie, a wiem, że katastrofa nastąpiła o jedenastej pięćdziesiąt pięć, aby więc określić godzinę startu, należy jedynie odjąć trzy od pięćdziesięciu pięciu. Pięćdziesiąt dwa, samolot musiał wystartować o jedenastej pięćdziesiąt dwie, nie jedenastej trzydzieści pięć, był zatem opóźniony o siedemnaście minut. Samolot z Hongkongu miał przylecieć do Kairu o dziesiątej piętnaście, ale z aplikacji, do której zajrzałem wcześniej, wynikało, że wylądował o jedenastej dwadzieścia pięć. Jeśli ten do Amsterdamu wystartował o jedenastej pięćdziesiąt dwie, to...

Zbiera mi się na mdłości. Wpadam do łazienki, staję nad umywalką i żeby się nie pochorować, ściskam jej brzegi. Patrząc na swoją twarz w lustrze i rozpaczliwie rozglądam się za czymś, co pomogłoby mi utrzymać się na nogach, opanować panikę, która narasta, wymykając się spod kontroli. A jeżeli Marnie zdążyła na ten lot? Nie, nie mogła, wiem to, przeczułbym, gdyby coś jej się stało. Jest częścią mnie, zorientowałbym się. Marnie jest bezpieczna, musi być.

Oblewam się potem. Jest mi strasznie gorąco i duszno, więc zaczynam się rozbierać, guzik przy dzinsach opiera się palcom, ciągnę i szarpie, aż w końcu staję nagi i cały się trzęsę. Wchodzę do kabiny prysznicowej i prawie w niej upadam. Po omacku łapię za kran i tryska woda, bębni o moją głowę, wypełnia usta, nos, gardło, aż instynkt nakazuje mi złapać oddech. Myślę jedynie: Marnie jest bezpieczna, musi być, Marnie jest bezpieczna, musi być.

Odpycham się od ściany prysznicowa i wstaję, a potem owijam się ręcznikiem. Z ogrodu dochodzi głośna muzyka, co przywraca mnie do rzeczywistości. Nie mogę się dłużej

okłamywać. Marnie może nie być bezpieczna. A jeśli zdążyła na samolot, który się rozbił? Miała na przesiadkę dwadzieścia siedem minut, nie dziesięć.

Chyba że musiała dostać się do innego terminalu. Nie wiem, czy na lotnisku kairskim jest więcej terminali niż jeden, ale to da się sprawdzić. Przysiadam na krawędzi zaokrąglonej wanny i wstukuję do wyszukiwarki: „ile terminali na lotnisku w Kairze”. Pojawia się odpowiedź: „trzy” i niemal zaczynam się śmiać, bo użyto dużych liter, jakby chciano mnie uspokoić. Teraz muszę się tylko upewnić, że samolot z Hongkongu podjechał do innego terminalu niż ten, z którego przyjął na pokład pasażerów samolot do Amsterdamu.

– Proszę – mamroczę. – Proszę, niech to będzie inny.

Odnajduję pierwszy lot Marnie, ten z Hongkongu; przykołował do terminalu trzeciego. Potem wpisuję numer lotu Pyramid Airways i wstrzymując oddech, czekam na rezultat. Jest: terminal drugi.

Z ulgi przysmykam powieki. Nawet jeśli te terminale są na tyle blisko siebie, że da się przejść z jednego do drugiego na piechotę, miała tylko dwadzieścia siedem minut, aby wysiąść z samolotu, opuścić terminal trzeci i znaleźć się w drugim. I jeszcze odszukać bramkę.

Szybko przebieram palcami po wyświetlaczu, szukam więcej informacji o międzynarodowym lotnisku w Kairze. Odnajduję jego oficjalną stronę i czytam, że terminale drugi i trzeci są połączone pieszym mostem. Dobra, to ile czasu zajęłoby opuszczenie jednego samolotu, znalezienie mostu, przejście do następnego terminalu, dotarcie do bramki – i stawienie się przy niej dwadzieścia minut przed startem? Niemożliwe, żeby Marnie się to udało.

Powinno mnie to uspokoić. Ale nie mogę się opędzić od myśli, że gdyby spóźniła się na przesiadkę, skontaktowałaby się ze mną. Skoro dochodzą wiadomości, sieć telefonii komórkowej także musi działać.

Cholernie się boję.

Muszę powiedzieć Livii. Odwracam się do drzwi łazienki, żeby z niej wyjść, i widzę swoją twarz w lustrze. Jestem blady, pulsują mi skronie – Livia nie może zobaczyć mnie w takim stanie. Nie chcę, aby się domyśliła, że coś jest nie tak, zanim ją usadzę, wezmę za rękę i znajdę odpowiednie słowa, którymi wyrażę, że Marnie, nasza córka, mogła być na pokładzie tego samolotu, który się rozbił. Po pierwsze, muszę się postarać, żeby nie mieć strachu w oczach. A jedynym sposobem, aby to osiągnąć, jest odzyskanie wiary, że jest jeszcze nadzieja.

Na razie nie zadzwonię na infolinię, wstrzymam się z tym do rozmowy z Livią.

Livia

Jedzenie wygląda fantastycznie. Chodzę po kuchni i nie mogę się temu nadziwić. Moje kartki urodzinowe zostały przeniesione do salonu i na wszystkich kuchennych blatach stoją na tacach pyszne kanapeczki.

– Wspaniale, Liz, bardzo ci dziękuję. Pięknie wyglądają.

– I gwarantuję, że równie dobrze smakują – odpowiada, uśmiechając się do mnie. Mówi prawdę, bo skosztowałam jednej, gdy składałam zamówienie.

W salonie też rozstawiono półmiski z jedzeniem, są tam: dwa całe łososie, ogromny kawał wołowiny na zimno, inne zimne mięsa, cudownie kolorowe sałatki, największa deska serów, jaką kiedykolwiek widziałam, i wybór deserów, które będzie można zabierać do namiotu przez cały wieczór. A dla pierwszych gości – kanapeczki na tacach. Liz i jej zespół zostaną na miejscu, żeby serwować dania i sprzątać, co oznacza, że ja będę mogła się bawić.

Mimowolnie martwię się o Adama. Jeśli ma migrenę, trudno oczekiwać, że przez siedem godzin – bo przyjęcie nie skończy się przed drugą w nocy – będzie gawędził z gośćmi o niczym. Może nie zawsze o niczym, ale muszę uważać, żeby nie utknął przy Pauli, która lubi zbyt szczegółowo rozwódzić się nad swoim zdrowiem. Chciałabym także, żeby omijał Sarę, bo ona z kolei ma zwyczaj osaczać ludzi i pokazywać im setki zdjęć z wakacji na swoim telefonie. Jednak jak znam Adama, po krótkich rozmowach ze wszystkimi większą część wieczoru spędzi w towarzystwie Nelsona i Iana.

Dzwoni telefon stacjonarny, więc go odbieram, zastanawiając się, czy to nie Marnie. Może jednak nie jest poza zasięgiem i postanowiła złożyć mi życzenia urodzinowe osobiście. Ale to Jeannie.

– Cześć, kochana, chcę ci życzyć wszystkiego najlepszego – mówi.

– Dziękuję... ale ty i Mike przyjdziecie wieczorem, prawda?

– Tak, oczywiście, za nic nie przepuścimy takiej okazji. Ale będziesz zajęta i możemy nie mieć okazji, żeby pogadać.

– Dla ciebie i Mike’a zawsze znajdę czas. Zastępujecie mi rodziców.

– Ich strata. Omija ich radość obserwowania, jak wnuki rosną i stają się uroczymi młodymi ludźmi. – Urywa na chwilę. – A jak tam Adam?

– Dobrze. Wcześniej miał migrenę, ale łyknął sobie trochę szampana. Kirin dała nam butelkę, żebyśmy się napili przed przyjęciem... więc chyba czuje się lepiej.

– Świetnie. Dobrze, to już nie zawracam ci głowy. Pa, kochana, do zobaczenia później.

Jeannie się rozłącza i zastanawiam się przez moment, jak by to było, gdybym miała takich rodziców jak ona i Mike. Czy byłabym inna? Myślę o Izzy i jej pewności siebie. I o Adamie, z jego spokojnym poczuciem własnej wartości.

Przystaję na chwilę. Patrzę na to, co dzieje się wokół, na piramidy talerzy i stosy koszyków ze sztuczkami, zanoszonych do namiotu, na Emily, młodą pracownicę cateringu, układającą w wazonach zamówione przeze mnie kwiaty. Przyjechały, gdy mnie nie było, razem z innym bukietem, od mamy Jess, bo sama nie może przyjść. Chociaż jestem zadowolona, że nie ma Marnie, przykro mi, że tego wszystkiego nie widzi, bo bardzo by jej się podobało. Szukam telefonu, żeby zrobić kilka zdjęć i jej wysłać, ale nie ma go w torebce. Rozglądam się dookoła, na pewno gdzieś leży. Zachodzę na taras, szukam na stole, a potem w kuchni.

Idę do holu i dzwonię na swoją komórkę z telefonu stacjonarnego. Słyszę sygnał połączenia i uważnie nasłuchuję dzwonka, żeby ją zlokalizować. Jednak bez skutku, więc próbuję jeszcze raz, ale również daremnie. Może zostawiłam telefon w spa. Pamiętam, że podczas lunchu odkładałam go wyświetlaczem na dół, ale nie przypominam sobie, co później z nim zrobiłam. Mam nadzieję, że Jess albo Kirin go zabrały. Zamierzam do nich zadzwonić i spytać o to, gdy uświadamiam sobie, że mam ich numery w komórce. Zastanawiam się, czy nie poprosić Adama, aby zatelefonował do Nelsona, który mógłby podać mi numer Kirin. Ale przecież niedługo się z nimi zobaczę i będę miała okazję dowiedzieć się osobiście. Poza tym nie mam czasu martwić się o takie sprawy.

Podchodzi Liz, chce wiedzieć, gdzie ma umieścić sztuczki, położyć je na półmiskach w namiocie czy wstawić do pojemników na środku każdego stołu. Pyta mnie o Marnie, więc odpowiadam, że w skrytości ducha mam nadzieję, iż wieczorem skontaktuje się za mną na FaceTimie. Jeśli pokażę jej, jak wygląda ogród, i wszystko zobaczy, będzie miała wrażenie, że jest z nami.

Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl – a jeśli Marnie wyjechała na weekend gdzieś, gdzie nie ma wi-fi, aby nie kontaktować się ze mną przez FaceTime, bo będzie tu Rob i ma obawy, że by się zdradziła? Albo, co bardziej prawdopodobne, dlatego że nie jest w stanie spojrzeć Jess w oczy, mając romans z jej mężem, i zapytać ją, jak się czuje? Jestem na nią zła. Jak mogła? Jak mogła wdać się w romans z Robem? Nie potrafię przestać o tym myśleć. Próbowałam ją tłumaczyć, zwałać całą winę na Roba, mówiłam sobie, że ją wykorzystał, powoli omotał, wykorzystał jej wrażliwość. Jednak w którymś momencie sama przekroczyła granicę.

Nie mam słów, żeby opisać, co czuję do Roba. Gdy tamtego dnia, którego odkryłam prawdę, siedziałam w samochodzie, próbowałam dojechać, kiedy zaczął się ich romans. Choć już na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze, byłam pewna, że to Rob był ojcem dziecka, które Marnie straciła. Przypuszczałam – miałam nadzieję – że jeszcze do niczego między nimi nie doszło, kiedy chodziła do szkoły, co by znaczyło, że wszystko się zaczęło po jej

wyjeździe na uczelnię. Ale przecież studiowała w Durham, prawie czterysta pięćdziesiąt kilometrów od Windsoru, cztery godziny jazdy stąd, więc jak mogli się widywać i nawiązać romans? Rob pracował przez pięć dni w tygodniu i z tego, co się orientowałam, pod żadnym pretekstem nie wyjeżdżał na weekend ani nie opuszczał niedzielnych wypraw motocyklowych z Adamem i Nelsonem.

I wówczas mnie olśniło – na te dwa dni tygodniowo w zeszłym roku, kiedy pracował z dala od domu, wyjeżdżał do oddziału swojej firmy w Darlington. Wiedziałam, że Darlington znajduje się gdzieś na północy Anglii, ale gdzie dokładnie, nie miałam pojęcia. Wyjęłam z torebki telefon i zlokalizowałam to miasto na Google Maps. Leżało nie tak daleko od Durham – ale czy na tyle blisko, żeby Rob mógł jeździć do Marnie, gdy tam był? Kiedy odkryłam, że samochodem mógł dotrzeć do niej w pół godziny, zrobiło mi się niedobrze. Chciałam zadzwonić do jego szefa i spytać, czy rzeczywiście było tak, jak mówił Rob: że nie miał wyboru, musiał przyjąć nowe stanowisko – że choć w firmie wiedzieli o chorobie jego żony, zmusili go do pracy z dala od domu. Jednak za bardzo się bałam, że to, co podejrzewam, okaże się prawdą, że to Rob poprosił o tę nową robotę albo się o nią starał.

Jest coś jeszcze. Z uwagi na relacje między nami byłoby normalne, gdyby Rob odwiedzał Marnie podczas swoich wyjazdów do Darlington. Nie dopatrywalibyśmy się w tym niczego niestosownego, gdyby zabierał ją na obiad albo na drinka. Tak mógł postępować wujek, bo za kogoś takiego uważaliśmy zarówno Nelsona, jak i Roba, za wujków Marnie – do piątego roku życia tak właśnie mówiła: „wujek Rob”, na litość boską! On jednak nigdy nie wspominał przy nas, że ma zamiar zrobić coś takiego, a ja niczego nie podejrzewałam, bo nie zdawałam sobie sprawy, że te miasta leżą tak blisko siebie. Dziwiło mnie natomiast, że Adam nigdy się nad tym nie zastanawiał. Gdyby on pojechał w okolice Aberystwyth, gdzie studiowała Cleo, zajrzałyby do niej.

Długi czas zbierałam się tamtego dnia na odwagę, żeby wrócić do domu i spojrzeć Jess w twarz. Zadzwoiłam do Pauli i poprosiłam ją, aby powiedziała w pracy, że zachorowałam, a potem zawiadomiłam Jess, że przyjdę wcześniej, bo źle się czuję. Zaparzyła mi herbaty i poradziła, żebym położyła się do łóżka, a ja leżałam w nim, patrzyłam w sufit i zachodziłam w głowę, jak jej powiedzieć, że jej mąż ma romans z moją córką. Nie mogłam się jednak na to zdobyć, tak jak nie mogłam się zdobyć, aby opowiedzieć Adamowi o swoich podejrzeniach, kiedy przyszedł zapytać, jak się mam. Chciałam dobrze wszystko przemyśleć, zanim spowoduję wstrząs w życiu jednego i drugiego.

Niespokojnie krążę po kuchni. Uświadamiam sobie, że chociaż jedzenie wygląda bardzo apetycznie, w takim stanie ducha nie będę w stanie niczego przełknąć. Wiem, że gdy już przyjęcie się zacznie, będę się dobrze bawić, o ile tylko nie natknę się na Roba. Ponieważ nie mam telefonu, to żeby zabić czas, idę do salonu i jeszcze raz przeglądam kartki urodzinowe. Większość ich nadawców zobaczę wieczorem, ale niektórych nie zaprosiłam

i choć nie ma powodu, dla którego miałabym zapraszać dwoje kuzynów Kirin albo matkę Iana czy dziewczynę od fryzjera, gnębi mnie, że tego nie zrobiłam.

Sprawdzam, która godzina; dochodzi szósta. Bardzo chciałabym zobaczyć, jak wygląda ogród, ale muszę poczekać, dopóki Josh mi nie powie, że już mogę. On i Max ciężko pracują, odkąd wrócili po odwiezieniu Murphy'ego. Adam powinien niedługo zejść, więc razem zobaczymy efekt ich wysiłków. Nigdy w życiu nie spędził tyle czasu pod prysznicem; sądząc po tym, jak długo płynie woda, pewnie ma mu to pomóc w zwalczeniu migreny.

Na schodach rozlegają się kroki, więc wychodzę do holu. Na mój widok Adam zatrzymuje się w połowie drogi na dół. Jakby patrząc na mnie, myślał: „Dobra, Liv czekała na ten wieczór od wieków, więc stań na wysokości zadania”. I mam ochotę mu powiedzieć, że naprawdę stanął, że świetnie wygląda w beżowych chinosach i białej koszuli. Zmężniał, odkąd za niego wyszłam, i jest w doskonałej formie fizycznej dzięki temu, że niewiele siedzi. Zapomniał się ogolić, ale nie przeszkadza mi to.

Rusza w dół po schodach i bierze mnie za rękę.

– Livio. – Po tym, że nazwał mnie Livią, i po jego spojrzeniu orientuję się, że jest przejęty. Zaraz mi powie, że mnie kocha.

– Mamo! Możesz już wyjść! – woła Josh z ogrodu.

Ogarnia mnie podniecenie.

– Ja też cię kocham – mówię do Adama i całuję go czule. – Dzięki tobie jestem najszczęśliwsza na świecie. Dziękuję ci. – Pociągam go do wyjścia. – Chodź, Josh nas potrzebuje.

Adam

Daję się zaprowadzić Liv do ogrodu. Gdy wychodzimy na taras, razi mnie w oczy późnopołudniowe słońce, które wciąż stoi wysoko na niebie. Co ja robię, pozwalając się tu zabrać? Muszę jej powiedzieć, muszę jej powiedzieć o Marnie. Już byłem na to gotowy, przygotowany psychicznie. Ale przeszkodził mi Josh i zanim zdążyłem się odezwać, Liv wyznała, że też mnie kocha. Po co to mówiła? Czy naprawdę sądziła, że chciałem ją zapewnić o swojej miłości? Czy dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi wyczuła, że zamierzałem powiadomić ją o czymś, o czym nie chce wiedzieć?

Powiedziała, że dzięki mnie jest najszczęśliwsza na świecie. Teraz, gdy wkraczamy na trawnik, na taką właśnie wygląda. Obraca się powoli, ogarniając wzrokiem ogród, i jestem zadowolony, że Max ją filmuje, bo pewnego dnia, jeśli rzeczywiście zdarzyło się najgorsze – nawet nie mogę o tym myśleć – i Marnie zdążyła na tamten samolot, zechcę wrócić myślą do tej chwili i przypomnieć sobie, jaka Livia była szczęśliwa. Te słowa rozbrzmiewają w mojej głowie – „jaka była szczęśliwa” – i serce mi pęka. Muszę jej powiedzieć, zanim ją poniesie. To przyjęcie nie może się odbyć.

– Livio... – zaczynam znowu.

– Wiem – mówi i odwraca się do mnie z błyszczącym wzrokiem. – Jest pięknie!

Ujmuję ją za rękę, przyciągam do siebie i biorę w ramiona. Ale ona się okręca, żeby patrzeć na ogród, i czuję na piersi jej ciepłe plecy.

– Jest właśnie tak, jak sobie wyobrażałam – orzekła. – Czy nie mamy najlepszych dzieci na świecie? Widziałeś, co zrobił Josh? Tam, na ogrodzeniu?

Kiedy zeszliśmy po stopniach na trawnik, jeszcze nie ogarnąłem spojrzeniem wszystkiego. Widziałem światła, kwiaty i balony, ale zwały mi się w jedno. Zawodzą mnie zmysły – uświadamiam sobie. Mam wrażenie, jakby głos Livii dochodził z bardzo daleka, i ledwie czuję dotyk jej dłoni, kiedy pociąga mnie za sobą w stronę ogrodzenia. Powietrze musi być przesycone wonią róż, ale nie dociera do mnie żaden zapach, czuję tylko strach.

Przy ogrodzeniu wali się cały mój świat. Puszczam rękę Livii i niezręcznie się od niej odsuwam. Wszędzie widzę zdjęcia Marnie – jako dziecka, w szkole, w ogrodzie, na wakacjach, w Hongkongu, fotografie, których nie widziałem nigdy wcześniej – przybite do ogrodzenia na całej jego długości. A nad nimi napis: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mamó!”.

Na szczęście Livia opacznie rozumie moją reakcję, gwałtowne zaczerpnięcie tchu.

– Czy to nie nadzwyczajne? – pyta.

Zamykam oczy i w uszach dźwięczy mi głos Marnie: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mamoo!”. Brzmi tak blisko, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym jej dotknąć.

Podchodzi Josh i obejmuje nas, mnie także. Przez jedną straszną chwilę mam ochotę położyć głowę na jego ramieniu i wybuchnąć płaczem.

– No i? – zagaduje. – Co wy na to?

– Fantastyczne. – Nie mogę na te zdjęcia patrzeć. Wpatruję się w przestrzeń nad nimi i staram się myśleć o tym, że może Marnie żyje.

– Cudowna niespodzianka! – odpowiada Livia i go ściska. – Ogromnie ci dziękuję, Josh. Zadałeś sobie dużo trudu.

– To był pomysł Marnie... jej prezent dla ciebie.

– Nic lepszego nie mogłabym sobie życzyć. Pamiętam, jak powstało to jej zdjęcie – ciągnie, wskazując jedno z nich. – I tamto, w kostiumie z *Gwiezdnych wojen*. Skąd je wytrzasnąłeś?

– Większość dała mi Marnie, inne wziąłem z waszych albumów. Zeskanowałem je, a potem powiększyłem.

– Nawet nie potrafię wyrazić, jaką sprawiliście mi przyjemność. – Odwraca się ku mnie.

– Może spróbuję do niej zadzwonić?

– Nie! – Świadomy, że odpowiedziałem zbyt szybko, staram się mówić spokojniej. – U niej jest środek nocy, przecież mówiła, że chce się pouczyć gdzieś, gdzie nie ma wi-fi, i żeby jej nie przeszkadzała...

– Ale telefon pewnie odbiera – sprzeciwia się Livia. – Powinnam do niej zadzwonić, podziękować jej.

– Tata ma rację – odzywa się Josh. – Marnie jutro się odezwie, po powrocie z weekendu.

– Opuszcza ręce i nagle robi mi się zimno. – Dobra, zostawiam was. Mam jeszcze robotę.

Odchodzi i znowu jesteśmy tylko we dwoje, Livia i ja. Czy mam jej powiedzieć w tym miejscu, tu, na trawniku, przed zdjęciami Marnie? Czy powinienem zabrać ją do domu?

– A przy okazji... dzwoniła twoja mama – mówi Livia.

– Tak? Kiedy?

– Gdy byłeś pod prysznicem.

– Co mówiła?

– Złożyła mi tylko życzenia urodzinowe. – Przerywa. – Myślałam, że to telefon od Marnie. Miło z jej strony, prawda?

– Tak – odpowiadam, zadowolony, że nie słyszałem dzwonka, bo dzięki temu uniknąłem okropnego rozczarowania, że to nie Marnie.

– Mogłabym stać tu i patrzeć na te zdjęcia przez cały wieczór, ale muszę iść się przygotować. – Chce odejść, więc znowu biorę ją za rękę.

– Livio, poczekaj...

Ona jednak mnie całuje i oddala się, myśląc już o czymś innym.

Dochodzi do stopni, gdy sobie uświadamia.

– Przepraszam! – woła ze śmiechem, odwracając się. – Chciałeś mi coś powiedzieć?

Patrzę na nią, na jej włosy błyszczące w słońcu, twarz zarumienioną z podniecenia, i myślę tylko o tym, że może to ostatni moment, kiedy jest naprawdę szczęśliwa. W przyszłości, dalekiej przyszłości – jeśli z Marnie jednak nie jest dobrze – będą takie chwile, gdy zapomni. Ale przez cały pozostały czas, w każdej sekundzie, minucie i godzinie, codziennie, aż do końca życia, będą Livii towarzyszyć rozpacz i ból. Gdy tak stoi, czekając, aż odpowiem, nie mogę myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że to jej ostatnie chwile szczęścia.

Więc przeciągam je, ile się da. Nie spieszę się z odpowiedzią, gram na czas.

– Adamie! Czy to może poczekać?

Jej pytanie odbija się echem w mojej głowie. Czy może poczekać? Zaczepuję powietrza, bo nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl. A gdybym tak... gdybym tak powiedział jej po przyjęciu? Nie ma oficjalnego potwierdzenia, że Marnie leciała tym samolotem, jest natomiast nikła szansa, że nie leciała. A jeśli oznajmiłbym Livii, że nasza córka już nie wróci, że już nigdy jej nie zobaczymy... a potem, po kilku godzinach, ona stanęłaby w progu? Niepotrzebnie naraziłbym ją na niewyobrażalne cierpienie i ból. Jeśli jednak Marnie nie stanie w progu, jeśli zdarzyło się najgorsze...

– Adamie! – Czekając na moją odpowiedź, Livia się niecierpliwi.

Biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić. Jeżeli zdarzyło się najgorsze, to dla Marnie nie będzie żadnej różnicy, czy powiem jej matce teraz, czy później. Jeśli Livia może zaznać szczęścia jeszcze przez kilka godzin, czy nie byłby to dla niej najlepszy prezent?

– Tak, nie ma pośpiechu! – wołam. A Livia posyła mi całusa i wbiega po stopniach do domu.

Tak bardzo zasługuje na szczęście.

Livia

Odwijam ręcznik z głowy i rozpuszczam mokre włosy. Sięgając po grzebień, widzę siebie w dużym lustrze, więc stoję przed nim i przesuвам krytycznym wzrokiem po swoim ciele. Jestem w bieliźnie i stwierdzam, że uważając na to, co jem, pozbyłam się tych paru kilogramów, które przybyły mi w ostatnich latach. To nie było takie trudne. Straciłam apetyt, kiedy dowiedziałam się o Marnie i Robie.

To, do jakiego oszustwa się posunął – razem z Marnie – nie mieści mi się w głowie. Parę dni po tym, jak zobaczyłam Roba nagiego w pokoju hotelowym, w czasie gdy jeszcze wszystko składałam w całość, kilka dni przed powrotem jego i Cleo do domu, odbyłam rozmowę z Jess.

– Czy Cleo nie miała nic przeciwko temu, żeby Rob poleciał z nią do Hongkongu? – zapytałam ją, bo pamiętałam, że nie chciała puścić jej samej w podróż. Miałam nadzieję, że nie zauważyła, jak wymawiając jego imię, o mało się nie zadławiłam. To, co odkryłam, tak mi ciążyło, że ledwie mogłam przebywać w jej towarzystwie; byłam zadowolona, że w ciągu dnia mogę umknąć do pracy, że wieczorami towarzyszy nam Adam i że wkrótce Jess przeniesie się do swojego domu.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się.

– Oczywiście, że miała! Żadna szanująca się dziesiętnastolatka nie chce, żeby ojciec towarzyszył jej w odwiedzinach u najlepszej przyjaciółki. Rob jednak się upierał, że Cleo nie może jechać bez niego. Próbowałam go przekonać, aby jej na to pozwolił, ale nie ustępował, twierdził, że nie będzie bezpieczna. Cleo była wściekła, mówiła, że nie chce lecieć z nim, że zapłaci za bilet z własnych pieniędzy. Marnie powiedziała jej jednak, że jeśli inaczej miałyby się nie zobaczyć, to już lepiej, żeby skorzystała z propozycji Roba.

Świadomość, że Marnie brała udział w tym kłamstwie, przygnębiła mnie jeszcze bardziej. Zaczęłam kwestionować wszystko, co mówiła mi o swoim pobycie w Hongkongu. Nie byłam w stanie skupić się na niczym innym i kiedy pomyślałam, jak bardzo była przybita, gdy tam jechała, uświadomiłam sobie, że w grudniu nagle ożyła. I wtedy przypomniałam sobie o wielkiej podróży Roba, rzekomo do singapurskiego oddziału firmy. Jego wyjazd w tak egzotyczne miejsce, znacznie egzotyczniejsze niż Darlington, zrobił na nas tak duże wrażenie, że nikogo nie zastanowiło, dlaczego właśnie on, a nie Nelson, został tam wysłany. Żadnemu z nas po prostu nie przyszło do głowy, że mógł kłamać. Byliśmy jego najlepszymi przyjaciółmi, rodziną. A rodziny się przecież nie okłamuje.

Miałam taką obsesję na tym punkcie, byłam tak zdeterminowana, aby dowiedzieć się prawdy, że przeszukałam stronę Roba na Facebooku, prześledziłam jego oś czasu, aż znalazłam pasującą datę. Nie zamieścił zbyt dużo postów, na pewno nie tyle, ile opublikowałby ktoś taki jak on, będąc w takim miejscu jak Singapur, bo należy o tych, którzy lubą się chwalić. A to, co zamieszczał, było mało konkretne – żadnych widoków, tylko parę selfie, jedno zrobione w restauracji nad talerzem z owocami morza i podpisane: „Kocham Azję”, a inne z koktajlem w ręce i podpisem: „Gorąco w Azji, co nie powinno dziwić”. Wciąż jednak nie miałam pewności.

Niecierpliwie przeczesuję grzebieniem włosy, szarpię je z odwiecznym pytaniem w głowie – jak Rob mógł to zrobić Jess? Wciąż nie znajduję odpowiedzi, którą potrafiłabym zrozumieć. Jess to najlepsza, najmiłsza osoba, jaką znam. Nie zasługuje na to, żeby mąż ją zdradzał i okłamywał, zwłaszcza teraz, gdy choruje. A już najbardziej nie mogę znieść myśli, że tak się stało, ponieważ jest chora, że Rob już jej nie kocha właśnie z powodu choroby. Czy to nie powinno ich zbliżyć do siebie, wzbudzić w nim pragnienie chronienia jej? Wiem na pewno, że gdybym to ja zachorowała, Adam by mnie nie opuścił, tak jak ja nie opuściłabym jego.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, ogarnia mnie lęk. Analizując go, powoli odkładam grzebień. Czy to dlatego Adam jest jakiś inny, tak dziwnie się zachowuje – bo jest chory? Według Josha wrócił z miasta zdenerwowany. A jeśli miał wizytę u lekarza, o której mi nie powiedział, bo nie chciał mnie martwić? Jeżeli usłyszał niedobłą wiadomość? O nie, proszę, żeby tylko Adam nie był chory – modlę się w duchu. Jednak inny powód nie przychodzi mi do głowy.

Chwytam szlafrok, narzucam go na siebie i zbiegam po schodach, zawiązując po drodze pasek. To musi być coś złego, skoro Adam chciał mi o tym powiedzieć przed przyjęciem. Może wolałby, żebym je odwołała. A wolałby, żebym je odwołała, tylko wtedy, gdyby to było coś naprawdę złego.

Nie widzę go w ogrodzie, zniknęli nawet Josh i Max, więc idę do szopy. Kiedy przeciskam się obok namiotu, dostrzegam Adama przez okno, stoi przy swoim warsztacie z głową pochyloną nad kawałkiem drewna.

– Hej – mówię, gdy wpadam przez drzwi. – Nie powinnaś się przygotowywać? – Zauważyła moją minę i tężeje. – Livio, co się stało? O co chodzi? – Strach na jego twarzy jest lustrzanym odbiciem mojego. Wie, że ja wiem.

Podchodzę do niego, bo sprawia wrażenie, jakby nie mógł się ruszyć z miejsca.

– Adamie. – Biorę go za rękę i stwierdzam, że są zimne jak lód. – Adamie... proszę, powiedz mi prawdę. Jesteś chory? To chciałeś mi powiedzieć? Że coś ci jest?

Jego długie milczenie powoduje przyspieszone bicie mojego serca.

– Nie. – Kręci głową zdziwiony. – Nie, nic mi nie dolega. Oprócz migreny. Nie chciałem się skarżyć, ale wróciła.

Biorę płytki oddech.

- Nie byłeś dziś z wizytą u lekarza?
- U lekarza? Nie, powiedziałbym ci, gdybym się do niego wybierał.
- Naprawdę?
- Tak.

Z ulgi wrywa mi się na wpół szloch, na wpół śmiech.

– Nie masz jakiejś strasznej choroby, o której zamierzasz mi powiedzieć dopiero po przyjęciu?

– Nie, Liv, nie. – Bierze mnie w objęcia. – Przykro mi, że tak pomyślałaś, że się przestraszyłaś.

– Na pewno?

– Tak. Na pewno nie jestem chory.

– Więc o czym chciałaś mi powiedzieć? Próbowaleś już kilka razy, więc to musi być coś ważnego. Powinnaś być cię wysłuchać.

Przytula mnie.

– Chciałem tylko, abyś wiedziała, jak bardzo cię kocham, że zawsze będę z tobą, cokolwiek się zdarzy.

– Wiem.

– Pragnę tylko, żebyś była szczęśliwa.

Ma w oczach mrok, który mnie zastanawia.

– Jestem szczęśliwa – zapewniam go i całuję z czułością, chcąc ten mrok rozproszyć. – Szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

– To dobrze. A teraz... jeśli nie pójdziesz się wyszykować, przywitasz gości w szlafroku. – Patrzy na stary wysłużony zegar, który stoi na stole. – Już za piętnaście siódma, masz więc czterdzieści pięć minut, nie więcej.

– Już mnie nie ma! – wołam i wybiegam z szopy lekkim krokiem, nie ciężkim ze strachu jak jeszcze przed chwilą. Zniosłabym wszystko, naprawdę wszystko, tylko nie chorobę Adama. Myślę o Jess i już rozumiem, dlaczego tak się przeraziłam – bo zanim wyjawiała nam diagnozę, czułam, że coś ją gnębi. Jednak zaczekała z tym do naszego powrotu z wakacji, bo wiedziała, że gdy się dowiemy, będziemy się o nią martwić.

Przed domem zwalnię. Adam coś przede mną ukrywa, na pewno. Nie wierzę, że chciał zapewnić mnie o swojej miłości i o tym, że zawsze będzie ze mną, przeczy temu ten mroczny wyraz jego oczu. Przypominam sobie, że podobny smutek widzę we własnym spojrzeniu, i nagle przychodzi mi do głowy, że może on wie to co ja i usiłuje mi o tym powiedzieć. Potem jednak dociera do mnie, że to niemożliwe, bo gdyby miał choć cień podejrzenia, że Rob romansuje z jego ukochaną córką, toby go zabił.

Adam

Byłem w szopie, gdy odnalazła mnie Livia. Kiedy do niej wpadła, pomyślałem, że wie, że jakimś sposobem dowiedziała się o planowanym przyjeździe Marnie i katastrofie lotniczej. Myślała jednak, że jestem chory, i chciałbym, aby tak było – bo chętnie poświęciłbym swoje zdrowie, gdyby dzięki temu Marnie mogła wrócić do domu.

Właśnie oglądałem kłoc drewna orzechowego, który kupiłem, żeby wyrzeźbić dla niej anioła. Usiłowałem odzyskać panowanie nad sobą, myśląc, od czego zacznę, gdzie zrobię pierwsze nacięcie. Po wyjściu Liv zacząłem krążyć po szopie, nie mogłem ustać bez ruchu. Zadzwoiłem do Marnie, ale nie uzyskałem połączenia. Żeby się uspokoić, położyłem dłonie na drewnie i wmawiałem sobie, że na swoje urodziny w lipcu Marnie będzie tu ze mną, z zachwytem oglądając swój prezent.

W szopie robi się duszno, nie ma czym oddychać. Pośpiesznie wychodzę na zewnątrz. Livia niedługo zejdzie. Okrażam namiot i przecinam trawnik. Nakazuję sobie zachowywać się tak normalnie, jak tylko się da, żeby nie zepsuć jej wieczoru. Czekam na tarasie i niebawem się pojawia, podchodzi do mnie zdenerwowana, niemal z wyrazem zakłopotania na twarzy, tak piękna w długiej kremowej sukni, że zapiera mi dech w piersi.

– Wyglądasz prześlicznie – mówię i ją całuję.

Na policzkach wykwitają jej rumieńce.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Tak, jeszcze piękniej niż w dniu naszego ślubu.

– Byliśmy tacy młodzi. Miałaś zaledwie dziewiętnaście lat, tyle samo co Marnie. Wyobraź ją sobie, jak nam mówi, że wychodzi za męża... i że jest w ciąży. – Urywa nagle.

Staram się powściągnąć bolesne wzdrygnięcie na wzmiankę o Marnie. Uświadamiam sobie, że na tym się nie skończy. Goście będą o niej wspominać, wyrażać żal, że jej nie ma, pytać, kiedy przyjedzie. Jak mam przekonująco udawać, że wkrótce wróci do domu, jeśli nie wiem, czy tak będzie rzeczywiście? Myśl o Livii – nakazuję sobie – musisz być silny ze względu na nią.

– Miałam zamiar podkreślić włosy i zostawić je rozpuszczone, ale zabrakło mi czasu – ciągnie Livia. – Myślisz, że tak dobrze wyglądają?

Upięła je, ale kilka pasemek opada jej wokół szyi.

– Doskonale. Ty jesteś doskonała. – Całuję ją jeszcze raz. – Przestań się martwić.

– Ciekawe, kto zjawi się pierwszy?

– Normalnie stawiałbym na Izzy i Iana, ale Izzy zawiadomiła mnie, że się spóźnią. Więc pewnie będą to Kirin i Nelson. Nelson zechce jak najszybciej uwolnić się od dzieci.

– I pewnie od razu będzie musiał się napić – odpowiada z uśmiechem.

– Hm, mamy wszystko, czego tylko zapagnie.

– Nie zapomnieliśmy o niczym, prawda?

– Nie, chyba nie.

– Gdzie Josh?

– Na górze, poszedł się przebrać.

– A Max?

– Na górze, poszedł się przebrać.

Nagle się śmieje.

– To jest właśnie najgorsze... czekanie na przybycie gości. – Odwraca się do mnie. – A wiesz, co będzie najlepsze? Nie środek przyjęcia, gdy zbiorą się już wszyscy, ale kiedy będzie po wszystkim i zostaniemy tylko my, ty i ja.

Z trudem przełykam ślinę. Na ścieżce rozlegają się kroki.

– Chyba ktoś idzie.

Jakby w odpowiedzi dobiega do nas głos Nelsona.

– Wpół do ósmej, niech zacznie się przyjęcie!

Po czym on i Kirin wchodzą boczną furtką na trawnik.

– O rany, Livio, wyglądasz fantastycznie! – piszczy Kirin. – Ty też nieźle się prezentujesz – mówi. Całuje mnie, a potem obejmuje Livię. – Świetna koszula.

Uśmiecham się do niej szybko.

– Nowa, kupiona specjalnie na dziś.

– Livio, piękna z ciebie czterdziestolatka. – Nelson zwraca się w moją stronę i ściska mnie po męsku. – Brakowało mi ciebie.

– Nie widzieliśmy się zaledwie przez tydzień.

– To o siedem dni za długo.

Kirin wyjmuję z torebki telefon i uświadamiam sobie, że nie będę w stanie powstrzymać gości przed pytaniami o Marnie, ale co, jeśli zaczną rozmawiać o katastrofie samolotu? Oddalam się szybko i z bijącym sercem idę do kuchni. Są tam pracownicy cateringu, za bardzo się rozpanoszyli. Przepycham się za Liz, sięgam do szafki obok zmywarki, wyjmuję dużą misę i wracam.

– Przykro mi, Kirin – mówię, wchodząc jej w słowo, gdy rozmawia z Livią. – Nie używamy dziś telefonów. Proszę, zostaw tu swój. Ty też, Nelsonie.

Liv patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Zdecydowanie – odpowiadam z udawaną wesołością. – Nie chcemy, żeby goście rozmawiali przez telefon, zamiast się bawić.

- A co ze zdjęciami?
- Max jest oficjalnym fotografem, no nie?

Kirin ściąga brwi.

- A jeśli rodzice będą chcieli się ze mną porozumieć? Zostali z dziećmi.
- Zadzwoń na telefon stacjonarny.
- Ale czy go usłyszymy?
- Miejmy nadzieję, że nie – żartuje Nelson. – Kirin, jeśli będą nas potrzebowali, jedno z nich tu podskoczy, to tylko dwie minuty jazdy.
- No dobrze – zgadza się w końcu Kirin i niechętnie wrzuca telefon do misy.
- Mój też sobie weź – mówi do mnie Nelson. – Przynajmniej nie będę słyszał milionów przychodzących esemesów.

Przybywają następni goście. Sąsiedzi z naprzeciwka, koledzy Livii z kancelarii, przyjaciele, których nie widzimy tak często, jak byśmy chcieli, bo za daleko mieszkają. Wkrótce taras zapełnia się ludźmi z butelkami wina i prezentami dla Livii. Przekonuję się z ulgą, że każdy bez zbytniego narzekania zgadza się oddać telefon, żartując, że wróci do domu z cudzą komórką – o tym nie pomyślałem. Ale Josh to słyszy i z ręką na moim ramieniu mówi, że je oznaczy. Znika na parę minut, podczas gdy ja silę się na rozmowę z jedną z koleżanek Liv z pracy, i wraca z flamastrem oraz samoprzylepnymi karteczkami.

Zostawiam go z misą i usuwam się na bok. Słyszę, jak stara się namawiać gości, którzy już oddali mu swoje telefony, żeby przechodzili po schodkach na taras. Początkowo nikt nie reaguje, więc głośno ogłasza, że w namiocie czekają drinki. To działa, na tarasie robi się pusto, Livia odchodzi z pozostałymi. Szybko otacza ją grupa ludzi i widzę tylko jej kasztanowate włosy. Zostaję sam z Nelsonem.

- Napij się ze mną – prosi.
 - A na co masz ochotę... na piwo, wino, szampana?
- Siada na schodkach.
- A mógłbym dostać whisky?
 - Jasne. Poczeka chwilę.
- Idę do jadalni, wyjmuję butelkę i dwie szklanki, nalewam do obu.
- Proszę – mówię po powrocie na taras, podając mu jedną.
 - Dzięki. Właśnie tego było mi trzeba. – Przerzywa. – Kirin jest w ciąży. – Stuka się ze mną szklanką. – Za duże rodziny!

W przyпіlywie emocji, które mnie ogarniają, staram się znaleźć właściwą odpowiedź.

- Ojej.
- Możesz powtórzyć. – Pociąga łyk whisky. – To bliźnięta.

Nie potrafię zapanować nad szokiem, który musi uwidaczniać się na mojej twarzy.

- Bliźnięta?
- Zgadza się.
- O rany.

Patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Oczekiwałem, że będziesz się tarzał ze śmiechu po podłodze.

Ma rację, normalnie tak bym zareagował.

– To wspaniała wiadomość, Nelsonie, naprawdę. Cieszysz się, no nie?

– Pewnie będę się cieszył, gdy już się z tą nowiną oswoję. Kirin mnie zaskoczyła. Nie zmieściła się w sukienkę, którą chciała włożyć, i wtedy mi powiedziała. To było dość brutalne. Moja wina... poradziłem jej, żeby przeszła na dietę, jeśli nie chce zepsuć suwaka, a ona na to, żebym poddał się wazektomii, jeżeli nie chcę skończyć z więcej niż piątką dzieci. Znasz Kirin, nie da sobie w kaszę dmuchać. – Upija kolejny duży łyk ze szklanki. – Ojciec pięciorga, kto by pomyślał? Ale wiesz, po początkowym szoku... dość dużym, muszę przyznać... pomyślałem, że może być fajnie. Jeżeli to będą dziewczynki. Nie chcę drugiej pary małych potworów. Nie wiem, skąd ci chłopcy czerpią energię. Tylko to mnie niepokoi. Już chodzę permanentnie zmęczony. Czasami ci zazdroszczę. Jesteśmy w tym samym wieku, a twoje dzieci już opuściły rodzinne gniazdo.

– Nie zazdrość mi – odpowiadam tak cicho, że pewnie nie słyszy.

– Ale chyba już się z tym pogodziłem – ciągnie – bo gdy brałem prysznic, zacząłem wymyślać dla nich imiona. Pomyślałem, że jeśli to będą dziewczynki, dobrze by było kontynuować motyw kwiatowy. Zastanawiałem się nad Poppy i Dahlią. Pasują do Lily, nie sądzisz?

– Dahlia? Poppy może być... ale dlaczego Dahlia?

– Bo to jedyne kwiaty, jakie znam. Oprócz chryzantem i goździków, ale nie wydaje mi się, żeby Kirin zgodziła się na któryś z nich – wyjaśnia z szerokim uśmiechem.

– Obawiam się, że Dahlia też nie przypadnie jej do gustu. A nie może być Rose?

Odwraca się ze zdumieniem na twarzy.

– Adamie, jesteś genialny! Rose!

– To nie muszą być dziewczynki – przypominam mu.

– Lepiej, żeby były, do cholery – mamrocze. A potem wybucha śmiechem.

– Co? – pytam.

– Pięć lat temu rozmawialiśmy o motocyklach i o tym, kto zdobył Grand Prix. A teraz siedzimy i gadamy o dzieciach i o kwiatowych imionach dla dziewczynek.

Zdobywam się na uśmiech.

– To nie ja zacząłem.

Trąca mnie łokciem.

– Przyszli następni goście.

– Zobaczmy się później – rzucam, wstając. – Idź i się upij, zasłużyłeś na to.

– Adamie! – Odwracam się i widzę uśmiechniętą Jess. – A gdzie jubilatka?

Ściskam ją, starając się jej przy tym nie przewrócić.

– Na trawniku. A Cleo?

– Tam!

Patrzę za Roba w smokingu i muszce, który zasłania córkę. Poprawia włosy i muszę go wyminąć, żeby objąć Cleo.

– Niesamowite – mówi ona, ogarniając wszystko spojrzeniem niebieskich oczu. – Te światełka na drzewach... wyglądają pięknie!

– Jak się masz? – pytam i czuję się jeszcze gorzej, bo myślę tylko, że jeśli Marnie coś się stało, jeszcze jedna osoba będzie tym zrozpaczona.

– Czułabym się dobrze... gdyby nie Charlie, który czasami zachowuje się jak dziecko.

– Skopię mu tyłek, jeśli będzie dokuczał mojej córeczce – grozi Rob.

Jess wznosi oczy ku niebu.

– Twoja córeczka sama potrafi o siebie zadbać, prawda, kochanie?

– O tak – odpowiada Cleo.

Wyciągam misę, już prawie pełną telefonów.

– Komórki tu, drinki tam – mówię. Wskazuję schody i na szczęście ruszają w ich kierunku, Rob pierwszy pokonuje stopnie, pomoc Jess zostawia córce.

Ktoś otacza mnie ramieniem.

– I jak się czujesz?

– Tata. Dobrze. Cześć, mam. Ojej, wyglądasz wspaniale.

Matka przygląda mi się uważnie.

– Co z twoją migreną?

– W porządku. Nie najlepiej – poprawiam się. Nie pamiętam, czy mam tę migrenę, czy nie. Chociaż już nie kłamię, bo czuję pod czaszką rosnący ucisk.

– To dlatego zapomniałeś się ogolić?

Przesuwam dłonią po brodzie. Faktycznie, zapomniałem.

– Drinki podają na trawniku – mówię rodzicom.

– Chcesz się nas pozbyć? – żartuje tata.

– Tylko do przyjazdu pozostałych gości. Może poszukacie Nelsona? Ma nowinę, którą na pewno chętnie się podzieli.

– Brzmi intrygująco. Pogadamy później, Adamie.

Zjawiają się dalsi goście. Gawędzę z nimi przez chwilę, biorę od nich telefony – które już prawie nie mieszczą się w misie – i kieruję ich po schodkach na trawnik. Nie pamiętam, kto już jest, a kogo jeszcze nie ma. Wyjmuję z kieszeni własną komórkę, ale od czasu, gdy dostałem esemesa od Izzy, nie przyszła żadna wiadomość. Czuję już znajomy przypływ paniki. Gdzie jesteś, Marnie? – pytam bezgłośnie. Czy nie powinnaś się wreszcie odezwać?

Sprawdzam, która godzina – ósma. Przyjęcie ma trwać do drugiej w nocy, wtedy muzyka musi ucichnąć.

Nie wiem, czy tak długo wytrzymam.

Livia

Josh wchodzi na krzesło, spod obciętych džinsów, które włożył do luźnej białej koszuli, wystają mu opalone nogi. Patrzę, jak macha rękami, żeby zwrócić uwagę gości, zajętych rozmowami. Max staje przy nim i uderza widelcem o swoją butelkę piwa, dopóki nie słyhać już tylko pojedynczych głosów.

– Halo! – woła i ludzie odpowiadają radosnymi okrzykami.

Stoję w gronie kolegów z pracy i uśmiecham się do Josha, gdy nagle kątem oka widzę jego. Zatrzymał się przed namiotem, ma na sobie smoking i muszkę. Czuję ściskanie w żołądku. Sprawia wrażenie tak pewnego siebie i opanowanego, że przez chwilę nie wiem, czy wytrzymam dłużej w tym samym miejscu co on. Odkąd odkryłam prawdę o nim i Marnie, jakoś udawało mi się go unikać, umawiałam nas na kolacje z innymi przyjaciółmi, udawałam chorą, żeby Adam odwołał grill u nas – chociaż tak naprawdę to nie było udawanie, bo na myśl, że miałabym usiąść w towarzystwie Roba i coś zjeść, robiło mi się niedobrze. Ale nie zamierzałam odwołać przyjęcia, o którym od tak dawna marzyłam. Muszę tylko Roba omijać – powiedziałam sobie, co nie wydawało się trudne w gronie dziewięćdziesięciu dziewięciu osób. Teraz jednak, gdy tu jest – sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Czuję przypływ takiej nienawiści, że muszę się na chwilę odwrócić. Z palącymi policzkami staram się zapanować nad oddechem.

– Na dziś wieczór – ciągnie Josh – przygotowaliśmy dla was wszystkich quiz muzyczny! Co jakiś czas będę odtwarzał piosenkę, którą wybrał ktoś z was, a wy macie odgadnąć, kto to był!

Znowu rozlegają się śmiechy i krzyki, więc żeby nie myśleć o Robie, staram się skupić na nich, na zabawie.

– Rozumiecie?! – pyta głośno Josh.

– Tak! – odpowiadają wszyscy.

– Więc zaczynamy!

Z głośników dobiegają pierwsze dźwięki *Celebration* i zanim ktokolwiek zdąży mnie zatrzymać, odchodzę od namiotu i stoję na szczycie schodków, jak najdalej od Roba. Max krąży w pobliżu, filmuje i robi zdjęcia. Uparł się, żeby pełnić funkcję fotografa, i cieszę się z tego, bo inaczej nie mielibyśmy żadnej pamiątki z przyjęcia. Adam skonfiskował wszystkim telefony i to było takie do niego niepodobne, że nawet mnie rozśmieszył; na

początku w ogóle myślałam, że żartuje. Nie rozmawialiśmy o zakazie używania telefonów na przyjęciu, więc musiał o tym zdecydować pod wpływem chwili. Może się martwił, że goście przez cały wieczór będą sprawdzali wiadomości, ja jednak nie sądzę, aby nasi przyjaciele tak się zachowywali.

Kilka razy oddycham głęboko. Ten moment samotności wśród tylu ludzi pozwala mi się uspokoić. Z uśmiechem obserwuję, jak moi przyjaciele się śmieją, już się dobrze bawią. Wyglądam sukienkę, poprawiam ją, żeby szew biegł prosto, i obciążam, bo materiał uniósł się lekko w talii. Nie byłam pewna, czy dobrze zrobiłam, kupując ją, bo miałam obawy, czy z powodu jej koloru ludzie nie pomyślą, że ubrałam się jak na ślub. Ale słyszę same komplementy, na razie nikt nie powiedział, że wyglądam jak panna młoda.

Ale była taka chwila, tuż po tym, jak się umalowałam i ułożyłam włosy... Gdy patrzyłam na siebie w lustrze, nagle pomyślałam o różach, które przysłała mi Marnie, i zbiegłam po nie. Po powrocie na górę wyjęłam je z wazonu i po osuszeniu łodyg ręcznikiem i odłożyłam na bok, a potem się ubrałam. Później, już w sukience, nie patrząc do lustra, wzięłam bukiet i stanęłam z nim jak panna młoda, która ma przejść kościelną nawą. Kiedy zobaczyłam swoje odbicie, do oczu napłynęły mi łzy.

Żałowałam, że nie ma w pobliżu nikogo, kto zrobiłby mi zdjęcie. Wyjmowałabym je i oglądałabym potajemnie, jak pamiątkę. Byli tylko Adam i Josh, ale krępowałabym się, gdyby zobaczyli mnie odgrywającą pannę młodą. Patrzyłam na siebie przez długi czas, starając się zapamiętać ten obraz, żeby wiedzieć, jak mogłabym wyglądać w dniu ślubu. A potem podniosłam róże do twarzy i wciągnęłam ich odurzający zapach.

– Dziękuję ci, Marnie – wymamrotałam. – Dziękuję, że mi to umożliwiłaś.

Smutne jest to, że gdyby tu była i gdyby nie zdarzyło się to, co się zdarzyło, przeżyłybyśmy tę chwilę razem, wygłupiając się i chichocząc. Może później, gdy wszyscy już pójdą, poproszę Adama, żeby zrobił mi z tymi różami zdjęcie, i prześlę je Marnie. Albo, jeśli róże nie zwiędną, zaczekam z tym do jej przyjazdu pod koniec miesiąca i odtworzę dla niej tę scenę. Nie wiem jednak, czy będzie mi się chciało tak wyszykować.

To było dziwne, tamta chwila na tarasie z Adamem, kiedy czekaliśmy na przybycie gości. Nastąpiła jakby przerwa, stan zawieszenia, kiedy nic się nie działo i nie było co robić. Moment, w którym obojgu nam zabrakło słów. W którym można było odnieść wrażenie, że świat się zatrzymał i zawiśliśmy w czasie, czekając, aby znowu zaczął płynąć.

Widzę Kirin, macha do mnie, więc idę do niej, unosząc brzeg sukienki.

– Powiedziałaś mu – informuje z uśmiechem. Bierze szklankę soku z niesionej obok nas tacy i robię to samo. Napiję się czegoś z alkoholem, ale później, gdy będą już wszyscy goście. – Powiedziałaś Nelsonowi, że jestem w ciąży.

– I jak to przyjął?

– Hm, dobrze, gdy już doszedł do siebie. Był trochę oszołomiony, ale w porządku. – Wskazuje zamaszystym gestem ogród. – Pięknie tu, Liv.

– Wiem, to zasługa Josha i Maxa. Spisali się doskonale. Nie mogę się doczekać, kiedy zapadnie zmrok, będzie niesamowicie.

– To co, warto było czekać? – Gdy za mną rozlega się głos Jess, moje serce przyspiesza. Boję się, że zobaczę obok niej Roba. Odwracam się powoli, żeby zyskać na czasie, pełna obaw, czy zdołam nad sobą zapanować.

Widząc, że Jess jest sama, czuję taką ulgę, że wilgotnieją mi oczy.

– O tak – odpowiadam, mrugając. – Było warto.

Jess bierze moje łzy za wyraz szczęścia, radości, że wreszcie mam swój „wielki dzień”, i ściska mnie serdecznie.

– Ślicznie wyglądasz!

– Nie za bardzo jak panna młoda?

– Ależ skąd.

Zerkam nad jej ramieniem.

– A gdzie Cleo? – pytam. Jednocześnie szukam wzrokiem Roba.

– Rozmawia z Joshem i Maxem.

– A, tak, widzę. Pogadam z nią później. A przy okazji... czy któraś z was nie zabrała w spa mojego telefonu?

– Ja nie – odpowiada Kirin.

– Ja też nie. – Jess wygląda na zaniepokojoną. – Dlaczego pytasz, zgubiłaś go?

– Nie wiem, myślałam, że jest w torebce, ale nie, więc pewnie zostawiłam go na stole podczas lunchu.

– Mam tam zadzwonić? – pyta Kirin. – Och... i tak nie mogę, bo Adam zabrał nam telefony.

– Nie martw się, jutro sama to zrobię. – Zwracam się do Jess. – Przynieść ci krzesło?

Uśmiecha się do mnie z wdzięcznością.

– Na razie postoję.

– Widziałaś zdjęcia Marnie? – pyta ją Kirin.

– Jeszcze nie.

Kątem oka widzę, że zbliża się Rob.

– O, popatrzcie, jest Izzy! – wołam, szybko odchodząc. – Przepraszam, muszę iść się z nią przywitać.

Ściskam Izzy i z nią gawędzę. Chce sprawdzić, czy pracownicy cateringu dobrze wykonują swoją robotę, więc ją zapewniam, że wszystko jest pod kontrolą, ona jednak lubi rządzić i robi to, nikogo nie urażając.

– Marnie się odzywała? – pyta, częstując się kanapką z tacy.

– Tak, rano dostałam od niej życzenia. I przysłała mi śliczne żółte róże.

– Te, które stoją w kuchni? Są piękne! Już nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć, stęskniłam się za swoją ulubioną bratanicą.

Uśmiecham się, bo Marnie to jej jedyna bratanica. Izzy i Ian nie mogą mieć dzieci, więc kochają ją jak córkę. Od kiedy urosła na tyle, żeby utrzymać w dłoni filiżankę, Izzy w każde urodziny zabiera ją do Londynu na popołudniową herbatę, co roku do innego hotelu, który potem oceniają, biorąc pod uwagę jakość bułeczek, świeżość kanapek i wybór ciastek.

– Powinnaś pójść zobaczyć zdjęcia – mówię, wskazując w stronę ogrodzenia. – Jesteś na jednym z nich, trzymasz Marnie tuż po tym, jak się urodziła.

– Cieszę się, że chociaż na jednym!

Gdy wcześniej zobaczyłam te fotografie, doznałam różnych uczuć. Zachwytu i dumy, oczywiście, ale także lekkiego niepokoju, że są wśród nich takie, których nie pamiętam. Nie przypominałam sobie, czy to ja je zrobiłam, czy ktoś inny, kiedy to było i z jakiej okazji. To, na którym jest w szkolnym mundurku, co upamiętnia – początek roku szkolnego, koniec semestru czy po prostu wyglądała ślicznie tamtego ranka i trzeba było to uwiecznić? A tamto na plaży – gdzie zostało zrobione, kiedy, w jakich okolicznościach? Prześladowały mnie wspomnienia, których nie przywoływały te fotografie – i ich niewinność. I niedowierzanie, że Marnie, moja śliczna Marnie, osiągnęła to wszystko, co osiągnęła.

Byłam dumna z tego, że gdy do nas dzwoni, zawsze pyta, jak się ma Jess i jak radzi sobie z chorobą. Jednak po tym, co tego dnia powiedziała mi Kirin – że Rob nie chce przyjąć do wiadomości, jaka jest sytuacja, z uporem twierdzi w rozmowach z Nelsonem, że Jess wciąż nie wymaga pomocy – nęka mnie straszne przeczucie. A jeśli Marnie wraca pod koniec miesiąca nie tylko po to, żeby spotkać się z Robem, ale ponieważ on zamierza odejść od Jess i chciałaby potajemnie go w tym wspierać?

Izzy idzie obejrzeć zdjęcia, więc upewniwszy się, że Roba nie ma w pobliżu, spoglądam w stronę tarasu, aby sprawdzić, czy nie przyjechał ktoś jeszcze. Wiem, że to niemożliwe, przecież nie widziałam się z nimi przeszło dwadzieścia lat, zresztą nie odpowiedzieli na moje zaproszenie ani nie przysłali kartki z życzeniami, jednak nie mogę wyzbyć się nadziei, że rodzice jednak przyjadą. Jest tylko Adam, pochyla nad czymś głowę, chyba nad telefonem. Wydaje się zagubiony, gdy tak stoi samotnie, i nagle ogarnia mnie dziwne wrażenie, że jesteśmy nie tam, gdzie trzeba, że powinniśmy być gdzie indziej, a wszystko wokół jest nie tak. Mam ochotę zawołać do Josha, żeby wyłączył muzykę, pogasił światła i powiedział gościom, że zaszła straszliwa pomyłka, więc niech wracają do domu. Ale po schodkach idą już Jeannie i Mike, mają pogodne, uśmiechnięte twarze, więc to wrażenie przemija tak szybko, jak się pojawiło.

Adam

Przyjeżdżają kolejni goście. Stoję na tarasie i zachowuję się jak automat: idę przybywającym naprzeciw, witam się z nimi, kieruję ich na taras. Przechodzący obok z tacami pracownicy cateringu proponują mi do zjedzenia to czy tamto, ale niczym się nie częstuję, nie mogę jeść. I wreszcie chwila spokoju.

– Tato! – Podnoszę głowę. Josh macha do mnie. – Możesz tu przyjść?

– Czy są już wszyscy, jak sądzisz?! – wołam, bo nie chciałbym opuszczać tarasu, dopóki nie będę tego pewny. Staram się przekrzyknąć Arethę Franklin, śpiewającą *Respect*. To wybór Josha, słyszę, jak ktoś tak mówi.

– Tak, chyba tak!

Jak to możliwe, że od czasu przyjazdu Nelsona i Kirin, czyli od wpół do ósmej, z taką uwagą słucham, co mówią goście, aby tylko nie zaczęli się czegoś domyślać, że były takie sekundy, a nawet minuty, kiedy zupełnie przestawałem myśleć o Marnie? To nie w porządku, że mogę się uśmiechać i gawędzić, gdy ona... szybko odsuwam od siebie tę myśl. Nie mogę pozwolić, żeby owładnęły mną wątpliwości, zwłaszcza teraz, gdy Josh na mnie czeka.

Zamykam boczną furtkę i podchodzę do niego.

– Pierścioneł mamy. Odebrałeś go? – pyta.

Patrzę na niego.

– Nie, ja...

– O rany, tato! Gdy zniknąłeś na tak długo po powrocie mamy, myślałem, że po niego pojechałeś.

– Byłem na górze, szykowałem się. – Przecieram twarz. – Zadzwonili do mnie od jubilera, że się nie wyrobią.

– Sądziłem, że zamierzasz go jej dać, nawet jeśli będzie niedopasowany? – Spogląda na mnie ze ściągniętymi brwiami. – Jeśli po niego nie pojechałeś, to znaczy, że nie masz dla niej żadnego prezentu?

– Wszystko jej wytłumaczę – odpowiadam. – Zrozumie.

– Dobrze. – Widzę, że jest rozczarowany. – Słyszałem tylko, jak ludzie ją pytają, co od ciebie dostała, a ona odpowiada, że przyjęcie to aż nadto. Ale według mnie wszyscy się

spodziewają, że coś jej dasz. Masz zdjęcie tego pierścionka? Przynajmniej to mógłbyś ofiarować.

– Nie. Nie, nie mam.

– A nie znalazłbyś zdjęcia czegoś podobnego?

– Tak, to dobry pomysł – kwituję, zadowolony, że mam wymówkę, aby odejść. – Pójdę i poszukam.

– Tylko wracaj szybko! – woła, gdy kieruję się w stronę domu. – Nie chcę tłumaczyć wszystkim, dlaczego cię nie ma!

Idę na górę, do sypialni, ale zamiast szukać zdjęcia w iPadzie, siadam na łóżku. Mimi leży na swoim ulubionym miejscu i wpatruje się we mnie zielonymi oczami bez jednego mrugnięcia. Nie zwracając na nią uwagi, wydaję telefon i przez chwilę na niego patrzę. Powinienem zadzwonić na infolinię. Powinienem był zrobić to już wcześniej. Nie wiem, do cholery, co sobie wyobrażam, nie dzwoniąc.

Zza okna dobiega wybuch śmiechu i zadowolony z tego pretekstu wstaję, żeby wyrzucić na zewnątrz. Nelson stoi w grupie znajomych i uświadamiam sobie, że właśnie oboje z Kirin ogłosili nowinę o bliźniętach. Muzyka cichnie i chwilę później słychać nową piosenkę, *Congratulations*. Wszyscy klaszczą i uderza mnie straszliwa ironia losu: właśnie rozbił się samolot, którym być może leciała nasza córka, a tu ludzie śpiewają do *Congratulations* i wiwatują.

Dociera do mnie, co zrobiłem. Dopuszczałem, żeby to przyjęcie się odbyło. Pozwoliłem, żeby goście pili szampana, śmiali się i śpiewali. Opadam na łóżko i chowam twarz w dłoniach. Co sobie myślałem? Podchodzi Mimi, która wyczuwa moją rozpacz, ale ją odpycham. Zbliżyła się znowu, nieprzyzwyczajona do takiej mojej reakcji, a wtedy wybucham.

– Nie, Mimi, idź sobie!

Zeskakuje z łóżka, a ja dalej się dręcę. Co ja narobiłem? Muszę przerwać tę imprezę, już, w tej chwili, zanim się rozkręci. Nie powinienem był dopuścić, żeby doszła do tego punktu, należało ją odwołać jeszcze przed rozpoczęciem. Teraz, jeśli stało się najgorsze, muszę zejść i poprosić wszystkich, żeby poszli do domu – podając powód.

Nie, nie mogę tego zrobić. Tracę kontrolę nad swoim umysłem. A gdybym tak poprosił Nelsona? Jeśliby się okazało, że Marnie była na pokładzie tego samolotu, powiadomiłby wszystkich. Ale czy miałbym powiedzieć Nelsonowi, zanim porozmawiam z Livią? Wstaję i zaczynam krążyć po pokoju. Nie, najpierw muszę powiedzieć Livii, a zaraz potem Joshowi. No i rodzicom, powinni dowiedzieć się tego ode mnie, ale dopiero gdy powiem Livii i Joshowi. A skoro mamie i tacie, to może także Izzy i Ianowi, bo przecież należą do rodziny. Czy powiedzieć im później, gdy już porozmawiam z Livią, z Joshem i z rodzicami? A może lepiej by było, gdyby to Nelson ich powiadomił razem ze wszystkimi?

I jak mam im powiedzieć? Żadne słowa tego nie wyrażą. Już sama myśl o tym wydaje się nieprawdopodobna.

I wtedy... rozlega się dzwonek do drzwi. Obracam się szybko w stronę wyjścia z sypialni, serce wali mi w piersi. Nikogo więcej się nie spodziewamy, wszyscy goście już są. Dzwonek rozbrzmiewa ponownie, tym razem bardziej nieśmiało, jakby ten, kto stoi po drugiej stronie drzwi, stracił odwagę. Tak mogłaby dzwonić do drzwi Marnie, gdyby się niepokoiła, że otworzy je ktoś inny zamiast mnie i będzie po niespodziance. Gdyby podeszła najpierw do bocznej furtki i nie zastała mnie tam czekającego, aby pomóc jej schować się do pudła.

Spoglądam na swój telefon. Jest ósma trzydzieści pięć, Marnie miała przyjechać później – a jeżeli znaleźli jej bezpośredni samolot z Kairu do Londynu, jak uprzedzała tego ranka? Zbiegam po schodach idiotycznie blisko łez. Mogłem zaoszczędzić sobie tej męki, gdybym wszystko dobrze przeanalizował. Jasne, że jak najszybciej próbowaliby wyprawić w drogę czekających w Kairze pasażerów. Drżącymi palcami gmeram przy zasuwie, już widzę samego siebie, jak ją ściskam, mówię jej, że tak się bałem, iż poleciała tym samolotem, co się rozbił...

Otwieram drzwi.

– M...! – Jej imię zamiera mi na ustach i patrzę z niedowierzaniem, bo to nie ona, tylko jakaś inna dziewczyna. Niższa od niej, o ciemniejszych włosach, znam ją, ale zdezorientowany nie mogę rozpoznać.

Cofa się o krok.

– Dobry wieczór, panie Harman – mówi zbита z tropu. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Przenieśliśmy przyjęcie urodzinowe dziadka na jutro, żebym mogła przyjechać dziś do państwa. Nie mówiłam nic Joshowi, bo chciałam zrobić mu niespodziankę. Może powinnam była uprzedzić pana albo panią Harman. Nie... nie pomyślałam o tym, przepraszam.

To dziewczyna Josha, uświadamiam sobie tępo. Nie Marnie.

– Amy – mówię.

Nie chcę jej tutaj. Mam ochotę zamknąć jej drzwi przed nosem, nakrzyczeć na nią, żeby sobie poszła.

Spogląda za moje plecy do holu, ale kuli się, kiedy widzi wyraz mojej twarzy.

– Przepraszam – powtarza. – Powinnam była zadzwonić.

Odsuwam się na bok, bo nie mogę wydobyć głosu. Ona wchodzi i zatrzymuje się niepewnie.

– No idź – mówię szorstko. – Josh na pewno ucieszy się na twój widok. – Pośpiesznie odchodzi, a ja opieram się o ścianę. Pod wpływem adrenaliny serce o mało nie wyskoczy mi z piersi. To nie wina tej dziewczyny, mówię sobie. Nie jej wina, że nie jest Marnie.

Powoli ruszam za nią, zatrzymuję się w tylnych drzwiach i patrzę, jak na palcach, omijając grupki ludzi, idzie przez trawnik w stronę Josha, który stoi z Maxem odwrócony do niej plecami. Zbliża się do niego i od tyłu dłońmi zasłania mu oczy, a kiedy on wykonuje obrót, widzę nie ją, jak śmieje się na widok jego miny, tylko Marnie, która zrobiła tak samo,

gdy niespodziewanie przyjechała z uniwersytetu, żeby sprawić mi niespodziankę na urodziny. Wciąż czuję dotyk jej rąk, gdy podkraśla się do mnie i zakryła mi oczy.

– Wszystko w porządku, Adamie? – Przejęty tym wspomnieniem dopiero po chwili uświadamiam sobie, że obok mnie stoi Nelson.

Wracam do terażniejszości.

– Tak, w porządku. Nie wiedziałem, że przyjedzie, i tyle.

– Amy?

– Tak. – Wychodzę na taras, oddalając się od niego. – Przepraszam, Nelsonie, muszę pełnić obowiązki gospodarza.

Niepewnie pokonuję schodki. Goście tłoczą się wokół, chwalą przyjęcie, mówią, jak pięknie wygląda Livia i jaka to szkoda, że nie ma Marnie. Nie mogę tego znieść. Rozglądam się rozpaczliwie – nie powinno mnie tu być, nie powinno być nikogo z nas. Wtedy zza moich pleców dobiega głos Livii i kiedy się odwracam, widzę ją stojącą w grupie przyjaciół. Rzeczywiście, wygląda pięknie, sprawia wrażenie szczęśliwej, bardzo szczęśliwej i – szukam odpowiedniego słowa – swobodnej.

I wiem, że zadzwonię na tę infolinię dopiero po przyjęciu.

Livia

Tylu ludzi mówi jednocześnie, że trudno mi się skupić. Na szczęście muzyka jest głośna, więc wystarczy, że się uśmiecham, śmieję i kiwam głową, aby nikt nie zauważył mojego roztargnienia. Wysiłek, jakiego wymaga unikanie Roba, zaczyna mi ciążyć. Złości mnie, że muszę prowadzić tę głupią grę, bawić się w kotka i myszkę na przyjęciu, na które tak długo czekałam. Czuję pod powiekami głupie piekące łzy, więc pochylam głowę i mrugam, żeby je powstrzymać.

Ktoś podaje mi drinka, więc podnoszę wzrok. To Ian, mąż Izzy.

– Dziękuję ci – mówię z wdzięcznością.

– To musi być przytłaczające – odpowiada i przygląda mi się uważnie. Jesteśmy tego samego wzrostu i jego oczy, na tym samym poziomie co moje, są niemal czarne. Przy Izzy, takiej ekstrawertyczce, łatwo przeoczyć Iana, który jest cichszy i łagodniejszy. Bardzo go lubię, chociaż przeważnie zupełnie nie mam pojęcia, co myśli.

– Wspaniale zgromadzić tu wszystkich – kwituję.

Kiwa głową.

– Ale kilku osób brakuje.

Natychmiast myślę o Marnie, ale szybko przestaję, bo sprawia mi to zbyt duży ból, a potem przypominam sobie o rodzicach. Nie przyjechali, oczywiście, że nie, i już nie przyjadą, wiem to.

– Myślałam, że mama z tatą jednak się zjawią – mówię. – Zaprosiłam ich. To głupie, zdaję sobie sprawę.

– Wcale nie głupie – zaprzecza i mam ochotę go uściskać. – Przykro mi, że się nie pokazali.

– Jeśli moje czterdzieste urodziny nie są dostatecznym powodem, żeby wyciągnąć rękę na zgodę, nic więcej nie mogę zrobić – zauważam, wzruszając ramionami. – Nie mieści mi się głowie, że po tych wszystkich latach wciąż żywią do mnie urazę.

– Czas potrafi zbliżać do siebie ludzi, ale czasami jeszcze bardziej ich od siebie oddala.

– Skąd to wiesz?

– Nauczyłem się przy Izzy.

Śmiejemy się łagodnie, a potem Ian, rzucając mi szybki uśmiech, idzie po kolejnego drinka. Popijam tego, którego mi dał, wiedząc, że pora przestać życzyć sobie czegoś, co nigdy nie nastąpi. Chciałam, żeby moi rodzice byli obecni w życiu Josha i Marnie. Ale i on,

i ona opuścili gniazdo, żyją po swojemu i może nie potrzebują już dziadków, których właściwie nie znają. Moja matka ma sześćdziesiąt osiem lat, a ojciec siedemdziesiąt dwa. Ian ma rację, czas niczego między nami nie naprawił. Ich serca z wiekiem będą tylko twardnieć, nie mięknać.

– Livio! – Czyjaś ręka dotyka mojego ramienia. Odwracam się i widzę Paulę, wygląda świetnie w długiej, powiewnej sukience. Trzyma w ręce srebrne szpilki i na twarzy ma rumieńce od tańca.

– Cześć, Paula – mówię, ściskając ją. – Tak miło cię widzieć. Dobrze się bawisz?

– O tak, przyjemnie pogadać z kolegami z pracy, dowiedzieć się, co u nich. Brakuje mi ich.

– A jak ty się masz? – pytam. Muszę jej wysłuchać, bo wiem, jaka czuje się samotna po przejściu na emeryturę, nie mając w pobliżu bliskiej rodziny.

Gdy opowiada o kółku czytelnicy, do którego ostatnio się zapisała, dyskretnie szukam wzrokiem Roba. W pewnym momencie widzę go, jak zmierza w moją stronę, ale na widok Pauli szybko się odwraca. Kilka razy przyszła do nas w weekend na lunch, więc miał okazję ją poznać i wie, jak bardzo bywa gadatliwa. Ktoś, kto sam lubi mówić, nie znosi podobnych do siebie.

Słyszę, jak Josh ogłasza, że następna piosenka została wybrana przez jednego z gości i mamy zgadnąć, przez którego.

– Znam ją – mówi Paula, gdy rozlegają się pierwsze tony. – To *We Are Family*.

Bierze mnie za rękę i pociąga tam, gdzie tańczy grupa ludzi.

– To pewnie wybór Kirin – mówię. – Zobacz, jak się uśmiecha. – Wskazuję na nią. – To Kirin! – wołam.

Josh pokazuje uniesiony kciuk, pozostali biją brawo i śmieją się, podczas gdy Nelson biegnie przez trawnik, potrącając ludzi, i bierze ją w ramiona.

– „Jesteśmy rodziną – śpiewa. – Są przy mnie wszystkie moje córki!”

– Chciałabym mieć przy sobie swoich synów – komentuje ze smutkiem Paula. – Nie podoba mi się, że mieszkają tak daleko.

Zanim zdążę odpowiedzieć, podchodzi Jeannie, żeby, jak się domyślam, poplotkować o drugiej parze bliźniąt, której spodziewają się Kirin i Nelson.

– Pięcioro dzieci! – mówi rozbawiona i kiedy się uśmiecha, dostrzegam, jaki Adam jest do niej podobny. – Będzie musiał wymienić ten swój wspaniały motocykl na vana.

– Raczej sprzedałby dom niż motocykl – żartuję.

– Dom też będzie musiał sprzedać. Kirin powiedziała, że nie wie, gdzie umieszczą dwójkę niemowląt... na co Nelson stwierdził, że mają całkiem dobrą szopę w ogrodzie!

Ktoś wchodzi na taras, więc wychylam się, żeby spojrzeć za plecy Jeannie, spodziewając się, że zobaczę Adama. Ale to Amy i wyraz radości, którą czuję na jej widok – bo wiem, jak Josh się ucieszy, że jednak przyjechała – zamiera na mojej twarzy, gdy widzę jej minę.

Najwyraźniej coś ją zdenerwowało i mam nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z jej dziadkiem.

Już mam do niej podejść, gdy wbiega po stopniach i podchodzi na palcach do Josha. Zasłania mu dłońmi oczy i od razu się rozpogadza, a ja się śmieję, widząc, jaką zrobiła mu niespodziankę. Potem jednak coś mu mówi i oboje spoglądają w stronę kuchni, w której progu stoi Adam. To on musiał ją wpuścić – uświadamiam sobie.

Przepraszam Jeannie i Paulę, bo zamierzam do niego iść. Ale uprzedza mnie Nelson, więc podchodzę do Josha i Amy.

– Cześć, Amy – mówię, świadoma, że Max się oddalił. – Miło cię widzieć. Nie sądziłam, że uda ci się przyjść.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – woła, ściskając mnie. – Mama powiedziała dziadkowi o pani przyjęciu, a on nalegał, żebym na nie przyjechała. Stwierdził, że gdy ktoś ma tyle lat co on, nie musi obchodzić urodzin dokładnie w dniu, w którym wypadają, więc urządzamy mu je jutro po południu.

– To uroczę z jego strony. Bardzo się cieszę, że jesteś z nami.

– Pan Harman chyba ma inne odczucia – mówi i znowu się zachmurza.

– Jak to?

– Nie ucieszył się na mój widok.

Josh zwraca się do mnie.

– Nie powiedziałaś mu, mamo, prawda?

– Nie, jasne, że nie.

– Więc musiał się dowiedzieć od kogoś innego. Nie ma innego powodu, żeby gniewać się na Amy.

– Może z nim porozmawiasz?

– Teraz?

– Im szybciej, tym lepiej – odpowiadam lekko.

– Będzie rozczarowany – mamrocze Josh.

– Zrozumie.

– Nie jestem taki pewny.

– I nie będziesz, dopóki z nim nie pogadasz.

– No idź – włącza się Amy i lekko go popycha. – Miej to już za sobą.

Josh niechętnie odchodzi, a ja czuję na sobie czyjś wzrok. Uświadamiam sobie, że Max chciałby porozmawiać z Amy i czeka, abym odeszła.

– Pójdę do innych gości – rzucam i uśmiecham się do Amy. – Do zobaczenia później.

Odwracam się i widzę, że Roba dzieli ode mnie zaledwie kilka kroków. Chciałabym uciec, ale jak zajęć w świetle reflektorów samochodowych nie mogę ruszyć się z miejsca. Jednak Max, który podchodzi do Amy, wpada na niego i go potrąca, a że jest potężnie zbudowany, tamten traci na chwilę równowagę.

– Już jesteś pijany? – słyszę, jak Rob mówi dobrotliwie do Maxa, bo przecież to brat łąta. Nie czekam, żeby wysłuchać do końca, co mają sobie do powiedzenia, tylko umykam do pustego namiotu, bo chcę przez chwilę pobyc sama.

Przykładam dłonie do twarzy i czuję gorąco na policzkach. Musiałam zwariować, aby sądzić, że uda mi się unikać Roba przez cały wieczór. W którymś momencie musimy stanąć twarzą w twarz ze sobą. Nie przestanie mnie szukać, bo nie ma pojęcia, dlaczego nie powinien tego robić. Z perspektywy czasu zdaję sobie sprawę, że powinnam była wczoraj napisać do niego mejl, żeby się nie pokazywał, żeby udał chorobę, a Jess mogła przyjść, bo wiem o nim i Marnie.

Ale wtedy powiedziała by Marnie, że wiem, a muszę z nią porozmawiać, usłyszeć jej wersję, zanim Rob poinstruuje ją, co ma mówić, zanim sama zdąży wymyślić jakieś kłamstwo, jak i kiedy to się zaczęło, choćby tylko po to, aby go chronić. I gdy nie będzie się niczego spodziewała, chcę ją zapytać, czy w pełni zdaje sobie sprawę, co robi, bo według mnie tak nie jest. Nie mogę uwierzyć, że wdała się w romans z Robem z całą świadomością. Na pewno nie pomyślała, że gdy sprawa się wyda, Adam już nigdy nie odezwie się do Roba, co z kolei wpłynie na jego przyjaźń z Nelsonem. Nie pomyślała, że Nelson też przestanie rozmawiać z Robem, co odbije się na całej rodzinie. Nie zdaje sobie sprawy, że Jess może przestać odzywać się do mnie i że Kirin będzie rozdarta, bo przecież są spowinowaczone. Ani też że Josh będzie przerażony jej postępowaniem, a Cleo, gdy się dowie, że jej najlepsza przyjaciółka i ojciec sypiają ze sobą, poczuje się zdradzona. To niemożliwe, żeby Marnie miała świadomość tego wszystkiego, bo gdyby tak było, chyba nie potrafiłabym jej wybaczyć.

Adam

– Tato?

Przerywam rozmowę z Izzy.

– Tak, Josh?

– Przepraszam, że przeszkadzam. Ciociu Izzy, mogę zabrać tatę na chwilę?

– Jasne. I dopilnuj, żeby wziął coś na migrenę. Wygląda okropnie.

– Pójdziemy do szopy? – proponuje Josh.

Gdy się odwracam, aby iść za nim, widzę, że Amy rozmawia z Robem i Maxem. Max tylko udaje, że słucha, a tak naprawdę patrzy nad ich ramionami na coś albo na kogoś. Podążam za jego wzrokiem. Odprowadza nim Livię, która znika w namiocie. Widząc, jak na nią spogląda, przystaję zaniepokojony. O co tu chodzi?

– Idziesz, tato?

Przeciskamy się przez tłum gości i wchodzimy do szopy. Josh opiera się o warsztat i splata ręce na piersi. Przypominam sobie, że miałem znaleźć zdjęcia pierścionka, które mógłbym dać Livii.

– Nie znalazłem – mówię.

– Słucham?

– No, zdjęcia.

Bierze głęboki oddech.

– Przykro mi, tato, ale nie pojedę.

– Dokąd nie pojedziesz? – pytam. Czy naprawdę myśli, że chcę, aby pojechał po pierścionek, mimo że sklep jest już zamknięty?

– Do Nowego Jorku.

– Nowego Jorku?

– Tak. Rezygnuję ze stażu.

To takie dalekie od tego, co spodziewałem się od niego usłyszeć, że załapuję dopiero po chwili.

– Dobra – odpowiadam. – W porządku.

Odpycha się od warsztatu i zaczyna krążyć w kółko.

– Wiem, że jesteś rozczarowany. I zdaję sobie sprawę, że powód, dla którego nie chcę jechać, jest trochę żalony. Ale kocham Amy i nie chcę rozstawać się z nią na cały rok. I tak

ledwie mogliśmy wytrzymać z dala od siebie w ciągu tych sześciu miesięcy, kiedy ja byłem w Bristolu, a ona w Exeter. – Śmieje się ze skrepowaniem. – Czuję, że to ta jedyna, tato, naprawdę. Wiem, że mam dopiero dwadzieścia dwa lata... już prawie dwadzieścia trzy... i nie znam jej zbyt długo, ale coś w niej jest takiego, że...

– Josh – przerywam mu. – W porządku. Nie ma problemu. Jeśli nie chcesz jechać do Nowego Jorku, to nie jedź.

Patrzy na mnie z wyraźną ulgą.

– Naprawdę?

– Tak. – Z trudem przełykam ślinę. – Życie jest krótkie. Rób to, co da ci szczęście.

Powoli kręci głową.

– Nie uwierzysz, jak bardzo się bałem ci o tym powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo to ty załatwiłeś mi ten staż.

– To nie znaczy, że musisz się na niego zdecydować.

Przesuwa palcami we włosach.

– To pewnie wygląda na czarną niewdzięczność z mojej strony.

– Wcale nie. – Ogarnia mnie ogromne zmęczenie. – Posłuchaj, możemy później o tym pogadać? Czy ja wiem... a może zamienisz się z Billem na staż w Londynie... bo tam byłbyś blisko Amy, jak rozumiem?

– Tak. A przy okazji... Marnie mnie popiera. Mówi, że nie ma sensu, abym wyjeżdżał za granicę, jeśli byłoby mi tam źle.

Marnie.

– Porozmawiamy jutro – odpowiadam. – Teraz lepiej wróćmy do reszty.

– Muszę odnaleźć Amy. Myśli, że jesteś na nią zły, bo uważasz, że to przez nią nie chcę jechać do Nowego Jorku.

– Więc powiedz jej, proszę, że tak nie jest.

Przygląda mi się z ciekawością.

– Dlaczego zachowałeś się wobec niej tak obcesowo, skoro o niczym nie wiedziałeś?

– Z powodu migreny i tyle.

– Dzięki, tato. – Podchodzi i niespodziewanie mnie ściska. – Jesteś super.

Wychodzi, a ja stoję w miejscu i próbuję przetrwać to, co mi właśnie powiedział. Wydaje się to takie nieważne w porównaniu z Marnie. Czy rzeczywiście byłbym rozczarowany – nawet zawiedziony – gdyby choć dzień wcześniej się przyznał, że rezygnuje z tego stażu? Pewnie tak.

Opuszczam szopę. Rozpaczliwie pragnę się dowiedzieć, która jest godzina, ale pierwszy raz tego wieczoru nie jestem w stanie spojrzeć na wyświetlacz telefonu. Amy przyszła mniej więcej za dwadzieścia pięć dziewięć, tyle wiem. Potem zatrzymał mnie Nelson, rozmawiałem z paroma osobami, przyniosłem im drinki, sprawdziłem, czy Jess ma się dobrze, poszedłem po drinki dla niej i dla Kirin... to wszystko musiało zająć z pół godziny.

Później dopadli mnie Izzy – to następne dziesięć minut – i Josh – kolejne dziesięć. Musi więc być około wpół do dziesiątej. W świecie, w którym żyłem wcześniej, Marnie już by przyjechała. Dostałbym od niej esemesa z informacją, że czeka przy furtce, spotkałbym się z nią przy bocznym wejściu i po szybkim serdecznym przywitaniu się z nią wyciągnąłbym spod stołu pudło, w którym by się ukryła. A w tej chwili wszyscy bylibyśmy na tarasie.

Przecinam trawnik, zauważając przelotnie, że Livia weszła z Maxem do domu. Patrząc przed siebie, żeby nie zbliżył się do mnie żaden z gości, ale po dojściu do schodków przystaję. Oczami wyobraźni widzę wszystkich zebranych na tarasie poniżej, czekających, żeby Livia otworzyła prezent. Stoję obok niej i gdy pochylona unosi pokrywę pudła, ze środka wyskakuje Marnie. Każdy się śmieje i wiwatuje, a Livia, uściskawszy córkę, aż obie ze wzruszenia mają w oczach łzy, zarzuca mi ręce na szyję i mówi, że to najlepszy prezent, jaki mogła dostać. A potem nic już nie widzę.

Tyle że – ktoś podchodzi do bocznej furtki, popycha ją powoli. Serce zaczyna walić mi w piersi jak wtedy, gdy Amy zadzwoniła do drzwi. Nie rób sobie żadnych nadziei – nakazuję sobie. Tylko przeżyjesz zawód. Ale już zbiegam po stopniach i szybkim krokiem idę przez taras.

Podchodzę do furtki i gwałtownie za nią pociągam, ale zawiasy stawiają opór. A potem się zatrzymuję. Bo to nie jest Marnie. Opieram się bezwładnie o deski. Przygryzam wnętrze ust, aż czuję smak krwi. Patrząc na starszą panią, której nigdy wcześniej nie widziałem.

– Witaj, Adamie – mówi i wtedy poznaję ją po głosie. Uświadamiam sobie, że mam przed sobą matkę Livii.

– Patricia – odpowiadam tępo.

– Dostałam twój list. – Czekam, żebym coś powiedział. – Zaproszenie na dzisiejszy wieczór – dodaje, ponieważ się nie odzywam. – Chciałabym zobaczyć się z Livią, jeśli mogę.

Wpadam w panikę. Czyżbym znowu zrobił coś nie tak? A jeśli Livia nie zechce zobaczyć się z matką, nie tutaj, nie teraz, nie na swoim przyjęciu? Jeżeli jej matka przyjechała nie po to, żeby się z nią pojednać, tylko żeby znowu ją skrzywdzić?

Ona jednak próbuje ponownie.

– Nie zostanę długo. Czekam na mnie samochód.

– Nie życzę sobie żadnych kłopotów – odpowiadam, bo wreszcie mogę wydobyć z siebie głos. – To szczególny dzień dla Livii.

– Wiem.

– Nie, nie wiesz – sprzeciwiam się szorstko. – To przyjęcie ma jej zrekompensować brak wesela.

Oblewa się rumieńcem.

– Żałuję, że tak to się potoczyło.

– I to cię tu sprowadza?

Wytrzymuje moje spojrzenie.

– Jej ojciec zmarł kilka miesięcy temu.

Nic więcej nie mówi, ale nie musi. Ojciec Livii był bezwzględnym tyranem i kiedy teraz o tym myślę, uzmysławiam sobie, że to on oznajmił Livii, iż nie chcą mieć z nią więcej nic wspólnego. Może matka nie miała wyboru. Patrzą na nią uważnie. Nic dziwnego, że jej nie poznałem. Włosy miała zawsze spięte w ciasny kok, a teraz opadają jej na ramiona, wijąc się miękko.

– Nie wiem, czy to odpowiednia pora, aby jej o tym powiedzieć – mówię. Bardzo żałuję, że napisałem ten list.

– Mimo to chciałabym się z nią zobaczyć – odpowiada, nie ustępując. – A także z Joshem i Marnie. Tylko żeby się przywitać. Czy Marnie już przyjechała?

Livia

Zapraszanie tylu osób na przyjęcie ma ten plus, że nikt nie zauważa, gdy na jakiś czas się znika. Mogłabym zostać w namiocie nawet dłużej, gdyby Liz i jej ekipa nie zaczęli wnosić jedzenia, którym teraz częstują się goście. Umykam więc na zewnątrz i szybko rozglądam się wokół. Josh jest z Amy i Maxem, Roba na szczęście nie widać. Najbezpieczniej jest w większej grupie, więc zauważywszy kolegów z pracy, którzy gawędzą w swoim gronie, kieruję się do nich. Zachęcam ich, żeby poszli coś zjeść, i zastanawiam się, jak Adam przyjął wiadomość, że Josh nie chce jechać do Stanów. Jednak, na szczęście dla Josha, jego ojciec wkrótce zapomni o swoim rozczarowaniu, bo będzie miał większe zmartwienie.

Korzystając z chwili samotności w namiocie, zastanawiałam się, czy nie powinnam powiedzieć Adamowi o Marnie i Robie, dopiero gdy będziemy we Francji. Wyobraziłam sobie, jak wskakuje na motocykl i jedzie, żeby odnaleźć Roba i porachować mu kości, i choć ta wizja sprawia mi przewrotną przyjemność, nie mogę ryzykować, że tak zrobi. Z dala od domu, za granicą, jego reakcja nie będzie taka gwałtowna i miejmy nadzieję, nie taka traumatyczna dla wszystkich. A poza tym, jeżeli powiedziałabym mu zaraz po imprezie, pomyślałby, że z tym zwlekałam, bo nie chciałam z niej zrezygnować.

Rozglądam się dokoła i zauważam Cleo, która siedzi na murku i odpoczywa po tańcu. Podchodzę i siadam obok niej.

– Jak tam moja ulubiona córka chrzestna? – zagaduję. Otaczam ją ramieniem i ściskam.

– Wszystkiego najlepszego, Livio – mówi, odwzajemniając mój uścisk. – Masz miły dzień?

– Wspaniały – odpowiadam.

– Przepraszam, że nie podeszłam wcześniej, zaraz po przyjściu, i nie przywitałam się z tobą, ale wciąż z kimś rozmawiałas.

– Z nikim, kto byłby ważniejszy od ciebie. Dziękuję, że przyszłaś. Jest mi wystarczająco smutno, że nie ma Marnie. – Powinnam ją zapytać, jak było w Hongkongu, wiem, bo dziwnie by wyglądało, gdybym tego nie zrobiła, ale nie mogę znieść myśli, że Rob zabrał ją tam tylko po to, żeby mógł pobyć z Marnie. – Dobrze się bawiłaś w Hongkongu? – pytam mimo to.

– Tak, cudownie było spotkać się z Marnie, chociaż spędzała na uniwersytecie więcej czasu, niż się spodziewałam. A tata musiał pracować, więc przeważnie chodziłam po

mieście sama.

Jak mogłaś, Marnie – myślę – jak mogłaś?

– A jak tam życie?

Krzywi się.

– Podejrzewam, że Charlie mnie zdradza. A poza tym wszystko dobrze.

– Och, Cleo, tak mi przykro. Mam przywołać go do porządku? – dodaje, żeby trochę rozluźnić atmosferę.

Uśmiecha się na to.

– Mówisz jak mój tata.

Nie mogła mi powiedzieć nic gorszego. Wzbiera we mnie gniew na Roba za to, że grozi przywołaniem do porządku chłopaka córki, który może wcale jej nie zdradza, podczas gdy sam sypia z moją córką – najbliższą przyjaciółką własnej.

– Masz śliczną sukienkę – rzucam, aby odwrócić jej uwagę od tego, że gwałtownie wstaję. – Lepiej pójdę poszukać Adama, prawie go nie widziałam od początku przyjęcia. Ciągle gdzieś znika.

– Mama mówi, że dostał migreny.

Kiwam głową.

– Może poczuje się lepiej, jeśli go nakłonię, żeby coś zjadł. Do zobaczenia później.

– Baw się dobrze! – woła za mną.

– Dzięki!

Idę na środek trawnika i powoli się obracam, żeby znaleźć Adama. Ktoś obejmuje mnie w pasie.

– Cześć, jubilatko. Unikasz mnie czy co?

Właśnie tej chwili się bałam. Pod wpływem dotyku jego ręki cała tężeję. Zawsze był flirciarzem – może także z tego powodu Adam za nim nie przepada – i chociaż raziło mnie to ze względu na Jess, robiłam dobrą minę do złej gry. Rob już taki jest, był taki od dawna. Teraz jednak brzydzę się na myśl, że mnie dotyka, obejmuje i cmoka w ten swój leniwy sposób, tak samo dotykając, obejmując i całując moją córkę. Czuję, jak rośnie we mnie zimna wściekłość. Wyrywam mu się i strącam szorstko jego rękę.

– Ej, co z tobą? – pyta, patrząc na mnie z dezorientacją.

Nigdy nie czułam silniejszego pragnienia, żeby rzucić się na niego, pobić go, podrapać, nawrzeszczyć na niego. Zaciskając zęby i pięści, robię krok w jego stronę. Zanim jednak posunę się dalej, ktoś chwyta mnie za nadgarstek i odciąga od Roba.

– Przepraszam, Rob. – Zza pleców słyszę głos Maxa. – Livia jest potrzebna w kuchni. Chyba z gorącą płyną desery czy coś takiego.

Rob składa dłonie jak do modlitwy.

– Proszę, tylko niech nic nie stanie się deserom, Livio. Wiesz, jak lubię lody!

Najwyraźniej zupełnie nie bierze pod uwagę, że wyraz mojej twarzy może mieć z nim coś wspólnego, bo przecież jest takim świetnym facetem, a zresztą nikt nie może wiedzieć

o nim i Marnie, ponieważ wszyscy są naiwniakami i traktują poważnie jego samego i to, co mówi.

Wciąż gotuję się w środku, gdy Max prowadzi mnie do kuchni. W pobliżu jednak nie widać śladu Liz.

– Musi być w jadalni – mówi Max i ciągnie mnie tam. W jadalni też jej nie ma, ale jestem zbyt zajęta myśleniem o Robie, aby zauważyć, że coś jest nie tak. Wreszcie Max zamyka za nami drzwi i opiera się o nie, żeby nikt nie mógł wejść.

– Co ty wyrabiasz, Max? – pytam. Ale znam odpowiedź, tylko nie mogę uwierzyć, że postanowił akurat na przyjęciu zagadnąć mnie, dlaczego od kilku miesięcy jestem dla niego taka niemiała. – Muszę wracać do gości.

Nic nie odpowiada, tylko patrzy, wbija we mnie te swoje niebieskie oczy, przygląda mi się badawczo.

– Posłuchaj, przepraszam, jeśli ostatnio traktowałam cię niegrzecznie – mówię ze zniecierpliwieniem. – Po prostu trzymam stronę Marnie, bo wiem, że się pokłóciliście. Mam świadomość, że tak nie powinnam, ale Marnie miała dół i pomyślałam... – Urywam, bo jak mam mu powiedzieć o swoich podejrzeniach, że on i Marnie są ze sobą?

– Mów dalej – rzuca.

– Pomyślałam, że się jej narzucałeś, a ona cię nie chciała – kończę.

Marszczy czoło.

– O rany. Marnie jest dla mnie jak siostra. Dlatego właśnie jestem na nią taki wściekły! – wybucha. – Wiem wszystko, Livio. Wiem o niej i Robie.

Serce zamiera mi w piersi.

– Jak to?

Patrzy na mnie z przerażeniem.

– O Boże, tylko mi nie mów, że ty nie wiesz. – Odpycha się od drzwi. – Przez cały wieczór unikałaś Roba, a przed chwilą patrzyłaś na niego tak, jakbyś chciała go zabić, więc doszedłem do wniosku, że znasz prawdę. – Wsuwa palce we włosy. – Cholera jasna.

Kładę mu dłoń na ramieniu.

– W porządku, Max, wiem wszystko. Tylko nie sądziłam, że ktoś jeszcze się orientuje. Jak się dowiedziałeś?

Ulgę na jego twarzy szybko zastępuje gniew.

– Chciałem kiedyś w ramach niespodzianki odwiedzić Marnie w Durham i zobaczyłem ich razem.

– Kiedy to było?

– Z rok temu. Może trochę wcześniej... chyba w marcu.

Niedługo po tym, jak Rob zaczął wyjeżdżać na dwa dni w tygodniu do Darlington – uświadamiam sobie z goryczą.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś ani mnie, ani Adamowi?

– Bo gdy zapytałem o to Marnie, wszystkiego się wyparła. Kiedy jej opowiedziałem, co widziałem, odparła, że to było szaleństwo, ale się skończyło. Uwierzyłem jej... jednak w grudniu Josh wspomniał, że firma wysłała Roba na tydzień do Singapuru. Wiem, że to nie tak blisko Hongkongu, ale nabrałem podejrzeń, bo dlaczego facet nagle miałby jechać na Daleki Wschód? Sprawdziłem i okazało się, że jego firma ma tam biura. Ale nie dawało mi to spokoju, wciąż się zastanawiałem, czy Rob nie zamierza pojechać do Marnie, więc napisałem do niej mejl z pytaniem, czy mógłbym odwiedzić ją mniej więcej w tym czasie, w którym on miał być w Singapurze. A wtedy zrobiła wszystko, żeby mnie zniechęcić, początkowo twierdziła, że musi pisać pracę, potem, że wyjeżdża.

Przypomniałam sobie, jak Marnie zmusiła mnie do kłamstwa w tej sprawie, i zamknęłam oczy. „Nie chcę, żeby przyjeżdżał” – oświadczyła, więc od razu pomyślałam, że to Max jest ojcem dziecka, które straciła. Czy wiedziała, że dojdę do takiego wniosku, i celowo tak powiedziała, żeby nakłonić mnie do pomocy?

– W końcu w tym tygodniu, w którym Rob miał być w Singapurze, zadzwoniłem do niego do pracy i poprosiłem go do telefonu – ciągnął Max. – Dowiedziałem się jednak, że jest na urlopie. Więc zatelefonowałem do Marnie i zapytałem ją wprost, czy jest u niej. Odpowiedziała... w wersji złagodzonej... że to nie moja sprawa, i przerwała połączenie. Od tamtej pory z nią nie rozmawiałem.

– Przykro mi, Max – mówię bezradnie.

– Wiem, że powinienem był wam powiedzieć, ale nie mogłem się na to zdobyć. Marnie miała rację, to w gruncie rzeczy nie powinno mnie interesować, poza tym nie miałem żadnego dowodu, że Rob był u niej. – Przerywa. – A ty od jak dawna wiesz?

– Odkąd Cleo pojechała z nim do niej na swoje urodziny. Skontaktowałam się z Marnie na FaceTimie i zobaczyłam go za nią, był... – To wspomnienie jest dla mnie zbyt nienawistne, a słowo „nagi” nie chce mi przejść przez gardło. – Ona nie wie, że ja wiem. Najpierw muszę porozmawiać z Adamem.

– Dlaczego z tym zwlekasz? Przepraszam cię, ale kiedy zapytałem Josha, czy Rob i Jess przyjdą dziś wieczorem, a on potwierdził, nie mogłem w to uwierzyć. Pomyślałem, że żadne z was nie wie, zwłaszcza gdy zobaczyłem, że Adam nic do Roba nie ma. Ale potem się przekonałem, że z tobą jest inaczej. Cieszę się, że Josh nie zna prawdy, bo chyba zabiłby Roba. Nawet ja mam ochotę go załatwić.

– Adam też by tak zareagował... dlatego boję się mu powiedzieć. Chodzi mi także o Marnie. Będzie wstrząśnięty. Zawsze stawiał ją na piedestale.

Max kręci głową.

– Nie mieści mi się w głowie, że jest taka głupia. Wybacz – rzuca w poczuciu winy.

– Ja też jestem na nią wściekła.

– Ale powiesz Adamowi?

– Tak, po przyjęciu. Chciałam, żebyśmy wszyscy spotkali się w naszym gronie ostatni raz. – Kiwa głową, ale nie jestem pewna, czy rozumie. – Boję się, co się z nami stanie –

ciągnę, robiąc krok w stronę drzwi. – Lepiej tam wróć. I dzięki, Max, że mnie powstrzymałeś, bo dałabym Robowi w twarz. Zrobię to kiedyś... ale moje przyjęcie urodzinowe to nie jest odpowiednia pora ani miejsce.

Wychodzimy na zewnątrz. Widzę, że Adam stoi przy bocznej furtce, rozmawia z jakąś starszą kobietą. Mam nadzieję, że nie przyszła poskarżyć się na hałas. Wrzuciłam do skrzynek na listy u sąsiadów kartki, uprzedzając, że do drugiej w nocy będzie u nas muzyka. Adam wygląda, jakby potrzebował pomocy, więc do niego podchodzę.

– Adamie? – pytam. – Czy wszystko w porządku?

Adam

Wracam do Patricii, którą zostawiłem przy furtce, gdy poszedłem szukać Livii.

Przypomniał sobie, że przed kilkoma minutami widział ją wchodzącą do domu z Maxem, wstąpił do środka i usłyszał, jak rozmawiają w jadalni. Już miałem otworzyć drzwi, gdy usłyszałem swoje imię, Max pytał: „Ale powiesz Adamowi?”. I zamiast wejść do środka, stanąłem i zacząłem podsłuchiwać, aż w końcu Livia uznała, że musi wracać do gości.

Teraz żałuję, że tam nie wszedłem, bo intryguje mnie, co Livia ma mi powiedzieć. Wspomniała coś, że to ostatnie spotkanie w naszym gronie, ale przecież nie wie o Marnie, nie może wiedzieć, nigdy nie postąpiłaby jak ja. Tak mi to ciąży, że z trudem oddycham. Chciałbym być sam, pójść na górę i ukryć się przed wszystkimi. Ale matka Livii patrzy na mnie wyczekująco.

– Była w jakimś towarzystwie – mówię. – Nie chciałem jej przeszkadzać. Ale za chwilę przyjdzie.

– Dziękuję ci.

Jak mam uprzedzić Livię, że jest tu jej matka, zanim przyjdzie i ją zobaczy?

– Adamie? – Odwracam się szybko na dźwięk jej głosu za sobą. – Czy wszystko w porządku?

Szybko przesuвам się na bok, żeby zasłonić Patricię. Pragnę przygotować Livię na to spotkanie.

– Ktoś chce się z tobą zobaczyć – mówię niepewnie.

Gwałtownie blednie, bo najwyraźniej się domyśliła, może po napięciu na mojej twarzy, kogo mam na myśli.

Wygląda na to, że żadne z nas dwojga nie może się ruszyć, więc matka Livii wychodzi zza moich pleców.

– Witaj, Livio. – I gdy spogląda na córkę, której nie widziała od dwudziestu trzech lat, do oczu napływają jej łzy.

Przez chwilę Livia tylko na nią patrzy.

– Mama? – Robi krok w jej stronę, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi, i musiała lepiej się przyjrzeć. Wydaje się taka zdezorientowana, że mam ochotę wziąć ją w ramiona. – To naprawdę ty?

Patricia unosi rękę i mimowolnie dotyka jej włosów.

– Tak. Pomyślałam, że przyjadę i złożę ci życzenia urodzinowe – mówi, próbując się uśmiechnąć.

Livia zerka za nią.

– Czy tata też tu jest?

Odwracam się do stołu, pod którym stoi przygotowane dla Marnie pudło, i wysuwam dwa krzesła; siedzieliśmy na nich, gdy piliśmy szampana od Kirin.

– Może usiądziecie? – proponuję. Powoli podchodzą, nie odrywając od siebie wzroku. – Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebowała – mówię do Livii i ją całuję. – Będę w pobliżu.

U szczytu schodów wpadam na mamę, która bez słowa prowadzi mnie do miejsca, gdzie z Jess, Robem, Nelsonem i Kirin siedzą Izzy i Ian.

– Siadaj – nakazuje i popycha mnie na krzesło. – Przyniosę ci coś do jedzenia.

Bezwolnie zajmuję miejsce przy stole. Składam łokcie na blacie i opieram głowę na rękach.

– Wszystko w porządku, Adamie? – pyta Jess.

– Przyjechała matka Livii – mówię, z wysiłkiem podnosząc wzrok.

– Jak to? – Kirin niemal rozlewa wodę.

– Ojej, a Livia dobrze się czuje? – pyta z troską Jess.

Nelson podaje mi kieliszek wina. Biorę go od niego, niezdarnie ujmując za nóżkę.

– Chyba tak. Zostawiłem je na tarasie.

– Co, z tą starą cholera? – pyta Rob. – Czy to było mądre?

Jestem już taki wykończony, że nie znajduję w sobie energii, aby go zgasić.

– Ona chyba się zmieniła. Zmarł ojciec Livii.

– O nie. Biedna Livia! – Kirin sprawia wrażenie zmartwionej.

– Żadna wielka strata, jeśli chcesz znać moje zdanie – odzywa się znowu Rob. – Zawsze był żalonym draniem.

Mówi tak, jakby go znał, a wiem, że nigdy się z nim nie zetknął. Pociągam łyk wina, a potem wypijam je do końca, jednym haustem. Alkohol w połączeniu ze zmęczeniem tłumi mój lęk, że nigdy więcej nie zobaczę Marnie. Nie mogła lecieć tym samolotem, który się rozbił – mówię sobie, bo pod wpływem wina staję się zuchwalszy. Gdyby coś jej się stało, wyczułbym to.

Kirin i Izzy z ożywieniem rozmawiają o pojawieniu się Patricii. Kiedy matka Livii spytała mnie, czy Marnie już jest, odpowiedziałem, że z powodu opóźnionego lotu nie przyjedzie przed północą. I poprosiłem ją, żeby nie mówiła o tym Livii.

Dużo tego wieczoru nakłamałem. Sięgam po kieliszek i uświadamiam sobie, że jest pusty.

– Adamie, słyszałeś, co powiedziałem?

Spoglądam na Roba po drugiej stronie stołu. Siedzi rozparty na krześle, z nogą założoną na nogę i dłońmi splecionymi na karku.

– Słucham?

– Spytałem, czy uwierzyłbyś, że Aldershot pokona Leeds w trzeciej rundzie Pucharu Anglii?

Nie bardzo dociera do mnie, o czym on mówi.

– Co takiego?

– Daj spokój, Rob, nikt by w to nie uwierzył – odpowiada Nelson.

Tamten natychmiast się jeży.

– Pytałem Adama – mówi. – W każdym razie – dodaje, przywołując znów uśmiech na twarz – Leeds dołożyłoby Aldershot, gdyby sędzia nie był stronniczy. A potem dokopałoby Man United!

Kilka osób się śmieje i czuję się dezorientowany. Nie do wiary, że siedzę tu i słucham, jak inni rozmawiają o piłce nożnej. Muszę się ruszyć. Nie mogę tu zostać.

Odsuwam krzesło, gdy do mojej świadomości przebijają się słowa „katastrofa lotnicza”. Serce na chwilę przestaje mi bić i spoglądam na Roba, bo chyba padły z jego ust. On jednak patrzy na Iana, nie na mnie.

– Mówisz o locie Pyramid Airways? – pyta Ian. – Tak, widziałem w wiadomościach. Straszne.

– Nie czytałam żadnych relacji, to zbyt smutne – włącza się Jess.

– Samolot rozbił się zaraz po starcie z Kairu – wyjaśnia Rob, pochylając się do przodu. – Leciał do Amsterdamu. Miał dwustu czterdziestu ludzi na pokładzie. Wygląda na to, że nikt nie przeżył.

Jess się wzdryga i naciąga szal na ramiona.

– Nienawidzę latania. Dlatego nie chciałam jechać do Hongkongu. Zresztą Rob wcale mnie do tego nie zachęcał.

– Bo uważałem, że lot będzie dla ciebie zbyt męczący – tłumaczy się Rob, kładąc jej rękę na kolanie.

– Ja też bardzo nie lubię latać – odzywa się Izzy. – Za każdym razem, gdy słyszę o takiej katastrofie, przysięgam sobie, że nigdy więcej nie wsiądę do żadnego samolotu. Ale na tym się kończy.

– Zmieńmy temat, dobrze? – proponuje Ian. – To wydaje się nie w porządku, że my tu sobie siedzimy, popijamy i gawędzimy, podczas gdy tylu innych ludzi rozpacza.

– Masz rację... ale życie jest krótkie – odpowiada Rob. – I musi toczyć się dalej. – Podnosi kieliszek. – Na zdrowie!

Rozlega się dźwięk pękającego szkła i czuję ostry ból. Opuszczam wzrok i widzę, że zmiażdżyłem w dłoni kieliszek.

– Adamie! Krew ci leci! – woła Izzy.

Moja ręka nie tylko krwawi, ale także drży w niekontrolowany sposób. Chwytam serwetkę, przyciskam ją do skaleczenia i wstaję.

– Muszę to opatrzyć.

– Iść z tobą?

– Nie, nie, poradzę sobie.

– Adamie? Co się stało?

Unoszę głowę i widzę, że przede mną stoi Livia. Na pokładzie tego samolotu, który się rozbił, mogła być Marnie. To się stało.

– Skaleczył się szkłem – wyjaśnia Izzy. – Nic mu nie jest, tylko musi przemyć dłoń.

Livia ściąga serwetkę z mojej ręki.

– Och – mówi, patrząc na ranę. – Głębokie skaleczenie. Musi boleć.

– A ty dobrze się czujesz, Livio? – pyta Jess.

– Tak, w porządku.

– Adam powiedział, że jest tu twoja matka.

Livia uśmiecha się do niej.

– Była. Właśnie odjechała.

– I co? – rzuca Kirin ostrożnie, niemal jakby się bała zapytać.

Livia niepewnie wciąga powietrze.

– Nic. Chyba dobrze.

– Więc ręka na zgodę – komentuje Ian, kiwając głową.

– Zobaczymy. – Livia zwraca się do mnie: – Chodź, obejrzę tę twoją rękę.

Idę za nią w stronę murku. Siadamy na nim obok siebie, a wtedy ujmuje moją dłoń. Gdyby przed nami nie stało tylu ludzi, widzielibyśmy z tego miejsca zdjęcie Marnie.

Delikatny dotyk jej palców i przenikliwy fizyczny ból, gdy bada ranę, sprawiają, że wszystko inne znika, nie ma Marnie, gości, hałasu, przyjęcia, jesteśmy tylko my, ja i Livia.

– Powinno samo się zagoić – mówi, oglądając serwetkę i przykładając czysty jej fragment do skaleczenia, a następnie zamykając na niej moją dłoń. – Ale trzeba to zdezynfekować. – Przytyka mi rękę do policzka. – Dobrze się czujesz?

– Zapomniałem się ogolić, przepraszam.

– Nie ma za co, podobasz mi się właśnie taki.

– A ty, masz się dobrze? Po spotkaniu z matką?

Powoli kiwa głową na potwierdzenie.

– Powiedziała, że do niej napisałeś.

– Myślałem, że słusznie postępuję... ale teraz nie jestem tego taki pewny.

– Dobrze zrobiłeś. Dziękuję ci. – Zbliży się i mnie całuje.

– A twój ojciec?

– Cieszę się, że umarł – wyznaje stanowczo. – Wiem, że nie powinnam tak mówić, ale cóż. Gdyby żył, mama nie mogłaby dziś do nas przyjechać. Wspomniała, że nie było jej z nim łatwo. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest przez niego zdominowana. Chyba byłam zbyt młoda, żeby to dostrzec. Wydawało mi się, że taki układ jej odpowiada, bo nie musi podejmować żadnych decyzji, ale chyba nie miała wyboru.

– Cieszę się, że jesteś zadowolona z jej przyjazdu. Ale uważaj, dobrze?

– Nie martw się, nie rzucę się jej w ramiona ani nic takiego. Musimy posuwać się powoli, krok po kroku. Chciałaby jednak, zanim jutro wieczorem wróci do domu, poznać Josha. – Odwraca się do mnie. – Zatrzymała się u Graingerów. Pamiętasz ich? To Irene ją dziś przywiozła. Mama powiedziała, że mało brakowało, a by nie przyjechała, straciła odwagę, ale Irene ją przekonała, mówiła jej, że potem by żałowała, gdyby tego nie zrobiła. Czekala na nią w samochodzie, dlatego mama nie mogła zostać dłużej. Nie masz nic przeciwko temu, żeby przyszła do nas jutro po południu, tylko na godzinę?

– Jasne, że nie – odpowiadam. Staram się zachować w pamięci wyobrażenie matki Livii siedzącej jutro na kanapie z Joshem i Marnie po obu stronach. Bardzo chciałbym uwierzyć, że tak będzie. – Więc jesteś szczęśliwa? – ciągnę. Muszę to od niej usłyszeć, bo jeżeli jest szczęśliwa, będę mógł żyć ze świadomością podjętej decyzji, żeby nic jej nie mówić o Marnie.

– Aż śmiesznie szczęśliwa – odpowiada i uśmiecha się do mnie, a oczy jej błyszczą od wstrzymywanych łez. Przykłada mi dłoń do policzka. – To dla mnie nowy początek, Adamie. Dziękuję, że mi go umożliwiłeś.

Te słowa ranią mnie jak nóż.

– A wy, papużki nierozłączki, będziecie tu siedzieć do rana?! – woła ktoś. – Nie zamierzacie bawić gości? Adamie, mama przyniosła ci jedzenie, chodź!

Livia tężeje na tę niezręczną ingerencję Roba.

– Lepiej wracajmy na przyjęcie.

Kiwam głową.

– Ty idź i posiedź z Jess i pozostałymi, a ja opatrzę sobie rękę.

– Nie! – mówi tak stanowczo, że aż się wzdrygam. Uśmiecha się do mnie słabo. – Raczej pójde porozmawiać z sąsiadami.

Chce odejść, ale zatrzymuję ją i przyciągam do siebie.

– Czy dzisiejszy wieczór spełnił twoje oczekiwania?

– O tak, jest jeszcze wspanialszy, niż sobie wyobrażałam – odpowiada. Przytula się do mnie i opiera głowę na mojej piersi. – Szkoda tylko, że nie ma Marnie.

Marnie. Robi mi się dziwnie słabo i gdybym nie był podtrzymywany przez Livię, tobym upadł. Ale znowu pobudza mnie adrenalina.

– Wiem, że można odnieść inne wrażenie – mówi. – Ale czasami coś dzieje się z jakiegoś powodu.

Czy to, że Josh nie jedzie do Nowego Jorku, też z czegoś wynika? Jakoś damy sobie radę bez Marnie, bo będziemy mieć Josha tutaj, a nie na innym kontynencie?

– Na przykład pojawienie się mamy – ciągnie Livia. – Przyjechała, bo tata zmarł, i poczuła, że już jej wolno, wiem to, ale dlaczego on zmarł akurat teraz, a nie przed laty, kiedy mogła poznać Josha i Marnie jako dzieci? Musi być jakiś powód tego, że zjawiała się akurat w tym czasie, w tym konkretnym momencie, gdy jest już za późno, żeby nawiązać

z nimi jakąś relację. – Milknie na chwilę. – A przy okazji... chce się tu z powrotem przeprowadzić.

Czy to los sprawił, że matka Livii pojawiła się właśnie tego wieczoru? Nie stawiam krzyżyka na Marnie, nigdy bym tego nie zrobił. Ale to jakaś pociecha, że gdyby stało się najgorsze – gdyby Marnie jednak nie wróciła do domu – Livia będzie miała w pobliżu matkę.

Livia

– Wspaniałe przyjęcie, Livio – mówi Nelson. Uśmiecha się do mnie z za swojej krzaczastej brody. Jednocześnie przygląda mi się badawczo. – To musi być dziwne uczucie spotkać matkę po tylu latach.

– O tak, zwłaszcza że na początku jej nie poznałam. Ale cieszę się, że przyjechała. To wszystko była wina mojego ojca, rozumiesz, matka nie miała innego wyjścia, jak tylko mu się podporządkować. To okropne, ale jego śmierć była dla niej wyzwoleniem. Nie twierdzę, że teraz będzie łatwo, ale jej pojawienie się to jak wisienka na torcie, jakim jest ten cudowny, cudowny wieczór. – A potem mi się przypomina. – A przy okazji... gratulacje. To wspaniała wiadomość!

– Tak... ale wciąż jeszcze się z nią nie oswoiłem. – Przez jego twarz przebiega cień. – Livio, czy z Adamem wszystko dobrze?

– Tak, ma tylko migrenę. A co?

– Bo jakoś nie nabijał się ze mnie, że zostanę ojcem pięciorga dzieci.

– Spokojna głowa, na pewno sobie tego nie daruje – odpowiadam ze śmiechem. Coś za mną przykuwa jego uwagę, więc się odwracam i widzę, że spogląda na Jess.

– Jak oceniasz jej stan? – pyta. – Nie widziałyście się przez kilka tygodni... zauważyłaś w niej jakieś zmiany, kiedy pojechałyście dziś razem na lunch?

– Stała się taka krucha – odpowiadam. – Bardziej chwieje się na nogach niż dawniej.

Powoli kiwa głową.

– Wydaje mi się, że jej choroba szybko postępuje, Kirin też tak uważa, ale kiedy próbowałem porozmawiać o tym z Robem, zaprzeczył, twierdzi, że się mylę. Myślę, że nie chce pogodzić się z prawdą.

A ja myślę, że jest zdradzieckim draniem – wściekam się w duchu.

– Powiedział nawet, że z każdym dniem staje się coraz bardziej samodzielna i doskonale radzi sobie w pojedynkę. To mnie trochę niepokoi. Nawet nie trochę, chociaż nie wiem dlaczego.

Po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Proszę, proszę, tylko żebym się myliła: żeby Rob nie zamierzał odejść od Jess i związać się z Marnie.

– Mówi naprawdę dziwne rzeczy – ciągnie Nelson. – Może szefowie chcą go nadal wysyłać w delegacje i próbuje sam siebie przekonać, że Jess nie potrzebuje jego pomocy.

Nie, on nas przygotowuje – uświadamiam sobie. Przygotowuje nas, aby – gdy faktycznie porzuci Jess – mógł powiedzieć, że jego zdaniem da sobie radę sama.

– Martwię się o niego – kończy Nelson. – Przepraszam, Livio, nie powinienem obarczać cię tym, a już na pewno nie dzisiaj.

– Nic się nie stało. Cieszę się, że jesteśmy tu wszyscy. – Bo może to ostatni raz, mam ochotę dodać i przez jedną szaloną chwilę kusi mnie, żeby powiedzieć Nelsonowi, co zrobił Rob i co, jak się obawiam, jeszcze może zrobić.

– Oprócz Marnie – zauważa.

– Tak, oprócz Marnie.

Ale nie mogę mu się zwierzyć, dopóki nie porozmawiam z Adamem. Na razie wystarczy, że Max wie, wystarczy, że ktoś czuje taki sam niesmak jak ja. To dobijające – uzyskać potwierdzenie, że Rob w grudniu rzeczywiście był w Hongkongu, u Marnie, a nie w Singapurze. Liczyłam, że jestem w błędzie, miałam nadzieję, że nie okłamał ani Jess, ani nas co do tej podróży służbowej i nie nawiązał znowu romansu z Marnie. Dlaczego nie mógł zostawić jej w spokoju?

Ścisła mnie za ramię.

– Pogadamy później.

Gdy odchodzi, próbuję sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby Marnie nie poroniła i donosiła ciążę. Rozumiem już, dlaczego nie chciała, aby Josh dowiedział się o stracie dziecka. Mógłby podzielić się tą wiadomością z Maxem, a ponieważ Max widział ją z Robem w Durham, domyśliłby się, kto jest ojcem. Miał wątpliwości, czy powiedzieć o ich romansie mnie i Adamowi, ale gdyby wiedział, że w grę wchodzi dziecko, pewnie by się nie wahał tego zrobić.

Znowu trochę rozumiem swoich rodziców – czy raczej ojca, bo gdyby nie on, może mama pogodziłaby się z tym, że zaszłam w ciążę. Dla niego to musiało być najgorszym nieszczęściem, jakie może się przydarzyć, końcem świata. Różnica między nami polega na tym, że ja boję się o tych, których kocham, on natomiast bał się o siebie, o to, jak wypadnie w oczach innych.

– Livvy? – Podnoszę wzrok i widzę Mike’a, z troską marszczy czoło i pochyla się nade mną. Podoba mi się, że przyszedł dziś w marynarce i muszce, choć jedną i drugą już zdjął. – Dobrze się czujesz?

– Nigdy nie czułam się lepiej – zapewniam go, odsuwając od siebie myśli o Marnie i Robie. Podchodzi Jeannie i obejmują ich oboje. – Wiecie, że moja matka przyjechała?

– Tak, słyszeliśmy – odpowiada Jeannie. – Tak się cieszymy ze względu na ciebie, Livvy.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę liczyłam... że moi rodzice się pojawią. Gdyby tak się nie stało, musiałabym porzucić nadzieję, że kiedykolwiek się pogodzimy. A tak moje marzenie się spełniło i to cudowne uczucie. – Wstaję i całuję ich w policzki, najpierw Jeannie, potem Mike’a. – Szczęściara ze mnie, że mam was oboje. Nie wiem, co bym przez te wszystkie lata bez was zrobiła. Zastępujecie mi rodziców.

– Zawsze możesz na nas liczyć, wiesz o tym – zapewnia mnie Mike.

– Tak, i kocham was tym bardziej. Czy Josh wam powiedział, że postanowił nie jechać do Nowego Jorku?

– Tak. Adam chyba musiał być zawiedziony. Kiedy zadzwonił do nas dziś po południu, wiedziałem, że coś go trapi.

– To musiało być coś innego, bo Josh przyznał mi się dopiero wieczorem – odpowiadam zdziwiona. – Powiedział, po co dzwoni?

– Nie, właściwie nie. Miałem wrażenie, że jest zagubiony.

– Może z powodu tego przyjęcia – mówię z żalem. – Bardziej się nim denerwował niż ja. Wie, ile ono dla mnie znaczy, i może to go przytłacza. Poza tym – ściszam głos – ma jakiś problem z prezentem dla mnie. Josh mnie uprzedził, że bym nie była rozczarowana. Choć i tak będę.

Mike kiwa głową.

– Pewnie o to chodzi. Znasz Adama, będzie bardzo niezadowolony, jeśli coś pójdzie choć odrobinę nie tak. O, piosenka, którą wybrałem – mówi, gdy rozlega się *Uptown Girl*. Podaje ramię Jeannie. – Mogę prosić panią do tańca?

Mike i Jeannie są bardzo lubiani i gdy wszyscy zbierają się wokół nich, żeby patrzeć, jak tańczą, korzystam z chwili samotności. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mama przyjechała. Dziwnie było ją zobaczyć, bo uświadamiam sobie, że zawsze, gdy myślałam o naszym pojednaniu, wyobrażałam ją sobie taką, jaką miałam w pamięci: z włosami ściągniętymi w kok, bez uśmiechu, z ojcem tuż obok – zarówno dosłownie, jak i w przenośni. I na pewno nie starszą. Ale o dziwo, teraz sprawia wrażenie młodszej, może ze względu na nową fryzurę. Powiedziała mi, że obcięła włosy dzień po pogrzebie ojca, ponieważ gdy patrzyła, jak trumna z jego ciałem znika w ziemi, zdała sobie sprawę, że jest wolna i że może robić, co chce, nie musi uzyskać jego zgody. Chociaż go kochała, poczuła, że z barków spada jej wielki ciężar.

Mnie także ulżyło. Nie tylko dlatego, że moje pragnienie pogodzenia się z rodzicami – tak silne, że aż bolesne – wreszcie zostało spełnione. Ale także z innego powodu – bo niedługo, już za kilka godzin, uwolnię się od towarzyszącej mi od bardzo dawna innej obsesji, jaką było to przyjęcie. Może nie myślałam o nim codziennie przez te dwadzieścia lat, ale na pewno raz na tydzień. Jeśli widziałam w sklepie jakąś piękną sukienkę, zastanawiałam się, czy mogłabym włożyć ją na swoje przyjęcie. Jeżeli jadłam jakieś pyszne danie, myślałam, czyby go nie podać. Jeżeli trafiłam na pomysły ciekawych dekoracji w jakimś czasopiśmie, miałam ochotę je wykorzystać. Nie mogłam uwolnić się od jego wyobrażenia. Zawsze miałam je w głowie, niekoniecznie w negatywnym sensie, ale niewątpliwie za bardzo mnie absorbowowało. I teraz, kiedy wreszcie to przyjęcie zorganizowałam, kiedy – niezależnie od Roba – spełniłam swoje marzenie, w głębi duszy nie mogę doczekać się jutrzejszego wieczoru, gdy namiot zostanie złożony, ostatnie danie zjedzone i wszyscy się pożegnają. I zostaniemy tylko ja i Adam.

Adam

Nie mogę tkwić w łazience w nieskończoność. I tak jestem tu już za długo, stoję przy umywalce, patrzę, jak krew sączy się z rany na dłoni, i nic nie czuję. Rytm muzyki na dworze odpowiada bolesnemu pulsowaniu w mojej głowie. Jestem już na skraju wytrzymałości, tak że mam ochotę wyjść do ogrodu i wszystkich wyrzucić. Żeby nad sobą zapanować, wyobrażam sobie konsternację, jaka by nastąpiła – każdy patrzyłby na mnie z przerażeniem, Livia, mój tata, Josh i Nelson próbowaliby mnie uspokoić, przestraszeni, że przeżywam jakieś załamanie, pytaliby, co się stało.

Czy zdołam zachować to dla siebie – że Marnie mogła lecieć tym samolotem, który się rozbił? Czy głośno dam wyraz bólu i złości, zacznę krzyczeć, że ich wszystkich nienawidzę, bo żyją, a Marnie może już nie? Byliby przerażeni, wstrząśnięci. I nikt by nie zrozumiał, nie miałby pojęcia, dlaczego pozwoliłem, żeby to przyjęcie się odbyło.

Słyszę kroki na schodach. Idzie Josh.

– Tato?! Gdzie jesteś?

Zaciskam rękę i czuję ciepłą krew.

– Opatruję skaleczenie!

Jego głos dochodzi tuż zza drzwi.

– Szukałem cię wszędzie.

– Zaraz wyjdę.

– Za dwie minuty?

– Tak, za dwie minuty.

– Dobra. Bo jesteś potrzebny.

Schodzi, jego kroki na schodach cichną. Uprzytamniam sobie, że nie pomyślałem o nim: jak utrata Marnie wpłynie na niego. Ale nie mogę w tej chwili się nad tym zastanawiać. Zresztą jest jeszcze nadzieja. W każdym razie muszę w to wierzyć.

Opłukuję wodą twarz i schodzę, starając się nie patrzeć na drzwi pokoju Marnie. Jestem już w połowie drogi na dół, gdy muzyka urywa się w trakcie piosenki i zapada dziwna cisza. Słysząc szmer głosów, od czasu do czasu jakiś wybuch śmiechu, okrzyk. Ten szmer staje się głośniejszy, jakby w oczekiwaniu na coś, pewnie przemówienie Livii. I wtedy nagle, ni stąd, ni zowąd, dochodzi do mnie: „Jestem, mammo!”.

Świat się zatrzymuje. Słyszę dziwne rzeczy, to muszą być omamy słuchowe. Ale potem Livia wydaje okrzyk radości, pozostali się śmieją i wiwatują, więc przebiegam przez kuchnię, wypadam na taras i pędzę po schodkach na trawnik, starając się zobaczyć nad ramionami zebranych Livię – w tłumie miga mi jej sukienka. Słyszę głos Marnie, opowiadającej z podnieceniem, jak przy pomocy Josha sprawiła tę niespodziankę. Przepycham się wśród gości, nikt z nich nie zwraca na mnie uwagi, wszyscy się śmieją, skupieni na tym, co się dzieje. I wreszcie, wreszcie wydostaję się z tłumu, roztrącając Nelsona i Roba.

– Uważaj! – mówi do mnie Rob.

– Zejdź na bok, on chce zobaczyć swoją córkę – karci go Nelson, a ja gorączkowo rozglądam się za Marnie, słyszę ją, ale widzę tylko Livię, jest taka uszczęśliwiona, że patrzy na naszą córkę. Podążam za jej wzrokiem, aż w końcu widzę, na co spogląda. I znowu ogarnia mnie tamta straszna słabość, którą czułem już wcześniej. Wspieram się na Nelsonie, a on, nie odrywając wzroku od należącego do Josha laptopa, na którego ekranie Marnie mówi Livii, że nie może się doczekać powrotu do domu, otacza mnie ramieniem.

– Wspaniale, co? Spójrz tylko na minę Livii! To dla niej dopełnienie wieczoru. Czy Marnie nie wygląda świetnie?! – Zwraca się do mnie. – Wiedziałaś o tym?

Ja jednak tylko patrzę na Marnie z ekranu, to koszmar, że ją widzę, ale nie mogę jej objąć. Że jest tu, ale jej nie ma. Nelson, który dostrzega, że nie mogę wydobyć z siebie głosu, ściska mnie serdecznie.

– Wkrótce przyjedzie – mówi. – Niebawem będzie w domu.

– Tato, gdzie jesteś?! A, tutaj! – woła Marnie, udaje, że mnie widzi, i wszyscy się śmieją. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę i ciebie. Ale już niedługo, jeszcze tylko kilka tygodni. I kto wie, może będziemy oglądać to razem – dodaje, uśmiechając się tylko do mnie. To konspiracyjny uśmiech, bo jedynie ja rozumiem ukryte znaczenie ostatniego zdania, wszyscy pozostali, niczego się nie domyślając, machają do niej na pożegnanie, gdy znika z ekranu.

Podchodzi do mnie Livia, jest zarumieniona, oczy jej błyszczą od łez, które powstrzymuje.

– Czy to nie było urocze? Ty to zorganizowałaś?

– Nie, ja – odzywa się Josh. Dołącza do nas, z zamkniętym laptopem pod pachą, od którego wciąż nie mogę oderwać wzroku. – Chciałem, żeby Marnie skontaktowała się z nami na FaceTimie w czasie rzeczywistym, ale gdy powiedziała, że to może być trudne, bo wyjeżdża, poprosiłem, żeby na wszelki wypadek nagrała film i wysłała mi. Umówiliśmy się, że jeśli nie odezwie się do wpół do dwunastej, odtworzę go. Ale możliwe, że jeszcze połączy się z nami na FaceTimie.

Nie, nie połączy się – uświadamiam sobie i gdy wreszcie przyjmuję do wiadomości to, co tak od siebie odsuwałem, ogarnia mnie przenikliwy ból. Marnie nigdy już nie skontaktuje się z nami za pośrednictwem FaceTime'a. Zgodziła się nagrać to wideo tylko po

to, aby Josh się nie zorientował, co razem zaplanowaliśmy. Nie sądziła, że zostanie wyświetlone, bo przecież już miała być na miejscu. Bo wszystko miało potoczyć się inaczej.

Dźwięki są zbyt głośne, kolory – balony, stroje, światła – zbyt jaskrawe. Wszystko rozmywa mi się przed oczami. Nie mogę się poruszyć. Nie mogę się odezwać. Livia ściska stojącego obok Josha i miękki materiał jej sukni muska moją rękę. Widzę naszą rodzinę, naszych przyjaciół, jak w grupkach śmieją się i popijają drinki. A ja się czuję, jakby mnie tam nie było.

Livia

Gdy wszyscy stoją jeszcze zebrani na trawniku po obejrzeniu nagranych przez Marnie filmu, uświadamiam sobie, że to dobry moment, aby podziękować im za przyjście. Adam też tu jest, więc będę mogła dać mu prezent, zanim znowu zniknie. Nie wiem, co się z nim dzieje, ale na pewno nic dobrego. Wcześniej, gdy go objęłam, była taka chwila, gdy wsparł się na mnie, jakby opuściły go siły. W poniedziałek z samego rana umówię go na wizytę do lekarza.

Mimo tego, co Marnie narobiła, cudownie było zobaczyć ją na ekranie. Rozmawiałam z Izzy, gdy Josh nastawiał wideo, więc gdy z tak bliska usłyszałam: „Jestem, mamo!”, pomyślałam, że naprawdę przyleciała i zrobiła mi niespodziankę. Wszystkie złe uczucia – cały gniew, który do niej czułam – zniknęły i pragnęłam jedynie objąć ją i przytulić. Nigdy bym tego Joshowi nie powiedziała, ale kiedy się zorientowałam, że to tylko film, łzy, które napłynęły mi do oczu, były częściowo wyrazem rozczarowania. Adam chyba zareagował tak samo, bo kiedy wypadł z tłumu, niemal czułam jego konsternację i żałowałam, że go nie uprzedziłam i nie oszczędziłam mu zawodu. Nie mogłam jednak oderwać wzroku od Marnie.

Kiedy wideo się skończyło i wszyscy wesoło klaskali, mój wzrok padł na Roba – i widząc zaborczy wyraz jego twarzy po tym, jak Marnie z ekranu pomachała na pożegnanie, znowu poczułam wściekłość. Wtedy jednak zobaczyłam Adama, był tak zrozpaczony, wręcz zdruzgotany, że w jednej chwili zapomniałam o podłości Roba.

Przede mną stają Kirin i Izzy z naręczami prezentów.

– Pora je otworzyć! – woła Izzy.

I zanim się orientuję, co się dzieje, prowadzi mnie do jednego ze stołów, z którego sprzątnięto nakrycia.

Josh wyłącza muzykę i zabieram się do otwierania podarunków. Większość przyjaciół rzuciła się na piękny złoty naszyjnik, a rodzice Adama kupili kolczyki do kompletu. Dostaję także cudowne olejki i płyny do kąpieli, czekoladki, książkę kucharską, płócienną torbę na plażę, skórzany portfel, a od Joshua kunsztowną srebrną bransoletkę, w której się od razu zakochuję. Podziękowawszy każdemu z osobna, jestem taka wzruszona, że nie wiem, czy zdołam cokolwiek powiedzieć, zwłaszcza że nie napisałam sobie nawet krótkiej mowy. Udaje mi się jednak wyrazić wszystko, co zamierzałam, a kiedy kończę, biorę Adama za rękę – plaster na jego dłoni przypomina mi, żebym jej nie ścisnęła.

– Wspaniale jest również to, że jutro rano pragnienie przeżycia tego szczególnego wieczoru, który miał zastąpić mi wyśnione wesele, w końcu zniknie. Bo dzięki wam wszystkim mogło się spełnić. Najbardziej jednak chcę podziękować Adamowi. Nigdy mi nie powiedział, żebym zapomniała o tym swoim marzeniu, nie przekonywał mnie, że jest nierealne, głupie, egoistyczne czy nierozsądne, nic takiego. Zawsze mnie zachęcał, żebym je zrealizowała, wspierał mnie przy tym i motywował. – Zwracam się ku niemu. – Tyle mi dałeś, więc teraz ja ci coś dam. – Podchodzę do jednej z wielkich donic i wyjmuję dużą brązową kopertę, którą wcześniej tam ukryłam. – To dla ciebie, z wyrazami miłości.

Gdy Adam ją bierze, widzę w jego oczach przelotną panikę i mam straszne wyrzuty sumienia. Wiedziałam, że wolałby nie otwierać jej przy wszystkich, ale zmusiłam go do tego, bo chciałam udowodnić zebrany tu krewnym i przyjacielom, że nie jestem taką zupełną egoistką, że pomyślałam również o Adamie i że to przyjęcie jest także dla niego. Ale nie jest – nagle sobie uzmysławiam. To, że mi w ogóle na tym zależy, dowodzi, że w gruncie rzeczy myślę tylko o sobie, jak wypadnę.

– Możesz zajrzeć do niej później, kiedy wszyscy już pójdą – usiłuję ratować sytuację. Ale jest za późno. Wśród oklasków i wiwatów rozlega się wołanie, żeby Adam otworzył kopertę. Pada kilka domysłów, co w niej może być, łącznie z prenumeratą „Playboya”, sugestia z ust Roba, i biletem na cały sezon występów Manchester United – sugestia z ust Nelsona. Adam maskuje skrępowanie, uśmiecha się łagodnie i całuje mnie.

– Dziękuję ci – mówi.

Nie spieszy się z otwarciem koperty, nie jestem pewna, czy dlatego, że chce przedłużyć oczekiwanie, czy obawia się, co znajdzie w środku. Nie jestem jednak zaniepokojona. Wiem, że prezent jest trafiony.

– Czy to skok na spadochronie? – pyta ktoś.

– Może przejażdżka ferrari? – podsuwa Mike.

Obserwuję twarz Adama, gdy wyjmuje zdjęcie wiaduktu Millau.

– No, co to takiego? – chce wiedzieć Rob.

Adam chrząka.

– Chyba moja niesamowita żona umożliwiła mi obejrzenie czegoś, co zawsze chciałem zobaczyć – wyjaśnia, a ja oddycham z ulgą. Podnosi fotos. – Wiadukt Millau na południu Francji.

Większość zgromadzonych nie rozumie, jakie to ma znaczenie, więc Nelson zaczyna im tłumaczyć.

– W kopercie jest coś jeszcze – zwracam Adamowi uwagę, bo chcę, aby wiedział, że ta podróż została już opłacona, że naprawdę jedziemy, że to nie jedna z tych mglistych obietnic, która z rozmaitych powodów nigdy nie zostanie spełniona. Z pytającym wzrokiem wyjmuję folder z biletami i stojąc nieruchomo, tylko na niego patrzy. Serce zamiera mi w piersi, bo jego wyraz twarzy mówi mi, że wolałby nie zaglądać do środka, w razie gdyby miał zobaczyć coś, czego nie chce.

– No dalej, stary, kiedy jedziesz?! – woła Rob. – Może nam powiesz!

Adam uświadamia sobie, że nie zachowuje się tak, jak powinien, i uśmiecha się szybko.

– Staram się zwiększyć napięcie! – odpowiada, ale widzę, że ten żartobliwy ton dużo go kosztuje. Mam ochotę się odwrócić i głośno powiedzieć Robowi, żeby zostawił Adama w spokoju, a wszystkim innym, że cyrk się skończył, bo z jakiegoś powodu cała ta historia z prezentem jest dla mojego męża za trudna.

Adam otwiera folder i wyjmuje bilety.

– Wtorek. – Tylko ja słyszę w jego głosie drżenie. – We wtorek! – powtarza głośniej. – Wyjeżdżamy we wtorek.

– Na jak długo?

Adam liczy powoli.

– Na cztery dni! Wracamy w sobotę. – I wszyscy wydają okrzyki radości i uznania.

– Wszystko dobrze, prawda? – pytam Adama, gdy znowu rozbrzmiewa muzyka i goście zaczynają rozchodzić się po ogrodzie.

Otacza mnie ramieniem.

– Wspaniale – odpowiada i przyciąga mnie do siebie.

– Pomyślałam, że sprawiałeś wrażenie... może nie rozczarowanego, ale... sama nie wiem...

– Nie, bardzo się cieszę – zapewnia. – Byłem tylko zaskoczony, że pamiętałaś, jak bardzo chciałem zobaczyć ten wiadukt. I nie spodziewałem się, że coś od ciebie dostanę. Prawdę mówiąc, byłem tym trochę zbity z tropu.

Odsuwam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Na pewno?

– Tak – potwierdza. – Bardzo ci dziękuję, już nie mogę się doczekać tego wyjazdu.

– Cudownie, że Josh i Marnie zrobili nam niespodziankę tym filmem.

– Tak.

– Przez chwilę myślałam, że ona naprawdę tu jest... gdy usłyszałam jej pierwsze słowa. Ty też, prawda?

– O tak – mówi. – Tak.

Kątem oka widzę, że Rob gawędzi z dwiema moimi koleżankami z pracy. Trudno mi opanować niechęć do niego, ale gdy tak patrzę na niego z boku i oceniam go obiektywnie – jak nigdy wcześniej – rozumiem, dlaczego podoba się kobietom. Nie pojmuję natomiast, jak Marnie mogła się w nim zakochać, wiedząc, co Adam o nim myśli. Często mu dokuczała, zarzucając, że nie przepada za Robem, bo ten jest od niego przystojniejszy. Uwielbia ojca – a jednak wdała się w romans, który musi złamać mu serce. Co będzie, jeśli Adam nie zaakceptuje Roba jako partnera Marnie, a tak na pewno się stanie?

Nagle czuję, że wiedząc to wszystko, co wiem, nie wytrzymam w pobliżu Adama. Puszczam jego rękę.

– Pójdę do Jess – mówię, chociaż przy niej nie będzie mi łatwiej niż przy nim. – Do zobaczenia później.

Podchodzę do Jess, siedzącej z nieobecny wzrokiem.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

Wraca do rzeczywistości.

– Tak, nic mi nie jest. Ale Cleo jest jakaś smutna. – Rozgląda się wokół. – Widziałaś może Roba?

– Tak, jest tam. Zaprowadzić cię do niego?

– Jeśli byłąbys taka miła.

– Oczywiście.

Więc biorę ją pod rękę i idę z nią w stronę Roba, który czaruje moje koleżanki.

Niedziela, 9 czerwca

Godzina 0.00–1.00

Adam

Nawet nie mogę opisać tego koszmaru, który przeżyłem w ostatniej godzinie. Najpierw to wideo z udziałem Marnie, a potem prezent od Livii. Kiedy wyjąłem z folderu zdjęcie wiaduktu Millau, trudno mi było udawać radość, bo myślałem tylko o tym, że jeśli gdzieś polecimy, to do Kairu.

Tu, gdzie stoję, w cieniu namiotu, panuje mrok. Nocne niebo wydaje się niemal czarne, ale ogród jest rozświetlony, pełen kolorów i ruchu. Ukrywam się tutaj, odkąd udało mi się uciec przed wszystkimi po przemówieniu Livii. Już nie wiem, kim jestem.

Trzymam niebieski folder, który dała mi Liv, ale nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Wygląda identycznie jak ten, który rano dostałem w agencji turystycznej, i przez jedną przerażającą chwilę miałem wrażenie, że jeśli do niego zajrzę, zobaczę bilety lotnicze do Kairu. Ogarnął mnie tak wielki strach, że mój umysł odmówił posłuszeństwa, i nie byłem w stanie zachować się tak, jak powinienem, zareagować zgodnie z oczekiwaniami całej reszty. Dlatego po raz pierwszy byłem wdzięczny Robowi, że przywołał mnie do rzeczywistości i powiedział, co mam zrobić. Ulga, jaką odczułem, widząc, że w środku znajdują się bilety do Montpellier, zniknęła, gdy zdałem sobie sprawę, że są na wtorek. Ściska mnie w żołądku; nie pojedziemy nigdzie indziej, tylko do Kairu.

– Panie Harman?

Przeklinam w duchu.

– Amy. – Nie znam tej dziewczyny za dobrze. Josh kilka razy przyjeżdżał z nią do domu na weekend, ale nie widziałem jej od Wielkanocy. Wiem, że studiuje w Exeter, chyba psychologię. A może antropologię. Sprawia wrażenie miłej i najwyraźniej Josh traktuje ją poważnie. Przypominam sobie, że nie przyjąłem jej zbyt serdecznie, więc zmuszam się do uśmiechu.

– Przepraszam, jeśli zachowałem się nieuprzejmie, gdy przyszłaś. Myślam byłem daleko stąd i nie spodziewałem się ciebie.

– To moja wina, nie powinnam była zjawiać się bez uprzedzenia. Ale chciałam zrobić Joshowi niespodziankę. – Waha się. – Wiem, że powiedział panu o Nowym Jorku. Próbowałam go przekonać, żeby tam jechał, bo szkoda by było, gdyby stracił taką okazję. Ale nie chce mnie słuchać.

- Wszystko w porządku, Amy, naprawdę.
- Nie jest pan zawiedziony?
- Nie, miło będzie mieć was dwoje w pobliżu.

Wspina się na palce i całuje mnie w policzek.

- Dziękuję panu.
- Idę po coś do picia – rzucam. – Tobie też przynieść?
- Nie, wielkie dzięki, Josh już o mnie zadbał.

Obchodzimy razem namiot, a potem, uśmiechnąwszy się do siebie, rozchodzimy się każde w swoją stronę. Wręcz rozsadza mi głowę z wysiłku, żeby mówić co trzeba, być tam, gdzie mnie potrzebują, czy to Livia, Josh, Amy, czy ktokolwiek inny. Trzymam się jakoś tylko dzięki świadomości, że do końca przyjęcia nie pozostało już wiele czasu. Pracownicy cateringu wkrótce powinni wnieść tort; Livia zdmuchnie czterdzieści świeczek, goście zaśpiewają jej *Happy Birthday* i stopniowo – miejmy nadzieję – zaczną się żegnać. Już nie mogę się doczekać, kiedy sobie pójdą... ale wiem, że gdy już ich nie będzie, kiedy zostanę sam z Livią i Joshem, będę chciał przywołać każdego z powrotem, byle tylko nie mówić im dwojgu o Marnie i o tym, jak postąpiłem.

– Adamie!

Tym razem to Nelson.

– Przepraszam cię, nie teraz. – Uśmiecham się z przymusem i go omijam. Udaje mi się dotrzeć bez przeszkód do jadalni, tam stoję przy oknie i wyglądam na ulicę, patrząc niewidzącym wzrokiem. Potem dociera do mnie jakiś odgłos, początkowo tak nikły, że biorę go za wytwór mojej wyobraźni.

Nasłuchuję. Dobiega z góry, jakby ktoś tam był – nie rozmawiał ani się nie ruszał – tylko był. I ogarnia mnie wściekłość, bo nade mną jest pokój Marnie i nikt, nikt nie ma prawa w nim przebywać.

Wybiegam do holu i pokonuję schody tak zły, że gdy stoję pod drzwiami, otwieram je zamasyście, nie dbając o to, kogo mogę zastać w środku.

Na łóżku siedzi Cleo. Zrywa się na nogi i tylko jedno powstrzymuje mnie przed skrzyknięciem jej, że nie jest Marnie, a przebywa w jej pokoju – to, jak na mnie patrzy.

– Adamie, gdzie ona jest? – pyta.

Przytrzymuję się framugi.

– Co masz na myśli?

Waha się, więc z rosnącym przerażeniem wchodzę do pokoju i zamykam za sobą drzwi.

– Nie powinnam o tym wiedzieć – wyznaje. – Ale Marnie powiedziała mi, że przyjeżdża zrobić Livii niespodziankę, bo chciała, abym odebrała ją z lotniska. Zależało jej, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu, a podróż taksówką trwałaby dłużej. Kazała mi obiecać, że nikomu nie pisnę ani słowa, nawet mamie i tacie. I dotrzymałam słowa, naprawdę. – Mówiąc, gestykuluje, jakby nie mogła zapanować nad rękami. – Ale rano dostałam od niej wiadomość, że ponieważ jej lot jest opóźniony, prawdopodobnie spóźni się na samolot

z Kairu. Pisała, żebym po nią nie przyjeżdżała, bo nie wie, kiedy przyleci do Londynu, to będzie zależało, czy znajdą jej inne połączenie. Ja miałam pójść na przyjęcie, a ona wziąć taksówkę z Heathrow. Czekam na nią cały wieczór, a już po północy. Miałaś od niej jakieś wiadomości?

Odchrząkuję.

– Nie, jeszcze nie. – Mam świadomość, że powinienem coś powiedzieć, ale to, że Cleo wie o planowanym przyjeździe Marnie, zupełnie wytrąca mnie z równowagi.

– Chodzi o to, że...

– Tak?

– Właśnie usłyszałam o tej strasznej katastrofie lotniczej i kiedy sprawdziłam, że właśnie tym samolotem miała lecieć Marnie, ucieszyłam się, że na niego nie zdążyła, i pomyślałam, jakie to szczęście, że tamten lot był opóźniony. Ale teraz... – Patrzy na mnie i oczy ma pociemniałe ze strachu. – Nie mogła zdążyć, prawda? Bo chyba skontaktowałyby się z nami, żeby nam powiedzieć, kiedy przyleci?

Nie mogę znieść jej spojrzenia.

– Niekoniecznie. Powiedziała, że da mi znać po przybyciu do Londynu. Możliwe, że leci okrężną trasą.

Powoli kiwa głową.

– Więc się nie denerwujesz?

Nie chcę jej okłamywać, ale mam powiedzieć, że jestem przerażony?

– Trochę.

– Tylko że... bez urazy... wyglądasz okropnie. Wszyscy mówią, że masz migrenę, ale tak się zastanawiałam, rozumiesz, czy nie wiesz czegoś o Marnie.

– Zdecydowanie mam migrenę – odpowiadam, krzywiąc się.

Niepewnie wciąga powietrze.

– Coś mi przyszło do głowy.

– Co takiego?

Wygląda tak, jakby wolała nie mówić.

– Jest numer infolinii, pod który można dzwonić, jeśli ma się podstawy sądzić, że ktoś bliski leciał tym samolotem. Czy nie uważasz, że... należałoby z niego skorzystać?

Kiwam głową.

– Zrobię to, jeśli Marnie nie pojawi się do końca przyjęcia.

– Och – odpowiada z przygnębieniem.

– To jeszcze tylko godzina, może trochę więcej.

Patrzy na mnie z przejęciem.

– Bo chyba gdyby nim leciała, toby was zawiadomili. Pewnie czekają na telefony od bliskich, a jeśli ci nie dzwonią, sami ich informują.

Budzi się we mnie nadzieja. Może Cleo ma rację. Jeśli Marnie była na pokładzie tego samolotu, to czy ktoś do tej pory by nas o tym nie zawiadomił?

- Tak mi się wydaje.
 - Więc skoro nie poinformowali, to może wszystko w porządku.
- Uśmiecham się do niej uspokajająco.
- Staraj się nie martwić, Cleo. Może wrócisz do reszty?
 - A mogłabym tu jeszcze trochę zostać?
 - Oczywiście, że tak.
 - I jeśli czegoś się dowiesz, powiesz mi?
 - Jasne – odpowiadam.

Livia

– Wszystko dobrze?

Podnoszę wzrok. Josh patrzy na mnie, jego oczy wydają się w ciemności prawie czarne.

– Przepraszam, byłam myślami bardzo daleko.

– Czyli z Marnie – komentuje.

Śmieję się.

– Nie, nie z nią. Myślałam o twoim tacie.

– Nic mu nie jest, prawda?

– Chyba nie, ale mam wrażenie, że będzie zadowolony, gdy przyjęcie już się skończy.

– To był z twojej strony miły gest wobec niego... kupno biletów na podróż do Francji.

– Zasługuje na to. Wyjechalibyśmy na dłużej, gdyby nie martwił się przerwą w pracy. – Spoglądam na niego z wdzięcznością. – Dziękuję ci za to wideo z Marnie. Uroczy pomysł.

– Mam nadzieję, że choć trochę zrekompensowało ci jej nieobecność.

– O tak, bez wątpienia.

Wskazuje głową w stronę tarasu.

– Wygląda na to, że mam babcię, tak?

Zerkam na niego ze skruchą.

– Przepraszam, Josh, powinnam była cię uprzedzić, że może przyjechać.

– Nie chciała się ze mną zobaczyć? – Słyszę w jego głosie urazę.

– Ależ chciała, tylko nie mogła zostać dłużej, bo ktoś na nią czekał. Zresztą dobrze się złożyło, bo obie byłyśmy trochę poruszone. Ale odwiedzi nas jutro po południu, przed wyjazdem, żeby cię poznać.

– Super. – Pochyliła się, żeby spojrzeć mi w oczy. – Przykro mi z powodu twojego ojca. Podobno zmarł, tak powiedział Nelson.

– Tak... ale bardzo tego nie przeżywam. Nie był dobrym człowiekiem. I tylko dlatego, że już go nie ma, moja matka odważyła się dziś przyjechać. Jak widzisz, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Moją uwagę zwraca błysk światła, po którym rozlegają się stłumione okrzyki podziwu.

– Jaki piękny! – woła Kirin i klaszcze w dłonie, gdy dwoje pracowników cateringu wnosi ogromny tort z czterdziestoma, jak się domyślam, świeczkami. Tak naprawdę to trzy torty różnej wielkości, ustawione jeden na drugim.

– Czekoladowy, waniliowy i twój ulubiony smak... kawowy – wyjaśnia Josh. Bierze mnie za rękę. – Chodź, mam, zdmuchniesz świece.

– A gdzie tata? – pytam go wśród rosnącego gwaru podnieconych gości, gdy pociąga mnie w stronę stołu.

– Chyba gdzieś w domu. Mam po niego pójść?

– Nie, nie trzeba, zostawmy go – odpowiadam, tłumiąc rozczarowanie, że nie ma przy mnie Adama. Może usłyszy, jak wszyscy śpiewają mi *Happy Birthday*, bo naprawdę są głośni, i przyjdzie. Gdy tak stoję i słucham, ogarnia mnie wzruszenie. I wtedy, żeby było idealnie, pojawia się Adam, przepycha się przez tłum i razem z pozostałymi śpiewa ostatnią zwrotkę, a potem staje obok mnie, gdy zdmuchuję świece.

Kiedy goście przestają klaskać – bo udało mi się zdmuchnąć wszystkie za jednym razem – bierze mnie w objęcia.

– Kocham cię – mówi cicho, gdy wokół wciąż rozbrzmiewają wiwaty i gwizdy. – Zawsze cię kochałem i będę kochać.

– Dziękuję ci. – Nie mogę powstrzymać łez. – Dziękuję ci za ten dzień, najpiękniejszy w moim życiu, za to, że jesteś przy mnie i że robisz wszystko, żeby mnie uszczęśliwić. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Tylko mnie kochaj.

– Nigdy nie przestanę – zapewniam go. – Nigdy.

Jednak w głębi jego oczu, mimo uśmiechu na twarzy, widzę straszną niepewność. Mam ochotę zapytać, dlaczego sądzi, że mogłabym przestać go kochać.

– Musisz pokroić tort, mam – odzywa się Josh i czar chwili pryska.

Adam całuje mnie ostatni raz.

– Opuszczam cię. Nelson wygląda, jakby trzeba go było ratować przed Robem.

Tak samo jest z naszą córką – myślę z goryczą.

Josh wręcza mi nóż i gdy kroję tort, uświadamiam sobie, że gdyby udało mi się uratować Marnie przed Robem, zapobiegłabym rozpadowi naszej grupy. Gdybym przemówiła córce do rozumu i przekonała ją, żeby zerwała z Robem, nikt nie musiałby się dowiedzieć o ich romansie i wszystko pozostałoby bez zmian. No, może nie bez zmian, bo nie byłoby już tak samo jak dawniej. Ja, Marnie i Rob mielibyśmy świadomość tego okropnego sekretu i byłoby mi trudno zachowywać się uprzejmie wobec Roba, może nawet przekraczałoby to moje siły. A co gorsza, już nie patrzyłabym na Marnie tak jak kiedyś. I to straszliwie mnie boli.

Jess zauważa moje spojrzenie i macha do mnie. Rob stoi przy niej, obejmuje ją w pasie. Chciałabym podbiec do niej i poprosić, żeby nie żywiła do mnie nienawiści, bo tak będzie, gdy dowie się o nim i Marnie. W nieunikniony sposób obarczy winą Marnie, bo Rob opowie jej swoją wersję, przekonując, że to nie on ponosi odpowiedzialność za całą sprawę, tylko nasza córka. Dalej będzie kłamał. Będzie jej wmawiał, że to Marnie go uwiodła, że wykorzystwała chwilę jego słabości, że kiedy wyjeżdżała do Hongkongu, było już

po wszystkim, przynajmniej jeśli chodzi o niego – tylko że ona nie chciała się z nim rozstać, błagała o spotkanie. I Jess mu uwierzy, chcąc uratować swoje małżeństwo. Dlatego niezależnie, ile się dowie, nie powiem jej o dziecku. Nie powiem jej, że Marnie zaszła w ciążę i że Rob się domagał, aby dokonała aborcji. Tego byłoby już dla niej za wiele.

Jeśli Rob rzeczywiście zamierza odejść od Jess i Marnie przylatuje, aby go wesprzeć, najbardziej się boję – aż wolę o tym nie myśleć – że zrobią to jawnie, nie potajemnie. Że zamiast zachować dyskrecję, będą obnosić się ze swoim związkiem. To byłaby najgorsza zniewaga. I jak Adam i ja mielibyśmy się wobec nich zachowywać? Traktować ich jako parę? Spotykalibyśmy się z nimi, patrzylibyśmy, jak Rob całuje i przytula naszą córkę? Gdybyśmy inaczej nie mogli się z nią widywać, to czy mielibyśmy jakiś wybór? To jednak zaprzepaściłoby wszelkie szanse na uratowanie mojej przyjaźni z Jess.

Jedyne, co mogłoby nas wybawić od tego wszystkiego – myślę rozgoryczona – to grom z jasnego nieba, piorun, który trafiłby Roba i by go zabił. Ale mało prawdopodobne, żeby tak się stało.

Adam

Po rozmowie z Cleo nie wracam na przyjęcie. Nie mogę, na razie nie. Siedzę na łóżku w sypialni z telefonem w dłoni. Nie mam żadnych nieodebranych połączeń. Wiadomości, które wysłałem Marnie, nie zostały dostarczone. Jedyne mejle, jakie przyszły, to spam. W komórce Livii także nic nowego. Po wyjściu z pokoju Marnie wstąpiłem do pomieszczenia gospodarczego i po ciemku, nie włączając światła, wyjąłem ją z kosza na pranie. Livia miała mnóstwo wiadomości i kilka nieodebranych połączeń – ale nic od Marnie ani z nieznanego czy zastrzeżonego numeru.

Mimi wróciła do naszego pokoju, ale trzyma się z daleka. Obserwuje mnie z kąta. Powinienem zadzwonić na infolinię, wklepałem jej numer do telefonu. Wystarczy, że wcisnę „połącz”. Ale wciąż nie jestem w stanie się na to zdobyć.

Myślę o tym, co powiedziała Cleo: że jeśli nikt nie dzwoni do nich w sprawie pasażera rozbitego samolotu, sami się kontaktują. Czy czekają z tym przez określony czas? Czy Marnie w ogóle wymieniła mnie w paszporcie jako najbliższą osobę? Wypełniła tę rubrykę? Może to nie było obowiązkowe, może o tym zapomniała. Może wpisała Josha, a nie mnie ani Livię, żebyśmy w razie gdyby coś jej się stało, nie dowiedzieli się pierwsi.

Dźwięki *Happy Birthday* przypominają mi, gdzie powinienem w tej chwili być.

Pokonując po dwa stopnie naraz, zbiegam po schodach, wypadam do ogrodu i w ostatniej chwili staję przy Livii. Wszystko to wydaje mi się takie nierzeczywiste. Ale jestem z nią, tu i teraz, i mimo strasznie bolesnej świadomości, co mogło stać się z Marnie, mogę pocałować Liv, powiedzieć, że ją kocham, być taki, jakiego mnie potrzebuje.

– Adamie!

Widzę, że Nelson macha do mnie, więc całuję Liv ostatni raz.

– Opuszczam cię. Nelson wygląda, jakby trzeba go było ratować przed Robem.

– Dlaczego ludzie mają taką obsesję na punkcie złych wiadomości? – mamrocze Nelson. Zostawia Roba samego i podchodzi do mnie. – Wciąż gada o tamtej porannej katastrofie samolotu w Kairze.

Idę w stronę murku, na którym wcześniej siedziałem z Livią, naprzeciwko ogrodzenia Marnie, a on rusza za mną. Ogrodzenie Marnie. Już zawsze będzie tak nazywane – dociera do mnie. Nawet gdy jej fotografie zostaną zdjęte.

Nelson siada obok mnie i wyciąga nogi przed siebie.

– Naprawdę nic ci nie jest? Chyba niewiele wypięś.

– To tylko migrena, nic więcej.

Odwraca się do mnie.

– Czy coś się stało?

Staram się unikać jego wzroku, ale daremnie.

– O co ci chodzi?

– Masz migreny tylko wtedy, gdy czymś się denerwujesz. – Urywa na chwilę. – Wiesz, że możesz mi powiedzieć, prawda?

Bardzo bym chciał. Chciałbym mu powiedzieć, że Marnie prawdopodobnie była na pokładzie tego samolotu, który się rozbił. Już nie mogę z tym wytrzymać. Jeśli rzeczywiście nim leciała, jak mam zawiadomić Livię, że jej córka zginęła? Co powie, gdy sobie uświadomi, że pozwoliłem, aby przyjęcie się odbyło? Nigdy mi tego nie wybaczy.

Pochylam się do przodu, opierając łokcie na kolanach i opuszczając głowę, żeby ukryć swoje zmartwienie.

– Na litość boską, Adamie, mów! – woła.

– Nie mogę. – Głos mnie zawodzi. – Najpierw muszę powiedzieć Livii.

Czuję, że nieruchomieje.

– Jesteś chory, tak? O tym musisz jej powiedzieć? – W jego głosie brzmi troska i przypomina mi się, że Jess ze swojego SM najpierw zwierzyła się Nelsonowi, a dopiero potem Robowi.

– Nie, nie, nie jestem chory – odpowiadam. – Tylko coś zrobiłem. – Muszę zamilknąć, głos mi się łamie, a przecież nie mogę się rozplakać, jeszcze nie teraz, dopóki wszyscy sobie nie pójda.

– To nie może być aż takie straszne – orzeka Nelson.

– Jest. Livia nigdy mi nie wybaczy.

– Ależ tak – uspokaja mnie. – Ona cię kocha.

Kręcę głową.

– Gdyby to powiedział mi ktoś inny, przestraszyłbym się, że ma romans – ciągnie Nelson i przez chwilę żałuję, że tak nie jest: ot, straszliwa pomyłka i doszło do zdrady. – Ale znam cię i wiem, że to nie w twoim stylu.

Coś we mnie pęka. Zaczynam się śmiać, bo inaczej mógłbym się tylko rozryczeć.

Nelson czeka chwilę. A potem ciężko kładzie mi rękę na ramieniu.

– Pewnie myślisz, że oszalałem – mówię, uciskając zamknięte powieki wnętrzem dłoni.

– Cokolwiek się dzieje, wyjdiesz z tego – zapewnia. – Ty, wy wszyscy, my wszyscy. Cokolwiek się dzieje.

Livia

Patrzę na Adama, który siedzi z Nelsonem na murku, i coraz bardziej się o niego niepokoję. Obserwuję go przez chwilę i zauważam, jak bardzo wydaje się zgnębiony, a potem słyszę swoje imię. Serce mi zamiera. Chyba nie chodzi o prezent, którego wciąż mi nie dał?

Właśnie gdy się zastanawiam, czy do nich nie podejść, Adam zanosi się śmiechem. Przez cały dzień nie słyszałam, by się śmiał, więc początkowo się cieszę, że trochę się odprężył. Potem jednak uprzytamniam sobie, że jest w tym jakaś desperacja. Nelson też tak to odbiera, bo kładzie Adamowi rękę na ramieniu i mówi mu coś po cichu. Adam przestaje się śmiać równie szybko, jak zaczął.

Jestem zadowolona, że gdy przyszła pora krojenia tortu, opuścił swoją kryjówkę. Myślałam, że przytaszczy pudło, które wcześniej zauważyłam pod stołem, ale nie. Chyba nie dostanę tej nocy swojego prezentu. Nie mogę przestać snuć domysłów, co to może być. Pudło jest za duże na torebkę, której się spodziewałam, ale może tylko ma mnie zmylić.

Nie tylko mnie to pudło intryguje, bo nagle widzę, że Rob chwiejnie idzie z nim po schodkach, nie dlatego, że jest szczególnie ciężkie, tylko duże.

– Hej, Adamie! – woła. – Nie zapomniałeś o czymś? To dla Livii, no nie? Problem jedynie w tym, że chyba nie umieściłeś w środku prezentu.

– Odstaw to! – Przez muzykę przebija się ostry głos Adama. – Nie dotykaj tego! – Z twarzą wykrzywioną gniewem zrywa się na równe nogi. Wygląda tak, jakby miał rzucić się na Roba, i gdzieś w głębi duszy mu przyklaskuję.

Nelson ostrzegawczym gestem kładzie mu rękę na ramieniu i przez chwilę żaden z nich się nie rusza.

– Przepraszam, stary – mówi Rob i puszcza pudło, które upada bokiem na ziemię i pokrywa się otwiera, ukazując puste wnętrze. – Nie chciałem nic złego.

Wiem, ile wysiłku wymaga od Adama zapanowanie nad sobą.

– W porządku – odpowiada. Uśmiecha się z przymusem. – Miałem pewien problem z prezentem dla Livii i dlatego nic ode mnie nie dostała, ale liczyłem, że nikt nie zwróci na to uwagi. A teraz wiedzą o tym wszyscy.

– Nieważne! – zapewniam go głośno. – To wspaniałe przyjęcie to najlepszy prezent!

Pozostali zaczynają klaskać i wyrażać uznanie, i incydent szybko popada w zapomnienie, Rob też najwyraźniej już o nim nie myśli, bo wskakuje po schodkach na

taras i tańczy do rytmu YMCA Village People, podczas gdy Jess z udawanym zażenowaniem zakrywa twarz. Odwracam się, bo nie mogę dłużej na niego patrzeć, i wpadam na Paulę.

– Idę już, Livio – oznajmia.

– Zjadłś tort i znikasz? – przekomarzam się z nią.

Śmieje się na to.

– Tak się cieszę, że przyjechała twoja matka – mówi, bo wszyscy już o tym wiedzą. – Byłoby świetnie, gdybyście obie zamknęły przeszłość i ruszyły do przodu.

– Na pewno spróbujemy – odpowiadam, nagle wzruszona.

– Postaraj się – ciągnie. – Rodzina jest najważniejsza. Żałuję, że moi bliscy są tak daleko. Czasami czuję się bardzo samotna.

– Och, Paulo – mówię ze smutkiem. – Ale przecież nie jesteś sama. Masz wokół siebie przyjaciół i odkąd przeszłaś na emeryturę, jesteś taka aktywna.

– To nie to samo co obecność rodziny, chyba przyznasz? Kiedy patrzę na ciebie i Adama, i na jego rodziców... Jeannie i Mike są fantastyczni, no nie? Na Josha i Marnie, która wkrótce tu będzie. Zazdroszczę ci, Livio, nie w złym sensie, ale ci zazdroszczę.

– Wiem, że mam szczęście – odpowiadam z poczuciem winy, które mi ciąży.

– A ja... ja jestem samotną kobietą, która usiłuje wypełnić sobie czas. Tak, spotykam się z ludźmi, ale później oni wracają do swoich bliskich, a ja do pustego domu. – Ze smutkiem kręci głową. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że moi synowie zdecydowali się przenieść tak daleko.

– Może życie za nich zdecydowało.

– Może. Wiem, że przecież nie specjalnie zamieszkali jak najdalej ode mnie. I na pewno się nie spodziewali, że ich ojciec przedwcześnie umrze. Myśleli, że gdy oni zajmą się układaniem sobie życia, ja i Tony długo będziemy cieszyli się emeryturą.

– No właśnie. Gdyby umarł, zanim wyjechali za granicę, może zdecydowaliby inaczej.

– Wciąż zapraszają mnie do siebie – ciągnie. – Mówią, że mogę zostać, jak długo zechcę. Ale podróż tyle kosztuje.

– Dlaczego nie zaczniesz oszczędzać na ten cel, tak jak ja na to przyjęcie? Mogłabyś odkładać część emerytury?

– Tak, na pewno.

– Więc stać by cię było, żeby co parę lat polecieć do Australii albo do Kanady. I dzięki temu miałabyś na co czekać.

Paula kiwa głową.

– Masz rację. To dobry pomysł... kto wie, może za rok o tej porze będę w Australii!

– Ja na twoim miejscu poleciałabym w zimowych miesiącach. Mogłabyś złapać trochę słońca.

– Najlepiej by było w listopadzie przyszłego roku. Do tego czasu z całą pewnością odłożę odpowiednią sumę. – Ściska mnie serdecznie. – Dziękuję ci, Livio, od razu poprawiło mi się samopoczucie. – Zerka na taras. – Może, zanim pójdę, jeszcze sobie zatańczę.

– Koniecznie.

Patrzę za nią, jak odchodzi, i postanawiam, że częściej będę ją zapraszać. Adamowi na pewno nie będzie to przeszkadzało, zresztą zawsze może pójść do swojej szopy, a wtedy ja i Paula swobodnie sobie pogadamy. Poruszył mnie smutek w jej głosie i to, że mi zazdrości. Przykro mi, że żywi takie uczucie, musi jej się wydawać, że dostałam od życia wszystko. Zdaję sobie sprawę, jaka jestem szczęśliwa, że mam rodzinę i przyjaciół, że jestem zdrowa. Przynajmniej na razie.

Adam

Podnoszę z trawnika rzucone przez Roba pudło i usuwam z drogi, żeby nie przeszkadzało. Wiem, że nie powinienem na niego krzyczeć, ale z tym pudłem to był pomysł Marnie i nie chcę, żeby się zniszczyło.

Mimowolnie zaczynam myśleć o innych rzeczach, które pragnąłbym zachować, rzeczach, których w normalnych okolicznościach bym się pozbył, jak jej stary rower. Stoi pod ścianą w garażu, czeka na wywiezienie. Ale na razie go nie oddam. Dostała go w prezencie na dwunaste urodziny, jeszcze widzę, jak na nim jeździła, włosy rozwiewał jej wiatr, gdy pedałowiała z całych sił. I jej dawne biurko, które zamierzałem przeznaczyć na opał – odnowię je. Jak mógłbym wyrzucić cokolwiek, czego dotykała i co może zachowało jakiś jej ślad?

No i są rzeczy, które od niej dostałem i których nie używałem. Jak kolorowe skarpetki marki Red Herring. Przysłała mi je w zeszłe Boże Narodzenie, aż z Hongkongu. Leżą w szufladzie, jeszcze w pudełku, bo nie noszę takich jaskrawych. Żałuję, że ich nie włożyłem, mogłem to zrobić choć raz, cyknąć sobie w nich zdjęcie i jej wysłać – z podpisem: „Widzisz, chodzę w nich!”. Albo ten drogi korkociąg, który podarowała mi na ostatnie urodziny, też nigdy się nim nie posłużyłem, bo stary, leżący w szufladzie, jest całkiem dobry. Szkoda, że go nie użyłem albo chociaż nie powiedziałem jej, że to zrobiłem.

– Więc wyjeżdżasz zobaczyć Millau.

Czuję na ramieniu dłoń taty. Odwracam się do niego i już sam jego widok dodaje mi sił, bo wiem, że będzie przy mnie w następnych godzinach, dniach, tygodniach, miesiącach, jak zawsze. Zrozumie, dlaczego dopuściłem do tego przyjęcia, będzie wiedział, że chciałem, aby Livia przeżyła ostatnie chwile szczęścia, zanim świat jej się zawali. A jeśli nawet nie – powie, że rozumie, bo tak postępują rodzice, mówią to, czego potrzebujemy w danej chwili.

– No – odpowiadam.

– Urlop dobrze ci zrobi, nawet jeśli tylko czterodniowy. Masz. – Podaje mi szklanę. – Napij się piwa, nie zaszkodzi ci.

– Dzięki. – Biorę ją od niego, ale nie przełknąłbym ani łyka. – Tato, gdyby ktoś zrobił coś złego, ale miał dobre intencje, okazałbyś mu zrozumienie?

Tata zastanawia się nad tym.

– Na przykład napadł na bank, bo jego rodzina głoduje?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– A ktoś by ucierpiał podczas tego napadu?

– Nie.

– W takim razie, nawet gdyby to było moralnie złe, wybaczyłbym mu. Jeśli tylko naprawdę chodziłoby o nakarmienie rodziny, a nie kupno dzieciom xboxa.

– A jeśli z tego powodu żona pogniewałaby się na niego, mimo że miał na względzie dobro jej i dzieci? – indaguję, podążając za jego rozumowaniem.

– To znaczy jeszcze później, gdy już nie byłoby głodni?

– Właśnie.

Podchodzi do murku, więc idę za nim.

– Myślę, że jej gniew wynikałby raczej z poczucia winy – odpowiada, gdy siadam obok niego. – Z tego, że smakowało jej jedzenie, choć gdyby wiedziała, że zostało kupione za pieniądze z kradzieży, toby go nie tknęła.

– Gdyby jej powiedział, skąd jest ta forsa, i nie tknęłaby jedzenia, umarliby z głodu.

– Dlatego jej nie powiedział.

– O to chodzi.

– Po prostu chciał, żeby jego rodzina cieszyła się ostatnim posiłkiem.

W gardle mnie ściska.

– Tak.

– Ja bym mu wybaczył.

– Nawet gdyby bliscy go za to znienawidzili? – pytam napiętym głosem. – Gdyby miał ich stracić?

– Nie znienawidziliby go. Może na początku mieliby pretensje. Ale potem by im przeszło.

– Obyś tylko miał rację.

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Ten człowiek... może, zanim sprawy zaszły za daleko, powinien był poprosić ojca o radę?

– Uhm – odpowiadam cicho. – Może.

– A dlaczego teraz mu nie powie?

– Bo najpierw musi porozmawiać z żoną.

Siedzi przez chwilę w milczeniu na wypadek, gdybym zmienił zdanie.

– Przyjście niebawem się skończy – odzywam się wreszcie. – Było wspaniale, tak jak Livia sobie wymarzyła.

– Która godzina?

Spogląda na zegarek, poruszając nim tak, żeby na szkiełko padło światło dochodzące z namiotu.

– Dziesięć po drugiej.

– Poprosisz Josha, żeby powoli się zwijał? Niech zagra *Unchained Melody*. To moja wybrana piosenka, dla Livii.

– Zaznaczyłeś, mam nadzieję, że ma być w wersji Righteous Brothers?

– Oczywiście.

Po kilku minutach słyszę pierwsze tony *Unchained Melody* i wraca do mnie wspomnienie dnia naszego ślubu: jak tańczyliśmy do tej piosenki w tamtym nędznym pubie i jak bardzo byłem w Livii zakochany. I wciąż jestem.

Idę na taras, Livia już na mnie czeka, więc biorę ją w objęcia. Nie odzywamy się do siebie, tylko tańczymy przytuleni, ona opiera głowę na moim ramieniu, ja wsuwam dłoń w jej włosy. I boję się, że to ostatni raz, kiedy pozwoliła mi się objąć.

Livia

Adam i ja tańczymy i jestem tak bliska płaczu, że ledwie powstrzymuję łzy. Wiem, że wszyscy, którzy by to widzieli, wzięliby je za wyraz szczęścia. Ale wzbiera we mnie ogromny smutek. Przechodzi z Adama, przenika porami i przepełnia mnie, choć nie znam jego przyczyny. Czuję, że Adam z trudem się trzyma, że pragnie jedynie, aby przyjęcie się skończyło i wszyscy już poszli.

Twierdzi, że nie jest chory, ale mu nie wierzę. Na pewno nie chodzi o pracę; gdyby stracił zamówienie na jakiś mebel, aż tak by się nie przejął. A może zachorowało któreś z jego rodziców? Kiedy tak suniemy po parkiecie, szukam wzrokiem Jeannie i Mike'a. Gdy jednak widzę, że się śmieją, dochodzę do wniosku, że nie chodzi również o nich.

Jeannie zauważa moje spojrzenie i macha do mnie. Odpowiadam uśmiechem. Piosenka się kończy i postanawiam się nie martwić. Cokolwiek gnębi Adama, niedługo się o tym dowiem.

Widzę, że Jess stoi niepewnie, próbuje pochwycić mój wzrok. Podchodzę do niej i kładę jej rękę na ramieniu.

– Czy wszystko dobrze?

– Cleo jest jakaś przybita, więc już pójdziemy.

– Och! Coś nie tak z Charliem?

– Nie mam pojęcia. Właśnie przyszła i spytała, czy możemy iść. Widzę, że płakała, ale nie chce powiedzieć dlaczego.

– Gdzie ona jest?

– Poszła szukać Adama, żeby się pożegnać. A ja z kolei muszę znaleźć Roba.

– Jestem tutaj! – mówi on, stając za jej lewym ramieniem. Rzucił mi smutne spojrzenie. – Wygląda na to, że będziemy musieli opuścić twoje uroczę przyjęcie, Livvy.

– Och, już i tak się kończy – odpowiadam, niemal zgrzytając zębami. Nie znoszę, gdy mówi do mnie Livvy, bo tak nazywa mnie Mike i nie chcę, aby robił to ktokolwiek inny, a już na pewno nie Rob.

– Pójdę po samochód. – Próbuje mnie uściskać, ale ja szybko odwracam się do Jess.

– Dziękuję, że przyszliście, i za spa, kostium kąpielowy oraz to, że jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie. – Obejmuję ją mocniej niż kiedykolwiek do tej pory, świadoma, że może wkrótce nie będzie chciała ze mną rozmawiać. – Na zawsze zapamiętam ten dzień jako jeden z najwspanialszych w moim życiu.

Śmieje się cicho.

– Mówisz tak, jakbyśmy miały się więcej nie zobaczyć. Baw się dobrze we Francji. Po powrocie musisz mi wszystko opowiedzieć.

– A ty dbaj o siebie – odpowiadam z powagą.

– Dobrze. – Rozgląda się wokół. – Mogłabyś odszukać Cleo? Powiedz jej, że czekamy w samochodzie, dobrze?

– Jasne. – Ściskam ją ostatni raz. – Pa, Rob! – Nawet na niego nie patrzę.

– Pa, Livvy, miłego urlopu – rzuca, gdy Jess bierze go za rękę.

Ale ja już się oddalam, bo właśnie zobaczyłam Cleo i Adama po drugiej stronie tarasu. Stoją blisko siebie i mimo że są zwróceny do mnie plecami, wiem, że Cleo płacze. Podchodzę szybko, żeby wybawić Adama.

– Musisz powiedzieć Livii – słyszę, jak drżącym głosem mówi Cleo. – Musisz powiedzieć jej o Marnie, powinna wiedzieć.

Zastygam i ogarnia mnie przeraźliwy strach. Czyżby Cleo wiedziała? Pospiesznie staję za szarą beczką na wodę, bo nie chcę, aby mnie zobaczyli, serce wali mi w piersi, a w głowie kłębią się pytania. Skąd ona wie? I od kiedy? Wcześniej zachowywała się normalnie, więc musiała dowiedzieć się niedawno. Marnie jej powiedziała? Nie mogłaby, nie dziś wieczorem, nie w trakcie przyjęcia. Więc Max? Ale on by tego nie zrobił, nie byłby taki okrutny. Czy może sama się domyśliła? Może Marnie i Rob zdradzili się czymś w Hongkongu, więc zapytała o to Maxa, wyznała mu, czego się obawia. I Max nie mógł jej okłamać. Może zobaczyła jakiś obciążający esemes w telefonie Roba albo podsłuchiwała rozmowę między nimi, może Marnie zadzwoniła do niego podczas przyjęcia? Ale jeśli znalazła wi-fi, to dlaczego nie skontaktowała się także ze mną?

– Powiem jej, gdy tylko będę wiedział na pewno – odpowiada Adam taki zrozpaczony, taki załamany, że mam straszliwe wyrzuty sumienia. Powinnam była go wtajemniczyć wiele tygodni temu, żeby nie dowiedział się właśnie w taki sposób.

– Jak myślisz, jest jeszcze nadzieja, że się mylimy?

– Tak – odpowiada z przekonaniem i robi mi się słabo z ulgi, że przynajmniej jeszcze nie mają pewności, tylko podejrzewają.

– Kiedy będziesz wiedział na pewno? Kiedy zamierzasz zasięgnąć informacji?

– Gdy tylko wszyscy pójdą.

– Dasz mi znać? Od razu? Nawet gdyby był środek nocy. Nawet gdyby stało się najgorsze. – Dławi się, wypowiadając ostatnie słowo.

– Tak – odpowiada Adam, ściskając ją.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Cleo zadziera głowę i patrzy na niego.

– Jesteś taki dzielny.

– Nie, wcale nie – zaprzecza cicho. – Wręcz przeciwnie. – Odwraca się do niej, kładzie jej dłoń na ramionach i lekko ją obraca, żeby spojrzeć jej w oczy. – Mogę cię o coś prosić, Cleo? Na razie nie mów nic rodzicom, poczekaj z tym. Livia musi się dowiedzieć pierwsza.

Cleo kiwa głową.

– Dobrze.

Adam przyjmuje to z ulgą.

– Dziękuję.

Puszcza Cleo. Uświadamiam sobie, że gdy podniesie głowę, zobaczy mnie za beczką, więc czym prędzej zza niej wychodzę i zbliżam się do nich, jakbym dopiero co nadeszła.

– Cleo, tak mi przykro, twoja mama mówi, że nie czujesz się dobrze – mówię i otaczam ją ramieniem. – Poszli już z tatą do samochodu. – Milknę gwałtownie. Jak mogę być taka nieczuła, żeby wspominać o Robie zaraz po tym, jak Cleo dowiedziała się o jego romansie z Marnie? Czekam, żeby wybuchnęła płaczem, ale na szczęście tak się nie dzieje. – Odprowadzić cię?

– Nie, nie trzeba – mamrocze. – Dziękuję za wspaniałe przyjęcie.

Odchodzi i zostajemy sami z Adamem. Jestem taka napięta, że nie mogę na niego spojrzeć.

– Biedna Cleo – mówi i uświadamiam sobie, że on też na mnie nie patrzy. – To chyba sprawka Charliego, nie sądzisz?

– Pewnie tak – odpowiadam, szybko podejmując grę. – Zdaje się, że nie bardzo im się układa.

– Idziemy żegnać gości?

– Tak, musi być już wpół do trzeciej.

Następne pół godziny upływa nam na oddawaniu telefonów, pożegnaniach i wzajemnych podziękowaniach.

W trakcie przyjęcia, gdy się zorientowałam, że zostanie dużo jedzenia, zaprosiłam Jeannie i Mike'a, Izzy i Iana oraz Kirin i Nelsona na lunch; wiedziałam, że Jess i Rob nie mogliby przyjść, bo Jess wspomniała wcześniej, że mają już plany na cały dzień.

– Może prześpiemy się u was – żartuje teraz Izzy.

– Dlaczego? – pyta Adam.

– Bo za kilka godzin mamy przyjechać na lunch.

– Jak to? – Marszczy czoło.

– Livia zaprosiła nas, żebyśmy dojedli resztki. Tatę i mamę też.

– Kirin i Nelsona także – dodaje.

– To dobrze – odpowiada Adam, powoli kiwając głową.

– Zostańcie, jeśli chcecie – mówię do Izzy. – Pościelę wam łóżko w pokoju Marnie.

– Nie! – Wszyscy ze zdziwieniem patrzymy na Adama. – Przykro mi, Izzy, ale nie możecie u nas zostać. Moja migrena by tego nie wytrzymała.

– To przenocujcie u nas – proponuje Jeannie.

– Dzięki, mam – odpowiada z wdzięcznością Izzy.

– Zostawcie samochód i jedźcie z nami – dodaje Mike.

Ian robi przerażoną minę.

– Teraz mi mówisz, że nie musiałem się ograniczać do jednego kieliszka szampana? Że niepotrzebnie przez cały wieczór żłopałem sok owocowy?

– Izzy na pewno ci to zrekompensuje, siadając za kierownicą w drodze powrotnej do Southampton – zauważa Mike ze śmiechem.

– To z kolei ja nie będę mogła się napić! – wykrzykuje ona.

– Może byście już poszli, co? – odzywa się Adam i widzę, że ledwie stoi na nogach. – Proszę.

Po paru minutach w ogrodzie panuje już cisza. Josh spogląda na zegarek.

– Za piętnaście trzecia – oznajmia. – Jak stoimy z czasem?

– Idealnie – odpowiadam i wspieram się na nim. – Dzięki, Josh, świetnie się spisałeś i z muzyką, i z dekoracjami. Czy Max już poszedł?

– Tak, nie mógł was nigdzie znaleźć, żeby się pożegnać.

Spoglądam na nich obu.

– Więc już po wszystkim. Zostaliśmy we troje.

– I z Amy – dodaje Josh.

– Gdzie ona jest? – pytam.

– W ogrodzie. Może zostać na noc, prawda?

– Nie – sprzeciwia się gwałtownie Adam. – Przykro mi.

Josh ściąga brwi.

– Jak to?

– Przepraszam, synu, ale Amy nie może dziś zostać u nas na noc.

– Dlaczego?

– Jak się tu dostała? Przyjechała samochodem?

– Nie, nie ma samochodu. Pociągiem.

– Więc zamówię jej taksówkę.

Josh kręci głową.

– Aż do Exeter? Ale dlaczego?

– Chwileczkę, Adam – włączam się. – Chyba Amy może u nas przenocować? Już tak bywało.

– Wiem – odpowiada. – Ale dziś nie.

– Nie rozumiem – protestuje Josh. – Dlaczego dziś nie?

– Bo nie i już. Każdej innej nocy, proszę bardzo. Ale nie dziś.

– Więc jednak masz do niej pretensje, że nie jadę na ten staż do Stanów!

– Nie bądź głupi!

Josh, słysząc ton ojca, już otwiera usta i widzę, że zaraz go poniesie. Rzucam mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Josh – odzywa się Adam straszliwie zmęczonym głosem, jakby już nie miał siły mówić.
– Nie kłóć się ze mną. Amy nie zostanie u nas na noc i koniec.

– Nie. Nie koniec. – Josh zakłada ręce na piersi. – Jeśli ona odejdzie, to i ja.

– Przykro mi, Josh, jesteś potrzebny tutaj – odpowiada kategorycznie Adam.

– Po co? Przecież już idziemy spać. Tato, jesteś śmieszny!

– Chcę, żebyśmy byli w rodzinie. Czy tak trudno to zrozumieć?

– W porządku, Josh. – Z tyłu dobiega głos Amy. – Mogę przenocować u przyjaciółki, Maggie... wiesz, tej, która mieszka w Guildford. Uprzedziłam ją, bo muszę być po południu na przyjęciu urodzinowym dziadka, a od niej to niedaleko. To nawet dobrze, że tam pojedę.

Adam odwraca się w stronę drzwi, w których stoi dziewczyna, a ja się zastanawiam, ile słyszała.

– Byłbym ci bardzo wdzięczny, Amy, dziękuję – mówi z wyraźną ulgą.

– To nie ma sensu – mamrocze Josh.

Amy uspokajającym gestem kładzie mu rękę na ramieniu.

– To naprawdę nie problem. Twój tata na pewno ma swoje powody.

– To dlaczego nam ich nie zdradzi?

– Pewnie nie może. – Lekko wzrusza ramionami. – Tak czasami bywa w rodzinie. Dzieją się różne rzeczy. – Uśmiecha się do Adama przelotnie.

– Zamówię ci taksówkę – mówi on. – To gdzie mieszka ta twoja przyjaciółka?

– W Guildford.

Josh wyjmuje swój telefon.

– Ja to zrobię.

Na szczęście taksówka przyjeżdża wkrótce, więc nie męczymy się długo, gdy tak stoimy w kuchni – Josh obejmując Amy – i nic nie mówimy.

– Do zobaczenia niebawem, Amy – odzywa się Adam. – Dziękuję ci za wyrozumiałość.

Ściskam dziewczynę i mamroczę przeprosiny. Josh odprowadza ją do taksówki i zostajemy z Adamem sami.

– Idziemy spać? – pytam.

– Tak. Ale wcześniej jeszcze muszę coś zrobić. – Twarz ma szarą ze zmęczenia. – Poczekasz na mnie na górze?

Ogarnia mnie strach. Chyba nie zamierza zadzwonić teraz do Marnie, żeby ją zapytać, czy ma romans z Robem?

Kładę mu dłoń na ramieniu.

– Czy to nie może poczekać do rana?

– Nie. – Odsuwa się i moja ręka opada. – Przyjdę do ciebie za minutę.

Adam

Siedzę na podłodze szopy jak zawieszony nad przepaścią. Nie wiem, ile minęło czasu, od kiedy zadzwoniłem pod numer infolinii i usłyszałem, że moja córka, Marnie Sarah Harman, była pasażerką lotu PA206.

Czas przestał mieć znaczenie. Wszelka nadzieja przepadła, jest tylko mrok. Pragnę jedynie, żeby mnie ogarnął, tak jak ogarnął Marnie. Ale nie ma litości, istnieje tylko dotkliwa świadomość, że moja córka nie żyje.

Kulę się, obejmuję rękami nogi i przyciskam głowę do kolan, daremnie próbując bronić się przed tym, co się zdarzyło. Zaciskam powieki, żeby nie dopuścić do siebie wizji ostatnich chwil Marnie. Ale to nie pomaga. Jedyne, co słyszę, to jej krzyk.

Jak mam żyć ze świadomością, że nie byłem przy niej, gdy najbardziej mnie potrzebowała? Gdybym był, mocno przytuliłbym ją do siebie, zasłoniłbym jej głowę, żeby nie widziała, jak nadchodzi śmierć. Nawet gdyby kiedyś, za kilka tygodni czy miesięcy, powiedziano nam, że Marnie niczego się nie spodziewała, że samolot eksplodował niespodziewanie, wciąż istniałaby możliwość, że żyła, gdy zaczął spadać.

Przytłoczony straszliwą rozpaczą, ledwie zdaję sobie sprawę, że wstrząsają mną szlochy, a z oczu ciekną mi łzy. Co sobie myślałem, skazując Marnie na dwie przesiadki w drodze do domu, gdy mogła przylecieć bezpośrednio? Ponieważ nie chciałem jej rozpieszczać, potroiłem ryzyko, że straci życie. Moje ciało raz po raz kurczy się z bólu i czuję nienawiść do Livii. Wyłożyłbym pieniądze na droższy, bezpośredni lot, ale wiedziałem, że będzie temu przeciwna, ze względu na Josha i jego reakcję. Przez chwilę nienawidzę także syna. Ale przecież byłby przerażony, gdyby wiedział, że kazałem jego siostrze dwukrotnie się przesiadać, bo jego zmusiłem, aby zrobił to jeden raz? Czy te kilka dni, które miała z nami spędzić – zaledwie cztery – nie uzasadniały bezpośredniego połączenia? Jediną osobą, która ponosi winę, jestem ja sam. Jak mogłem być tak głupi, tak krótkowzroczny – tak nielogiczny?

W końcu życie przypomina o sobie i rodzi się we mnie tępa świadomość, że mam obowiązki wobec innych. Cleo, obiecałem powiedzieć Cleo.

Odnajduję swój telefon, szukam w kontaktach jej imienia i wchodzę w wiadomości. Ale co mam napisać? Przychodzi mi do głowy tylko: „Cleo, strasznie mi przykro”. A potem

czekam na odpowiedź, wpatruję się w ekran, bo desperacko potrzebuję świadomości, że nie jestem osamotniony.

I wreszcie przychodzi. „Mnie też”.

I teraz staje się to rzeczywiste. Muszę powiadomić Livię. Ale jak? Jak przebrnąć przez początkowe: „Livio, mam ci coś do powiedzenia”? Jak wyrazić coś, czego nie mogę nawet pomyśleć: „Marnie nie żyje”? To zbyt brutalne, nieludzkie. Potrzebuję więcej słów: „Livio, mam ci coś do powiedzenia. Marnie i ja chcieliśmy sprawić ci na urodziny niespodziankę...”. Tu się zatrzymuję, bo widzę oczami wyobraźni, jak rozjaśnia jej się twarz. Może lepiej przejść od razu do rzeczy: „Livio, mam ci coś do powiedzenia... wiesz, że wczoraj rozbił się samolot do Amsterdamu? Leciała nim Marnie” – a potem coś, co złagodziłoby ból. „Nie martw się, wszystko będzie dobrze, przejdziemy przez to, ty, ja i Josh”. Bo pod wpływem cierpienia mówimy największe głupoty.

I dociera do mnie, że nie ma odpowiednich słów, aby zawiadomić matkę o śmierci jej dziecka.

Wstaję. Koniec z tym, przyszła chwila, żeby zburzyć świat Livii.

Opuszczam szopę jak automat, przecinam trawnik w drodze do domu, wchodzę po schodkach na taras i wkraczam do kuchni. Widzę jednak kluczyki do motocykla, leżą tam, gdzie rzuciłem je wieki temu, i zamiast iść na górę, do sypialni, biorę je, wychodzę z kuchni i ruszam boczną ścieżką. Zaczynam biec, nie myślę już o tym, co powiedzieć Livii, tylko przypominam sobie, jak kiedyś pojechałem odebrać Marnie z jakiejś imprezy i zamiast wracać od razu do domu, wybraliśmy się do Southampton i poszliśmy na spacer nad oceanem. Dochodzę do garażu, wydaję ze schowka kask, wsiadam na motocykl, włączam silnik i wyjeżdżam na drogę.

Pędzę pustymi ulicami, płosząc grzebiącego w śmietniku kota. Biorę zakręt zbyt ostrym łukiem i ryk silnika niesie się w martwej ciszy. Przedem rysuje się wjazd na M4. Dodaję gazu i wyprzedzając jakiś wlokący się samochód, z warkotem wjeżdżam na autostradę. Gdy jeszcze przyspieszam, motocykl przemieszcza się pod moją nogą.

Powiew wiatru na twarzy działa odurzająco i muszę zwalczyć dojmującą potrzebę, żeby puścić kierownicę i polecieć na spotkanie śmierci. Czy to nie straszne, że Livia i Josh nie są dla mnie wystarczającym powodem, aby chcieć żyć? Do tortury, jaką było ostatnich czternaście godzin, dochodzą wyrzuty sumienia, a zimna wściekłość wzmacnia ryk silnika, gdy tak mknę autostradą, dążąc do samozniszczenia.

Wtedy w lusterku wstecznym załzawionymi oczami dostrzegam samochód, który ściga mnie autostradą, błyskając niebieskim światłem, i ryk gniewu, jaki wydaję, staje się wyrazem frustracji. Zwiększam prędkość do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wiem, że mogę jechać jeszcze szybciej, bo już nic mnie nie zatrzyma. Jednak wóz policyjny wkrótce mnie dogania, szybko zmienia pas na zewnętrzny i zrównuje się ze mną. Kątem oka widzę, że policjant na fotelu dla pasażera żywo gestykułuje.

Jeszcze przyspieszam, ale wóz policyjny wyrywa do przodu, a potem zjeżdża przede mną na mój pas, blokując mi drogę. Zamierzam go wyprzedzić, wcisnąć gaz do dechy, coś mnie jednak powstrzymuje, a tamten stopniowo zwalnia i muszę się zatrzymać. Nie wiem, dlaczego to robię. Może nie chcę, żeby Livia miała więcej problemów na głowie. A może usłyszałem błagalny głos Marnie: „Nie, tato, nie!”. Przysięgam, że przez chwilę czułem jej ręce obejmujące mnie w pasie, jej głowę przyciśniętą do mojego karku.

Drżą mi ręce i nogi, gdy wyhamowuję za wozem policyjnym i gaszę silnik. Z samochodu wysiada dwoje funkcjonariuszy, mężczyzna i kobieta. Mężczyzna podchodzi do mnie.

– Chce się pan zabić czy co?! – wrzeszczy, wciskając czapkę na głowę.

Zbliża się także kobieta, która siedziała za kierownicą.

– Niech pan odejdzie od motocykla! – nakazuje ostro. – Czy pan mnie słyszy? Proszę się od niego odsunąć.

Próbuję zdjąć ręce z kierownicy, dźwignąć się z siedzenia. Ale mam wrażenie, że jestem z nim zespawany.

– Jeśli pan nie posłucha, będziemy musieli pana aresztować.

– I tak go zatrzymamy – mówi mężczyzna. Robi krok w moją stronę i na widok kajdanek, które ma przy pasku, odzyskuje mowę.

Zdejmuję kask.

– Chwileczkę!

Coś musi być w moim głosie, a może w wyrazie twarzy, bo oboje przystają.

– Słuchamy.

– Chodzi o Marnie.

– Marnie?

– Tak.

– Kto to jest Marnie?

– To moja córka. – Z trudem przełykam ślinę. – Marnie to moja córka.

Wymieniają spojrzenia.

– Gdzie ona jest, proszę pana?

Livia

Stoję przy oknie w sypialni i patrzę, jak Adam idzie przez trawnik. Ma opuszczoną głowę, jakby nie mógł znieść myśli o tym, co zamierza zrobić. Czy naprawdę chce zadzwonić do Marnie? Czy nawet do Roba? Zbiera mi się na wymioty, gdy wyobrażam sobie, jak Jess dowiaduje się o wszystkim, teraz, w środku nocy. Ale potem sobie przypominam, jak prosił Cleo, aby nikomu nie mówiła, bo jeśli to prawda, musi najpierw powiedzieć mnie.

To dlatego nie życzył sobie, żeby Amy została na noc – uświadamiam sobie. Wolał, żeby nie było jej tu rano, gdy będziemy musieli powiadomić Josha o Marnie i Robie. Musimy załatwić sprawę w gronie rodzinnym.

Adam znika mi z oczu i widzę w wyobraźni, jak przeciska się obok namiotu, żeby wejść do szopy. Teraz, gdy wszyscy poszli, ogród wydaje się dziwnie opustoszały, namiot stojący pośrodku trawnika przypomina wielki biały statek, zagubiony na morzu. Na ziemi, niczym porzucone flagi z wezwaniem SOS, leżą nieliczne serwetki, których nie pozbierała obsługa. Pęknięte balony wiszą smętnie na sznurkach, a baner z napisem „WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!” odwiązał się na jednym końcu. To scena jak po jakiejś katastrofie i po plecach przebiega mi dreszcz.

Patrzę za Adamem przez chwilę i wyobrażam sobie, jak dzwoni do Marnie, pyta ją, czy ma romans z Robem. Czy dlatego wciąż nie wychodzi, że stara się jakoś to sobie poukładać? Powinam z nim być; lepiej by było, gdybyśmy razem stawili temu czoło. Czy może, gdy już zna okropną prawdę, czeka, aż się obudzę, żeby mi powiedzieć? To byłoby w jego stylu: nie chce psuć mi humoru, woli zatrzymać złą wiadomość dla siebie, abym przespała się kilka godzin, zanim zdetonuje bombę. Jak to przyjmie, gdy mu powiem, że wiem od kilku tygodni?

Rozbieram się, a potem zrzucam szpilki, zadowolona, że moje stopy wreszcie odpoczną. Rozkładam sukienkę na łóżku; oprócz plamki na dole jest zaskakująco czysta, więc pakuję ją do plastikowego pokrowca i wieszam na drzwiach. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek ją nosiła, chyba że włożę po przyjeździe Marnie, aby zrobiła mi w niej zdjęcie z bukietem żółtych róż. Chociaż jakoś sobie tego nie wyobrażam, przynajmniej na razie.

Ktoś – pewnie Kirin – przyniósł wszystkie moje prezenty do sypialni i widząc olejki do kąpielii, mam ochotę zanurzyć się w wodzie. Chociaż chciałabym już spać, gdy przyjdzie

Adam, wiem, że nie zasnę, jestem zbyt rozemocjonowana, więc przecież nie będę leżała w łóżku i udawała śpiącej.

Napuszczam wody do wanny i wlewam sporą ilość jednego z olejków, żeby powstała piana. Upinam włosy na czubku głowy i zanurzam się w kąpieli aż po ramiona. Cudowne uczucie.

Odtwarzam w myślach przebieg całego wieczoru, od chwili przybycia gości aż do ich wyjścia. Nie mogę się doczekać, żeby obgadać go z Adamem. Chcę wiedzieć, co myśli o tym, że Kirin urodzi bliźnięta, o zjawieniu się mamy i decyzji Josha, aby nie jechać do Nowego Jorku. Jednak wszystkie te sprawy przesłoni romans Marnie i Roba, i czuję przyływ gniewu na myśl, że zepsują nam koniec tak cudownego wieczoru. Czy o tym Adam rozmawiał wcześniej z Nelsonem? Powiedział mu o Robie? Nie, niemożliwe, przecież jeszcze wtedy nie wiedział. Chyba Cleo wtajemniczyła go później? Opadają mi powieki, gdy próbuję to wszystko rozpracować.

Budzę się nagle w stygnącej kąpieli. Zdezorientowana siadam szybko, rozchlapując pianę, i zastanawiam się, jak długo spałam. Wyjmuję korek z wanny, woda bulgocze, znikając w odpływie – brzmi to zbyt głośno w cichym domu.

Kiedy się wycieram, dostaję gęziej skórki. Coś mi się przypomina. Obudził mnie jakiś odgłos, warkot motocykla na ulicy. Nieruchomieję z rozciągniętym za plecami ręcznikiem. To chyba nie był Adam? O tej porze, w nocy, nie wsiadłby przecież na motocykl.

Owijam się w ręcznik, idę do sypialni i wyglądam przez okno. Serce wali mi w piersi z poczucia winy, ale się uspokaja, gdy za namiotem widzę żółtą poświatę padającą z szopy. Jest więc tutaj, nie pojechał wyrównać rachunków. Chciałabym zejść i sprawdzić, czy ma się dobrze, ale coś, może szósty zmysł, podpowiada mi, żebym się z tym wstrzymała, że Adam przyjdzie, kiedy będzie gotowy. Na chwilę ogarnia mnie lęk, jakbym patrzyła w przepaść. Ale uczucie to budzi po prostu ciemny pusty ogród.

Odwracam się od okna i kładę na łóżku. Poczekam jeszcze dziesięć minut i jeśli do tego czasu Adam nie wróci, zejdę do niego.

Adam

Policja eskortuje mnie do domu. Udzielają mi upomnienia, ale łagodnie. Radzą, żebym się przespał, a ja obiecuję, że to zrobię – gdy tylko porozmawiam z Livią. Wiem jednak, że gdy jej powiem, już nie zasnę.

Wchodzę do domu i przytłacza mnie myśl o następnych dniach: powiadomienie wszystkich, procedury na lotnisku, pięciogodzinny lot do Kairu z myślami o Marnie i Livią płaczącą przy moim boku.

W holu podchodzę do szafy, odnajduję swoją skórzaną kurtkę i wyjmuję z wewnętrznej kieszeni niebieski folder agencji turystycznej. Nie potrzebujemy tych biletów, linia lotnicza zorganizowała nam lot – razem z Joshem – już w poniedziałek, czyli jutro, jak sobie uświadamiam. Przedzieram folder na pół i wrzucam do kuchennego kosza na śmieci. A potem idę na górę.

Liv śpi na łóżku owinięta w ręcznik. Oczywiście, że śpi, nie było mnie tyle czasu. Stoję i patrzę na nią, ogarniam ją całą spojrzeniem, upajam się tym, jak wygląda – ma odprężoną we śnie twarz, splątane włosy na ramionach, prawą rękę trzyma nad głową – staram się to zapamiętać, żeby potem przypominać sobie, jaka była, zanim jej powiedziałem.

Siadam na brzegu łóżka.

– Livia – mówię cicho.

Ale śpi mocno i nagle czuję, że nie jestem w stanie jej obudzić. Chyba niczego to nie zmieni, jeśli pozwolę jej pospać trochę dłużej, zwłaszcza że już nigdy potem nie będzie spała tak beztrosko? Najważniejsze to powiedzieć jej, zanim obudzą się wszyscy inni, zanim ktoś jakoś się dowie, co się stało, i zawiadomi ją wcześniej niż ja.

Odchodzę od łóżka, rozbieram się. Sięgam za nią, żeby wyłączyć światło. Ten gest powoduje, że Livia porusza się we śnie. Moje serce przyspiesza. Wstrzymuję oddech, bo nie chcę, żeby się obudziła.

Uspokaja się, więc siadam przy niej i wpatruję się w ciemność. Czuję się taki samotny, nieznośnie samotny. Pod wpływem pragnienia, żeby ktoś mnie uściskał, wyciągam ręce i obejmuję Livię. Ona w odpowiedzi bierze mnie w ramiona i na kilka cudownych sekund jest mi lepiej. Teraz mogę jej powiedzieć, w mroku wyszeptać do ucha, przytulić ją, gdy wpadnie w rozpacz. Będę przy niej, choć nie byłem przy Marnie.

– Długo siedziałeś w szopie – mamrocze.

– Przepraszam.

– Nie chciałam zasnąć.

– To nieważne. Jesteś zmęczona.

Jej dłoń odnajduje w ciemności moją twarz i sunie po niej.

– Ty też.

– Trochę.

– To był wspaniały dzień. – Zbliża usta do moich. – Dziękuję ci za wszystko.

Nie mogę zwlekać.

– Livio...

– Nie teraz.

Ściąga z siebie ręcznik i przysuwa się do mnie, przywiera całym ciałem, pragnie mnie, ale ja się wzdrygam, bo przecież nie mogę, nie możemy. Ale przyciągają mnie miękkość jej skóry i dotyk palców, aż w końcu chcę tylko zapomnieć, wymazać z pamięci to, co się stało, żeby było tak jak kiedyś, tak jak już nigdy nie będzie. Więc wyrzucam wszystko z głowy i myślę jedynie o Livii, o nas, ten ostatni raz.

Livia

Adam ciężko opiera głowę na moim ramieniu, a ja obejmuję go ciasno. Jest tak wyczerpany, że chyba nic go nie obudzi. Mam poczucie winy, że zasnąłam, że nie czekałam, aż wróci z szopy, a jeszcze bardziej dlatego, że aby nie słyszeć, co zamierza mi powiedzieć, posłużyłam się seksem. Biedny Adam. Nigdy bym nie użyła słowa „kruchy”, opisując go, ale jest w nim coś kruchego, co budzi we mnie lęk. Od wczoraj bardzo się zmienił. Wcale mnie to nie dziwi: dowiedzieć się, że ukochana córka sypia z twoim znajomym, kimś, kogo niezbyt lubisz, to jedna najgorszych rzeczy, jakie mogą ci się zdarzyć. Gdyby jeszcze nie dowiedział się o tym na moim przyjęciu urodzinowym.

I wtedy dociera do mnie – był zdenerwowany już przed przyjęciem, więc kiedy to się stało? Analizuję kolejne wydarzenia. Kiedy się wczoraj obudziliśmy, sprawiał wrażenie normalnego, podobnie podczas śniadania. Potem pojechałam z Kirin i Jess do spa i zostawiłam go z Joshem. Po jakimś czasie wybrał się do miasta, podobno po prezent dla mnie, i wrócił z migreną. Później ten jego telefon do rodziców, nie wiadomo w jakiej sprawie. To, jak potraktował Amy. Rozmowa z Nelsonem, kiedy sprawiał wrażenie zestresowanego. To wszystko było do niego niepodobne. A co chciał mi powiedzieć, gdy byliśmy razem w ogrodzie, jeszcze przed przyjęciem? Czy właśnie o Marnie i Robie? Jeśli tak – bo nic innego nie przychodzi mi do głowy – musiał dowiedzieć się o ich romansie, gdy był w mieście.

Wszystko na to wskazuje – uświadamiam sobie. Dlatego był taki wytrącony z równowagi po południu. Udawanie, że o niczym nie wie, zwłaszcza wobec Roba, musiało go wiele kosztować. Jeśli mnie było trudno, to jemu jeszcze trudniej, bo na pewno miał ochotę rozerwać drania na strzępy. Ja przez dwa dni dochodziłam do siebie. Adam nie miał możliwości, żeby poukładać sobie wszystko w głowie przed spotkaniem z nim. Dlatego wtedy, podczas tamtej scysji o pudło, wyglądał, jakby chciał go zabić. Więc jednak musiał rozmawiać z Nelsonem o Marnie i Robie. Nelson nie chciał mu uwierzyć i pewnie powiedział coś w stylu: „Mój braciszek nie zrobiłby czegoś takiego”, co by tłumaczyło wręcz histeryczny śmiech Adama.

Dlatego zadzwonił po południu do ojca – pewnie chciał to z nim omówić i w ostatniej chwili zrezygnował, bo czuł, że najpierw musi powiedzieć mnie. Co oznacza, że Cleo podzieliła się z nim swoimi podejrzeniami przed południem. Może natknęli się na siebie w mieście, poszli razem na kawę i sprawa wyszła na jaw. Dlatego Adam nie miał dla mnie

prezentu – bo gdy się dowiedział, wszystko inne wyleciało mu z głowy. To również wyjaśniałoby jego migrenę – wymyślił ją, żeby uzasadnić swoje przygnębienie.

Biedna Cleo, biedny Adam, strasznie mi ich szkoda. Muszę obudzić Adama i mu powiedzieć, że wiem już o Marnie i Robie, wiem od czasu, gdy Rob i Cleo pojechali do Hongkongu. Ale... serce mi się ściska. Będzie wściekły, że pozwoliłam, aby pił i żartował z kimś, kto tak okropnie nas zdradził. Stanie się to, czego tak się obawiam. Pomyśli, że milczałam o tym przez sześć tygodni – sześć tygodni, nie kilka godzin jak on – bo nie chciałam zrezygnować z przyjęcia.

Leżę przez chwilę i zastanawiam się nad tym, wyrzucając sobie, że tak myślę. Dlatego gdy tylko Adam się obudzi, pozwolę, żeby opowiedział mi o Marnie i Robie, i będę udawała, że o niczym nie wiedziałam. Pozostanie mi tylko uprzedzić Maxa, żeby mnie nie wydał. Wstyd mi, że w ogóle dopuszczam do siebie myśl, aby okłamać Adama i jeszcze wciągnąć w to innych. Ale tak będzie łatwiej. Napięcia są nieuniknione. Po co je zwiększać, mówiąc Adamowi, że już wiem o tym, o czym tak desperacko pragnie mnie zawiadomić?

Powoli wysuwam ramię spod głowy Adama i delikatnie zabieram rękę, gotowa się zatrzymać, gdyby tylko się poruszył. On jednak śpi i nie czuje, że już go nie obejmuję. Cicho wstaję z łóżka, wciągam T-shirt i jakieś dzinsy, wsuwam stopy w kapcie i bezszelestnie schodzę po schodach. Chociaż obsługa przyjęcia zabrała ze sobą zastawę i sztucce, w zlewie leży kilka naszych naczyń, a podłoga wymaga umycia.

Mój tort stoi z boku, przykryty folią. Już na sam jego widok robię się głodna i uzmysławiam sobie, że podczas przyjęcia jadłam i piłam bardzo niewiele. Za każdym razem, gdy ktoś podawał mi jakiegoś drinka, pociągałam z niego zaledwie łyk, bo potem musiałam odstawić kieliszek. Zabieram się do roboty, wkładam do zmywarki, co się da, a resztę, większe naczynia, myję ręcznie. Chowam wszystko do szafek, wycieram blaty, potem parzę sobie kawę i zmywam podłogę w kuchni.

Wychodzę z kawą do ogrodu. Mam wrażenie, jakbym była jedyną osobą na świecie, która nie śpi. Gdy Josh i Marnie byli mali, często wstawiałam wcześniej i wykonywałam prace domowe. Później dobrze się czułam, nie musiałam się stresować, że mam coś do zrobienia. Cieszę się, że udało mi się doprowadzić dom do normalnego stanu, zwłaszcza że niedługo znowu zjawią się goście.

Dopiero wtedy dociera do mnie, że teraz, gdy Adam wie o Marnie i Robie, nikt nie przyjdzie dziś na lunch.

Adam

Gwałtownie się budzę, serce wali mi w piersi. Wiem, że stało się coś strasznego, i usiłuję sobie przypomnieć co. I wtedy to do mnie wraca. Marnie nie żyje. Leżę bez ruchu i staram się opanować straszliwie bolesne poczucie straty, które ogarnia całe moje ciało. Uświadamiam sobie, że już zawsze tak będzie. Kilka pierwszych sekund nieświadomości, a potem wraca rzeczywistość, która niesie ze sobą cierpienie.

Czy to dobrze, że przy moim boku nie ma Livii? Tak, bo gdyby była, musiałbym jej od razu powiedzieć, w tej chwili. Pewnie jest w łazience, a to oznacza, że mogę jeszcze na chwilę to odwlec. Staram się nie myśleć o niczym, odciąć się od tego koszmaru, jakim jest śmierć Marnie, ratować się, żeby móc powiedzieć Livii, nie załamując się przy tym. Ale to niemożliwe.

Najbardziej będzie mnie prześladowało to, że nie wiem. Nie wiem, czy Marnie miała świadomość, że zginie. A ponieważ się nie dowiem, zawsze będą mnie dręczyć myśli, że tak, miała tę świadomość, że spodziewała się przez kilka sekund, nawet minut, co ją spotka. Nigdy nie pogodzę się z tym, że musiała samotnie stawić czoło śmierci, nigdy.

Zawsze bardzo żałowałem, że nie byłem przy jej narodzinach, bo siedziałem w pubie z Nelsonem. Gdy wreszcie odnalazła mnie Jess, poród się skończył. Czy to coś znaczy, że nie było mnie też, gdy moja córka umierała? Może to koszt tego, że zanim się urodziła, nie bardzo mi na niej zależało? Że w ogóle jej nie chciałem.

Dźwięk otwieranych tylnych drzwi i kroki na tarasie mówią mi, że Livia jest na dole, nie w łazience. Ciekawe, jak dawno temu wstała. Przez otwarte okno dochodzi jej podśpiewywanie i przepełnia mnie dotkliwy smutek. To ostatni raz, kiedy obudziła się radosna na myśl o nowym dniu.

Z ogromnym wysiłkiem sięgam po swój telefon. Robię to tylko po to, żeby sprawdzić, która godzina – muszę wiedzieć, ile mam jeszcze czasu. Jest za piętnaście szósta. Zaraz wszędzie słońce. W ogrodzie będzie pięknie, może trochę chłodno, ale pięknie. Czy tam mam jej powiedzieć, na murku, naprzeciwko ogrodu Marnie, wśród wspomnień wczorajszego dnia? Czy zdjęcia jeszcze pogorszą sprawę, jeśli w ogóle może być gorzej?

Powiem jej za piętnaście minut, zanim obudzi się Josh, zanim goście zaczną dzwonić do nas z podziękowaniami za udane przyjęcie.

Livia

Uwielbiam nasz ogród wczesnym rankiem, zanim ptasi śpiew zagłuszą ludzkie głosy, warkot kosiarek i narzędzi elektrycznych. Idę po trawie i po drodze podnoszę porzucone serwetki, kapsle od butelek, korki. Mimowolnie nucę *Unchained Melody*, piosenkę, do której zeszłej nocy tańczyliśmy z Adamem, i nie mogę się nadziwić, że jestem taka zrelaksowana, chociaż wiem, co przyniesie dzień. Może dlatego, że to Adam powie mi o Marnie i Robie, bo gdybym ja miała powiedzieć jemu, martwiłabym się, jak to zrobić. Mam wyrzuty sumienia, że zamierzam udawać niczego nieświadomą, aby ratować swoją skórę. Może nie powinnam tak postępować – myślę z niepokojem – może powinnam wyznać prawdę.

Próbuję zdjąć pęknięte balony, ale potrzebuję nożyc, żeby przeciąć sznurki, więc idę po nie do kuchni, zabierając ze sobą serwetki i kapsle. Gdy mam wyrzucić śmieci do kubła, zastygam w bezruchu. Bo na resztkach jedzenia leży folder agencji turystycznej, ten, który dałam Adamowi na przyjęciu. W dodatku jest przedarty.

Pochylam się i z sercem pełnym lęku wydaję obie jego części. Nie rozumiem. Dlaczego Adam wyrzucił bilety, które dla nas kupiłam? Sądziłam, że wyjazd, aby zwiedzić ten wiadukt, to świetny prezent dla niego. Czyżbym się pomyliła?

Biorę przedarty folder i idę z nim do stołu. Siadam na krześle z dziwnym uczuciem, że zaraz się rozplącę. Adam rzeczywiście wcale się nie ucieszył, kiedy wczoraj ofiarowałam mu te bilety. Myślałam, że niepokoi go perspektywa wzięcia urlopu; teraz wydaje mi się, że po prostu nie ma ochoty jechać. To do niego takie niepodobne, żeby nie okazać wdzięczności za prezent, nawet nietrafiony, jak swetry, które co roku na Boże Narodzenie daje mu ciotka. Nawet jeśli ani razu nie włoży żadnego z nich – ma całą szufladę takich prezentów – to kiedy je odpakowuje, udaje, że właśnie o czymś takim marzył. Stara się nie ranić niczyich uczuć – a właśnie zranił moje tym, że nie chce zobaczyć wiaduktu Millau i podarł bilety na podróż. Żeby tak zareagować, musiał być zły, poirytowany, sfrustrowany.

Sfrustrowany. Może Adam jednak nie przeboleał tego, że nie został inżynierem. A jeśli to poczucie niespełnienia tkwi w nim gdzieś głęboko, razem z innymi niezrealizowanymi pragnieniami? I tylko w głupi sposób go uraziłam? Nie pomyślałam, żeby przed kupnem biletów porozumieć się z Mikiem albo Nelsonem, zapytać ich, co sądzą o tym pomysle. Może zasugerowałiby mi inny prezent. Bo jeśli Adam żałuje, że nie został tym, kim chciał, nie dokonał tego, czego pragnął, byłabym ostatnią osobą, której by się z tego zwierzył.

Po policzkach spływają mi łzy, wycieram je ze złością. Wolałabym, żeby przyszedł i powiedział mi prawdę, zamiast drzeć bilety. Co mam teraz zrobić? Zapytać go o to? Kręcę głową. Nie, to wszystko do siebie nie pasuje, nie ma sensu. Znam Adama, gdyby faktycznie nie chciał jechać do Francji, żeby obejrzeć ten wiadukt, powiedziałby mi wprost i jeszcze znalazłby wyjście z sytuacji. Zaproponowałby, żebyśmy zatrzymali się gdzieś w pobliżu Montpellier, nie w samym Millau, i zwiedzili okolicę. Może nie chciał rozmawiać ze mną o tym zeszłej nocy i wróci do tematu dziś rano. Wtedy mu powiem, że wszystko w porządku, zrobimy, jak zechce. Najważniejsze, żeby przyjemnie spędził kilka wolnych dni.

Nie jestem pewna, czy w agencji turystycznej zechcą zwrócić pieniądze za bilety, ale zawsze mogę o to spytać. Przede wszystkim będę musiała je skleić, bo tak jak mnie nie spodoba im się, że zostały podarte.

Wyjmuję bilety z folderu i składam je, najpierw Adama, potem swój. I wytrzeszczam oczy, bo jako cel podróży widnieje nie Montpellier, ale Kair. Opieram się o ścianę, zachodząc w głowę, o co tu chodzi. Nie rozumiem, skąd ta pomyłka. Przypominam sobie, że dziewczyna z agencji turystycznej, zanim włożyła bilety do folderu, razem ze mną sprawdzała, czy wszystko się zgadza, a nie mogła zamienić ich z innymi, bo są wystawione na nasze nazwisko, jest to napisane jak byk. I wtedy zauważam datę i czas wylotu: dziewiąty czerwca, godzina dziesiąta trzydzieści. To dziś. Za kilka godzin.

Czuję się, jakbym błędziła po manowcach. To nie są bilety, które kupiłam, te zostały kupione przez kogoś innego. Najwyraźniej przez Adama. Ale po co miałyby kupować bilety do Kairu na dziś? W dodatku nic mi o tym nie mówiąc? Chyba że chciał mi sprawić niespodziankę, tak jak ja jemu. Tyle że ja go ubiegłam.

Czuję się okropnie. Nic dziwnego, że się nie ucieszył, gdy zobaczył bilety do Montpellier. Wiedział, że nie będziemy mogli polecieć tam we wtorek, bo wcześniej wyjeżdżamy do Kairu. To również tłumaczy, dlaczego nie dał mi na przyjęciu żadnego prezentu – jak mógł to zrobić, mając świadomość, że jego niespodzianka kłóci się z moją? Ale ponieważ pewnie wykupił pobyt w ośrodku turystycznym, logiczniej byłoby odwołać podróż do Francji niż do Egiptu.

Myśl, że Adam zaplanował ten wyjazd, bardzo mnie wzrusza. Jakiś czas temu oglądaliśmy razem ofertę wycieczek i wtedy wspomniałam – pamiętam – że zawsze chciałam zobaczyć piramidy, bo w dzieciństwie, zanim rodzice powiedzieli mi, że mam pójść na studia medyczne, marzyłam, aby w przyszłości zostać archeologiem. Pewnie wówczas wpadł na pomysł, że kupi te bilety jako niespodziankę dla mnie. Może nawet nie zamierzał mi ich dać, może planował, że każe mi się spakować na podróż, tak że dopiero na lotnisku bym się dowiedziała, dokąd jedziemy. To byłoby cudowne. I wciąż jest możliwe. Bo gdybym miała wybierać, zamiast wiaduktu Millau wolałabym zobaczyć piramidy.

Adam

Już mam wstać z łóżka i iść do Livii, gdy słyszę jej kroki na schodach – idzie tak, jakby właśnie coś odkryła. Ściska mnie w żołądku. Ona wie. Zrywam się, gotowy ją podtrzymać, ale gdy wchodzi do pokoju, sprawia wrażenie takiej uradowanej, jakby doznała wielkiej ulgi, że zamieram.

– Jesteś idealnym facetem – mówi i rzuca się na łóżko obok mnie. Ujmuje w dłonie moją twarz i spogląda mi głęboko w oczy. – Nie wiem, czy najpierw wyrazić ci swoją wdzięczność, czy żal.

– Co masz na myśli? – pytam ostrożnie.

– Jeszcze nie jest za późno, możemy tam jechać. – Patrzę na nią nierozumiejącym wzrokiem. – No, do Kairu! – Śmieje się. – Znalazłam bilety lotnicze. Nieważne, że są przedarte, pewnie można je na nowo wydrukować.

Zdejmuję jej ręce ze swojej twarzy i zatrzymuję w dłoniach.

– Livio.

– Powinieneś był mi powiedzieć – ciągnie, nie dopuszczając mnie do głosu. – Już rozumiem, dlaczego nie wydawałeś się szczególnie zadowolony z tej podróży do Millau. Powinieneś był mi powiedzieć, że już wykupiłeś wyjazd w inne miejsce. Nie miałabym nic przeciwko temu.

To jakiś nowy koszmar.

– Nie o to chodzi. Nie jedziemy do Kairu. To znaczy jedziemy, ale nie dziś.

– Wymieniłeś bilety? Och, to świetnie! Teraz mamy w perspektywie dwie podróże! Kiedy wylatujemy?

– Jutro, ale posłuchaj, Livio...

– Ojej, przełożenie wyjazdu na jutro niewiele zmienia. – Jest zdezorientowana, jej oczy przybierają pochmurny wyraz. – W takim układzie też nie będziemy mogli wyjechać do Montpellier. Ale i tak wolę urlop nad morzem.

– Livio! – mówię z desperacją. – Wysłuchasz mnie? – Patrzy na mnie zaskoczona. – Nie jedziemy do Kairu, żeby plażować...

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że... wiem, to jedna z tych wycieczek objazdowych, podczas których nocuje się w różnych miejscach! To nie to samo, co leżenie na plaży, ale też będzie świetnie!

– Nie. Nie w tym rzecz.

– No to w czym?

Znowu biorę ją za rękę.

– Livio, muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego, więc słuchaj.

Wreszcie przestaje się śmiać i poważnieje. I nie do wiary, kiedy próbuję znaleźć słowa, wyrzuca z siebie:

– W porządku, Adamie, wiem wszystko.

Robi mi się gorąco, potem zimno i znowu gorąco. Na jedną błogą chwilę świat znika mi sprzed oczu, a razem z nim Livia.

– Nie – odpowiadam, kiedy odzyskuję jasność przed oczami. – Niemożliwe. Nie wiesz tego, co zamierzam ci powiedzieć.

– Chodzi o Marnie, prawda?

Rozpadam się na kawałki. Gwałtownie puszczam jej dłonie.

– Ty... naprawdę wiesz?

– Tak, i jestem tak samo wstrząśnięta jak ty. – Głos jej się łamie, a w oczach pojawiają się łzy. – Co się z nami wszystkimi stanie?

Odrzucam kołdrę i wstaję z łóżka, bo nie mogę leżeć przy niej, próbując ogarnąć to rozumem. Jest przygnębiona, ale czy nie powinna rozpaczać? Czy nie powinno pękać jej serce, łzy płynąć z oczu? Kiedy weszła, wydawała się taka uszczęśliwiona... była uszczęśliwiona. Jak może nadal funkcjonować?

– Adamie – mówi błagalnie i wyciąga do mnie rękę.

– Kiedy się dowiedziałeś? – pytam szorstko, nie zwracając uwagi na ten jej gest.

Waha się przez ułamek sekundy.

– Wczoraj.

Wie od wczoraj?

– Kiedy dokładnie?

– Podczas przyjęcia.

– O której godzinie? – indaguję ostro.

– Dlaczego jesteś na mnie taki zły? Czy to ważne, o której godzinie się dowiedziałam?

– Chcę wiedzieć, czy to było po tym, jak sobie tańczyłaś, czy przed!

Wstaje szybko i staje przede mną.

– A ty? Dalej żartowałeś z Robem! Bo kiedy ty się dowiedziałeś, Adamie? Wczoraj przed przyjęciem! I go nie odwołałeś!

– Nie chciałem ze względu na ciebie, Livio! Pragnąłem, żebyś ostatni raz zaznała szczęścia!

– Przestań dramatyzować! Wiem, że nie będzie łatwo, ale nie ma co mówić, że już nigdy nie będziemy szczęśliwi... – Zbliża się do mnie. – Posłuchaj, trudno ci pogodzić się z tym, że Marnie nie jest aniołem, za jakiego ją miałaś, ale to jeszcze nie koniec świata.

Wpatruję się w nią.

– Co... co ty mówisz?

– To nie koniec świata, że nie jest aniołem, za jakiego ją uważałeś. Jeśli masz się na kogoś gniewać, to na Roba. On ponosi odpowiedzialność za to wszystko.

Kręcę głową. Z trudem łapię oddech, z trudem myślę.

– Liv, co Rob ma z tym wspólnego?

Jej oczy się rozszerzają.

– O Boże – mówi, podnosząc dłoń do ust. – Jak to, nie wiesz, że chodzi o Roba? – Przygląda mi się badawczo. – Myślałeś, że o Maxa, dlatego wczoraj byłeś dla niego taki szorstki? – Kładzie mi rękę na ramieniu. – Bardzo mi przykro, Adamie, ale to nie Max, tylko Rob.

– Co Rob? – pytam kompletnie zdezorientowany.

– Rob sypia z Marnie. To próbuję ci powiedzieć, Adamie. Marnie ma romans z Robem, nie Maxem... zresztą z nim to nie byłby żaden romans, bo Max nie jest żonaty, w przeciwieństwie do tamtego podłego cudzołożnika! – kończy gniewnie.

Myślałem, że sięgnąłem dna, że nie może już być gorzej. Ale to, co właśnie powiedziała Livia – nie mogę tego nawet objąć umysłem. Opadam na łóżko. Ona musi się mylić. Marnie nigdy, przenigdy nie wdałaby się w romans z kimś takim jak Rob. Nie i już. Nie zrobiłaby czegoś takiego ani Jess, ani nam. Livia na pewno się myli, nie może być inaczej.

Jakby wiedziała, o czym myślę, przykuca na podłodze i pochyla się ku mnie, tak że nasze czoła się stykają.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale taka jest prawda – mówi cicho i ujmuje moje dłonie. – Sypiają ze sobą od ponad roku. Z tego, co powiedział mi Max, to musiało się zacząć podczas jej pierwszego roku w Durham. Rozstali się tuż przed tym, jak Marnie wyjechała do Hongkongu. Wiedziała, że ona kogoś ma, ale nie orientowałam się, że to Rob, zresztą nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego jest możliwe. Gdyby przyszło, tobym... tobym... – Nie kończy. – Dlatego właśnie była tak nieszczęśliwa w pierwszych miesiącach po wyjeździe. I wtedy on pojechał do niej, w grudniu, gdy rzekomo wysłali go w podróż służbową do Singapuru, i wszystko zaczęło się od nowa. – Śmieje się z goryczą. – I wiesz co? Nie pojechał z Cleo do Hongkongu dlatego, że Jess bała się puścić ją samą, to był tylko pretekst. Towarzyszył jej, żeby spotkać się z Marnie. Zobaczyłam go na FaceTimie, podczas rozmowy z Marnie, jak nagi wychodził z hotelowej łazienki. W pierwszej chwili myślałam, że to jakiś jej chłopak, ale to był Rob.

Zdaję sobie sprawę, że Livia mówi. Czuję na twarzy jej oddech, gdy wyrzuca z siebie kolejne słowa. Ale ledwie je rejestruję, bo myślę tylko o tym, że wciąż nie wie, wciąż nie wie, że Marnie nie żyje.

Opuszczam wzrok i patrzę jej w oczy.

– Livio, nie to chciałem ci powiedzieć.

Patrzy na mnie z konsternacją.

– Ale przecież mówiłeś, że wiesz o Marnie.

– Tak, rzeczywiście.

– Więc co miałaś na myśli?

Pociągam ją w górę i sadzam na łóżku obok siebie, wciąż trzymając ją za rękę.

– Livio – zaczynam, obracając się do niej.

– Chodzi o ciążę?

Znowu doznaję wrażenia, jakbym żył w jakimś równoległym świecie.

– Nie, nie chodzi o ciążę – odpowiadam. Nie nadążam za tokiem jej myśli, nie rozumiem, skąd to nagłe nawiązanie do Kirin.

– Więc o co? – pyta wręcz ze zniecierpliwieniem.

Otwieram usta, ale wydobywa się z nich tylko drżące westchnienie.

– Przerażasz mnie, Adamie! – Ze strachu jej głos brzmi ostro. – Powiedz wreszcie.

Zrobiłbym to, gdybym tylko umiał. Pocieram kciukiem wierzch jej dłoni.

– Livio, przykro mi, ale zdarzył się wypadek.

Krew odpływa jej z twarzy.

– O Boże, to ma coś wspólnego z Marnie? Co się stało? Jest ranna, leży w szpitalu?

– Nie, nie jest ranna. Ona... nie udało jej się, Livio. Marnie odeszła.

Świat się zatrzymuje. Nawet nie oddychamy.

– Odeszła? – pyta Livia, odzyskując głos. – Jak to „odeszła”? Dokąd?

– Tak mi przykro, Livio. – A myślałem, że to nie może bardziej boleć. – Marnie... zginęła.

Ona... nie żyje.

Wyrywa rękę z mojego uścisku.

– Przestań, Adamie! Jak możesz mówić coś takiego? Nie! Nie, słyszysz?! Nie wygaduj głupot! Ma romans i tyle!

Próbuję przyciągnąć ją do siebie, ale się nie daje.

– Livio, to prawda. Żałuję, ale tak jest, to prawda. Leciała do domu, żeby zrobić ci niespodziankę, chciała przyjechać na twoje przyjęcie urodzinowe, ale samolot... samolot się rozbił. Spadł podczas startu z lotniska w Kairze.

– W Kairze? – Powoli wypowiada tę nazwę. – Skąd Marnie wzięłaby się w Kairze, pomyliło ci się. Marnie mieszka w Hongkongu, wyskoczyła na weekend, ale nie do Kairu, to za daleko. Ktoś wspomniał na przyjęciu o katastrofie samolotu, ale chodziło o lotnisko kairskie. Wszystko w porządku, Adamie, coś ci się pomieszało, byłeś zamyślony i ci się pomieszało.

– Nie. Dlatego jutro wyjeżdżamy, żeby zobaczyć, gdzie Marnie...

– Nie! – Zasłania rękami uszy. – Nie chcę tego słuchać! Nie rozumiesz, co mówisz, nie rozumiesz!

Nigdy bym się nie spodziewał, że tak zareaguje – że nie będzie chciała pojąć, co do niej mówię. Chcę na nią nawrzeszczyć, że musi zrozumieć, bo nie mam jak inaczej ją zawiadomić, że Marnie nie żyje. Ale zamiast tego zdejmuję jej rękę z uszu, biorę ją w ramiona i mocno przytulam.

– Tak mi przykro, Livio, ale Marnie była na pokładzie tego samolotu, który się rozbił. Leciła do domu, na przyjęcie, przez Kair i Amsterdam. Wiesz, że nie mówiłbym ci tego, gdyby to nie była prawda. Tak mi przykro, tak mi przykro.

Wyrywa jej się jęk, gdzieś z głębi trzewi, taki jak wtedy, gdy wydała na świat Josha, taki jak wtedy, gdy wydała na świat Marnie, tyle że wówczas nie było mnie przy niej. Przyciskam ją do siebie, przejmując jej ból. Z moich ust wylewają się głupie, bezużyteczne frazesy, których tak bardzo nie chciałem wypowiadać.

– W porządku, Livio, w porządku, wszystko będzie dobrze, obiecuję, wszystko będzie dobrze. – Ale ona nie słyszy, jest poza zasięgiem słuchu, poza zasięgiem czegokolwiek oprócz straszliwie bolesnego poczucia straty.

Drzwi sypialni gwałtownie się otwierają i staje w nich przestraszony Josh. Josh, zapomniałem o nim.

– Mamo! – Patrzy na Livię, wspartą na mnie, i ogarnia go panika. – Tato, co się stało? Co się stało? Coś z dziadkiem? Z babcią?

To nie tak miało być. Miałem powiedzieć najpierw Livii, potem Joshowi, oddzielnie, żeby każdemu z nich służyć wsparciem. Wyciągam do niego rękę.

– Josh. Podejź.

On jednak stoi jak wryty, sparaliżowany przez strach.

– Co się stało? Tato, co się stało?

Livia okropnie szlocha i trudno mi ją przekrzyczeć.

– Musisz podejść. Proszę.

Zbliża się i siada na łóżku.

– O co chodzi, co się dzieje?

Kładę mu rękę na ramieniu.

– Chodzi o Marnie, Josh. – Nie mogę mówić dalej, bo na dźwięk jej imienia Livia szlocha jeszcze bardziej.

– Jak to o Marnie? – Panika w jego oczach rośnie. – Miała jakiś wypadek?

– Samolot się rozbił. Przykro mi, Josh, ale Marnie była na jego pokładzie.

– Samolot się rozbił? Gdzie? Jak?

– W Kairze. Marnie leciała do domu, miała ci zrobić niespodziankę i zjawić się na przyjęciu. Samolot spadł, podczas startu.

Josh wpatruje się we mnie.

– Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć... – Próbuje inaczej. – Nic jej się nie stało, prawda?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, nie, przykro mi. – Czeka na dalszy ciąg. – Ona odeszła. Marnie zginęła w tej katastrofie.

Tak błędnie, że aż się o niego boję. Kładę mu rękę z tyłu głowy i przyciągam go do siebie razem z Livią. I trzymam ich oboje, gdy rozpaczają.

Livia

Wszystko się zatrzymuje. Nie mogę oddychać, napierają na mnie ściany pokoju.

To nie może być prawda. To nie dzieje się w rzeczywistości, nie pewno nie. Nie rozumiem, nie rozumiem, dlaczego Marnie znalazła się w Kairze. Miała wyjechać, żeby uczyć się w spokoju, więc co robiła w Kairze? Kair to hałaśliwe miasto, trudno tam o spokój. Adam mi powtarza, że była w drodze do domu, na przyjęcie, ale nie ma w tym żadnego sensu. Po co miałyby lecieć do Kairu, jeśli jechała tutaj? Adam wyjaśnia to kolejny raz, mnie i Joshowi, ponieważ Josh nie pojmuje tak samo jak ja. Mówi, że leciała do Amsterdamu, ale to też jest bezsensowne. Josh, biedny Josh. Cieszę się, że wreszcie się uciszył, bo nie mogłam znieść, jak płakał, całe jego ciało drżało i to drżenie przez Adama docierało do mnie. I przebiło się przez mój ból, tak że byłam w stanie go pocieszyć.

– Co teraz zrobimy, tato? – mamrocze. W jego głosie brzmi taki lęk, że serce mi pęka. – Co zrobimy?

– Przejdziemy przez to, musimy być silni ze względu na siebie wzajemnie – odpowiada Adam. – Powinniśmy pamiętać o tych, którzy kochają Marnie tak samo jak my, myśleć o tym, jak im powiedzieć. Musimy być silni ze względu na nich, na babcię, dziadka... – Urywa, bo konieczność powiadomienia rodziców zupełnie go przerasta.

– Nie. – Josh kręci głową. – Chodzi mi o to... co zrobimy bez Marnie?

– Przejdziemy przez to – mówi w kółko Adam i nie mogę się nadziwić, skąd u niego ta determinacja. – Nie wiem jak, ale przejdziemy. Musimy. – Trochę łamie mu się głos. – Marnie tego by chciała.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nie chcę uwierzyć.

– Wiem, Josh – odpowiada delikatnie Adam. – Wiem.

– To nie może być prawda – powtarza Josh nie wiadomo który raz. – Nie może i już. Jesteś pewny, tato, jesteś pewny?

– Josh, proszę...

Wygląda na to, że Adam jest na skraju załamania, i to mnie przeraża, bo musi być silny. Więc zamiast go pytać, czy naprawdę, naprawdę ma pewność, że Marnie leciała tym samolotem – bo jak Josh nie mogę w to uwierzyć – lekko ściskam jego rękę, mówiąc mu bez słowa, że zdaję sobie sprawę, jak niewiarygodnie trudno mu odpowiadać na te nasze niekończące się pytania. Jednak musi się mylić, musi. Tylko potrzebuje czasu, żeby zdać sobie z tego sprawę.

Więc milknę, daję mu czas, żeby to przemyślał, i Josh idzie za moim przykładem. Ale cisza się przedłuża i powietrze w pokoju staje się aż ciężkie od rozpacz. Czuję ją na skórze, mam jej smak w ustach, zapach w nozdrzach. I wtedy to do mnie dociera.

Z oczu ciekną mi łzy. Chyba nigdy nie przestaną.

– Jak powiemy wszystkim? – pytam, poddając się.

Ciało Adama reaguje wielką ulgą na to, że wreszcie przyjąłem do wiadomości straszną prawdę.

Chrząka.

– Może poproszę Nelsona, żeby wszystkich powiadomił. Oprócz mamy i taty. Im muszę powiedzieć osobiście.

– Dobrze, że jest z nimi Izzy – odpowiadam zdumiona, jaka muszę wydawać się opanowana.

– Czy teraz rozumiecie, dlaczego nie mogłem pozwolić, żeby Amy u nas nocowała? – pyta. – Uznałem, że lepiej dla niej, jeśli nie będzie jej tutaj, gdy... – Waha się. – No wiecie, gdy wam powiem.

– Jak się dowiedziałeś, tato? – Josh się zacina. – Ktoś do ciebie zadzwonił czy jak?

– Nie. Wiedziałem, jaką trasą będzie leciała Marnie, to była nasza tajemnica. Kiedy usłyszałem o tej katastrofie, nie pomyślałem, że to jej dotyczy, a kiedy zdałem sobie sprawę, że jednak tak, doszedłem do wniosku, że to niemożliwe, bo wcześniej przysłała mi wiadomość, że wylatuje z Hongkongu z opóźnieniem i nie zdąży na samolot z Kairu. Ale później dotarło do mnie, że lot z Kairu także był opóźniony, więc niewykluczone, że na niego zdążyła. Ale wciąż istniała szansa, że nie.

Gwałtownie unoszę głowę.

– Więc może nie zdążyła – mówię, czepiając się nadziei. – Adamie, a jeśli Marnie jednak nie zdążyła na ten samolot?

Boleśnie przełyka ślinę.

– Zdążyła. To zostało potwierdzone.

– Kiedy? Jak?

– W nocy, po wyjściu Amy, zadzwoniłem do linii lotniczych. Podano mi numer, pod którym mogę zasięgnąć informacji.

– Po wyjściu Amy? To dlatego poszedłeś do szopy?

– Tak.

– Ale przecież... – Odsuwam się od niego, myśląc gorączkowo. Jeśli Adam po powrocie do domu wiedział, że Marnie... że Marnie nie... to dlaczego wtedy mi nie powiedział? A potem jeszcze się kochaliśmy? Nie, wykluczone, przecież Adam już wiedział. To musiało być wcześniej. Chcę go o to zapytać, muszę wiedzieć. Ale nie mogę, nie przy Joshu.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś, tato? – wypytuje ze złością Josh, chociaż wiem, że to nie na Adama się gniewa. – Nie powinieneś przechodzić przez to sam. Dlaczego nie obudziłeś nas zaraz po tym, jak się dowiedziałeś?

– Pomyślałem, że pozwolę wam jeszcze pospać. Uznałem, że kilka godzin nie zrobi różnicy.

– Zrobiłoby różnicę dla ciebie. To musiało być straszne, dusić coś takiego w sobie. – Kręci głową. – Trzeba było mnie obudzić, tato.

Mimo że nie mogę się połapać, czy kochaliśmy się wcześniej, czy jednak później, serce mi krwawi na myśl o Adamie, o tym, że chcąc oszczędzić nam cierpienia, cały ciężar związany z tą wiadomością wziął na siebie. Nagle przychodzi mi do głowy inna refleksja, inna zagadka.

– Więc jak to się stało? – pytam.

– Jeszcze nie wiedzą. Nic nie chcieli mi powiedzieć. Mówili, że odbędzie się śledztwo. Dowiemy się więcej na miejscu, tak mi się przynajmniej zdaje.

– Na miejscu? – Josh nie rozumie.

– W Kairze. Mama i ja lecimy tam jutro. Ty też możesz, jeśli chcesz. Zarezerwowali dla nas miejsca w samolocie. Ale nie musisz nam towarzyszyć.

– Oczywiście, że muszę! – odpowiada gniewnie.

– Nie – przerywam im. – Chodzi mi o coś innego. Jak dowiedziałeś się o Marnie?

– Już mówiłem, zadzwoniłem pod podany numer.

– Ale wcześniej. Co cię skłoniło, żeby zadzwonić?

Wyczuwam, że lekko się waha.

– Marnie nie odezwała się do mnie, aby mi powiedzieć, że jest cała i zdrowa. Czekałem na to, ale daremnie.

– Chwileczkę. – Przymykam oczy, żeby to wszystko przeanalizować. – Powiedziałeś, że linie lotnicze zarezerwowały nam miejsca w samolocie na jutro.

– Zgadza się.

– Ale bilety są na dziś rano, te, które znalazłam w koszu... musiałeś je kupić w agencji turystycznej w mieście. Poznałam po folderze.

– Tak.

– Kiedy? Kiedy je kupiłeś?

– Wczoraj, gdy tylko usłyszałem o tej katastrofie. Pomyślałem, że Marnie utknęła na lotnisku w Kairze. Sądziłem, że spóźniła się na przesiadkę, jest tam sama, cała w strachu... bo miała lecieć tym samolotem, który się rozbił... i nie wie, co robić. Więc kupiłem te bilety, żebyśmy do niej pojechali i byli z nią.

– Jak to? Więc wiedziałeś o katastrofie już wczoraj? – Josh patrzy na Adama. – Dlaczego nam nie powiedziałeś?

– Bo... już mówiłem... nie sądziłem, że Marnie zdążyła na ten samolot. Nie chciałem niepotrzebnie was martwić.

Moje serce twardnieje.

– Więc o to chodziło, prawda? To ci dolegało, dlatego tak dziwnie się zachowywałeś. Poczekaj... właśnie to zamierzałeś mi powiedzieć jeszcze przed przyjęciem? – Nie

odpowiada. – Mam rację? Chciałeś mi powiedzieć, że być może Marnie leciała tym samolotem, który spadł.

– Tak – potwierdza.

– Ale dlaczego tego nie zrobiłeś? Dlaczego po prostu nie przyszedłeś z tym do mnie?

Nie patrzy mi w oczy.

– Próbowałem – odpowiada z poszarzałą twarzą. – Naprawdę próbowałem. Ale byłaś taka szczęśliwa. Gdybym ci powiedział, odwołałabyś przyjęcie, a zależało mi, żebyś... wiedziałem, że gdy się dowiesz, będziesz szalała z niepokoju tak jak ja, a chciałem ci tego oszczędzić, dopóki nie będę wiedział na pewno.

– Ale zadzwoniłeś tam o... zaraz, zaraz... o trzeciej w nocy. Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? Od razu podają numer telefonu, żeby ludzie mogli się dowiadywać o los bliskich, którzy mogli ucierpieć w katastrofie.

– Bo nie chciałem wiedzieć – rzuca cicho. – Czepiałem się nadziei, że Marnie nie zdążyła na ten lot.

Patrzę na tego człowieka, który nagle stał mi się obcy, i serce całkiem mi kamienieje.

– Jak mogłeś, Adamie? – pytam drżącym ze złości głosem. – Jak mogłeś gawędzić, śmiać się, jeść i pić, wiedząc, że być może twoja córka nie żyje? A co gorsza – mówię coraz głośniej, w miarę jak dociera do mnie rzeczywistość – jak mogłeś pozwolić, żebym ja gawędziła, śmiała się, jadła i piła... i tańczyła, tańczyła!... gdy istniała choćby nikła możliwość, że Marnie zginęła?!

– Livio, proszę! – Rozpaczliwie wyciąga do mnie rękę, ale ja się cofam.

– Nie! – Patrzę na niego z przerażeniem. – Kim ty jesteś, jakimś potworem?!

– Mamo, nie!

Odwracam się do Josha.

– Pozwolił, żebym tańczyła! Moja córka zginęła, a on pozwolił, żebym tańczyła! – Rzucam się na Adama, biję go po piersi, po głowie, wszędzie, gdzie tylko mogę dosięgnąć.

– Mamo, przestań!

Ale ja już nie mogę się opanować. Dalej biję Adama pięściami, wrzeszczę na niego, wyzywam go od tchórzy i innych, aż wreszcie Josh mnie odciąga i osuwam się na podłogę.

Adam

Krzyki Livii towarzyszą mi w drodze po schodach na dół i do ogrodu.

Wciąż pod wrażeniem jej gwałtownej reakcji, na oślep schodzę po stopniach na trawnik. Wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem, że Livia mi nie wybaczy, gdy się dowie, jak postąpiłem. Gotowa była zaakceptować to, że zatrzymałem tę wiadomość dla siebie przez parę godzin, aby oboje z Joshem mogli się przespać. Ale jak miałyby pogodzić się z tym, że wiedziałem o katastrofie przed przyjęciem i dopuściłem, aby się odbyło – o nie, tego było już dla niej za dużo. Kiedy spytała, jak mogłem pozwolić, żeby tańczyła, gdy raniła mnie słowami i biła pięściami, zadawałem sobie to samo pytanie – jak mogłem? Bo teraz wydaje mi się to odrażające.

Muszę zadzwonić do Nelsona. Siadam na kamiennym murku, zwrócony plecami do zdjęć Marnie. Nawet z tej odległości słyszę szlochy Livii – a może rozbrzmiewają echem w mojej głowie. Dobrze, że jest z nią Josh, służy jej tym, czego nie chciała ode mnie, pociechą. On nie robił mi wyrzutów. Nie musiał, pełne niedowierzania spojrzenie, które mi rzucił, prosząc, żebym wyszedł, zupełnie wystarczyło.

Wyjmuję telefon i siedzę z nim w dłoniach, przeżywając na nowo chwilę, w której zburzyłem Livii jej świat. Było trudniej, niż sobie wyobrażałem, bo myślała, że mówię o czymś innym. O czymś, co ma związek z Marnie, ale także z Robem. Nie mogę teraz o tym myśleć, muszę porozumieć się z Nelsonem.

Jego głos brzmi w głośniku zbyt donośnie.

– Adamie! Jak się masz?

– Nelsonie, możesz przyjść? Sam, bez Kirin ani dzieci.

Milczy przez chwilę.

– Wszystko w porządku?

– Nie. Powiem ci, kiedy przyjdiesz. Jestem w ogrodzie. Mógłbyś jak najszybciej?

– Już idę.

Pięć minut, najwyżej dziesięć. Zdam jeszcze zadzwonić do taty.

– Cześć, Adamie, czemu zawdzięczam tak wcześnie telefon od ciebie?

Zamykam oczy, uciskam ich kąciki palcem wskazującym i kciukiem.

– Tato. – Głos mi się łamie. – Masz tam mamę?

Słyszę, że się porusza, potem wstępuje na schody.

– Nie, już nie. Jestem w kuchni, a ona już położyła się do łóżka.

– Siedzisz?

– Nie. A mam usiąść?

– Tak.

Trzeszczenie krzesła.

– Dobra. Mów.

– Mam złą wiadomość, tato. Chodzi o Marnie.

Słyszę, jak bierze głęboki oddech.

– Co się stało?

– Chciała przylecieć na przyjęcie urodzinowe Livii i zrobić jej niespodziankę. Miała się dwa razy przesiąść. Jeden z samolotów, którymi leciała, się rozbił. Ona nie żyje, tato. Marnie odeszła.

Rozlega się stłumiony szloch, który zaraz potem się urywa.

– Przykro mi, tato. Przykro mi. – Nie mogę powstrzymać tych słów. – Przykro mi.

– Kiedy? – pyta ledwie szeptem. – Kiedy Marnie... – Prawie nie może mówić.

– Wczoraj. Dowiedziałem się przed południem, ale nie miałem pewności, bo sądziłem, że spóźniła się na ten lot, wszystko na to wskazywało. Więc nie odwołałem przyjęcia, chciałem, żeby Livia zaznała jeszcze kilku ostatnich godzin radości. Czy to rozumiesz, tato? Rozumiesz, dlaczego nikomu nie powiedziałem?

– Tak, rozumiem – potwierdza, bo wie, że bardzo tego potrzebuję. – Tak mi przykro, Adamie, nie wyobrażam sobie... jak się ma Livia, jak Josh? Trzymają się jakoś? – Prycha ze złością. – Oczywiście, że nie, jak by mogli. Nie wiem, jak... już jadę. Zostań tam, gdzie jesteś. Zaraz przy tobie będę. Czy ktoś jest przy Livii, oprócz Josha?

– Nie. Zaraz będzie tu Nelson. Pomyślałem, że zawiadomi wszystkich, którzy powinni wiedzieć. Nie musisz przyjeżdżać... zostań z mamą. Po tym, jak jej powiesz... powiesz jej, dobrze? Izzy też? I Ianowi? Powiesz im o Marnie?

– Nie zostawimy was, żebyście radzili sobie z tym sami – odpowiada zdecydowanie. – Wszystko będzie dobrze. Pomożemy wam przez to przejść, mama i ja. Pomożemy.

Rozłączam się szybko, zanim kompletnie się rozpadnę. Zastanawiam się, czy naprawdę potrzebuję fizycznej obecności taty. Chyba jednak nie. Nie zniósłbym widoku jego twarzy, jego cierpienia. Nie wiem nawet, jak mam powiedzieć Nelsonowi.

Pochyliam się i skupiam wyłącznie na oddychaniu. Nie muszę długo czekać, aż zjawi się Nelson. Nic nie mówi, tylko siada przy mnie i uświadamiam sobie, że już wie. Josh musiał mu powiedzieć, gdy go wpuszczał.

– Strasznie mi przykro, Adamie – mówi cicho, prawie szeptem.

Chrząkam.

– Możesz zawiadomić Jess? Poproś ją, żeby przyszła i zajęła się Livią. Ale sama, bez Roba.

– Tak, jasne. Co jeszcze mogę zrobić? Chcesz... sam nie wiem... herbaty albo czegoś innego?

Wstaję, bo nagle potrzebuję przestrzeni. Rozglądam się wokół, ale wszystko przypomina mi o przyjęciu. Idę na oślep do szopy, odsuwam namiot ramieniem. Kłoc drewna orzechowego, w którym zacząłem rzeźbić z myślą o Marnie, stoi tam, gdzie go postawiłem, na podłodze przy stole. Osuwam się przy nim, bo chcę być blisko niego, i zamykam oczy.

Czas upływa. Przychodzi tata. Siada obok mnie, podsuwa mi swoje ramię pod głowę.

– Wszystko dobrze – mówi łagodnie. – Wszystko dobrze.

Livia

Rozlega się pukanie do drzwi sypialni i gdy się uchylają, chcę krzyknąć do Adama, żeby sobie poszedł. Trochę mi wstyd, że tak go zaatakowałam, ale wiem, że jeśli zbliży się do mnie, znowu na niego napadnę. Nie mieści mi się w głowie – po prostu nie mieści – że pozwolił, aby przyjęcie się odbyło.

Jednak to nie Adam, tylko Nelson. Na widok jego potężnej sylwetki, niemal niemieszczącej się w drzwiach, ponownie zaczynam płakać. Josh, który siedzi obok, przytula mnie mocniej.

Nelson wchodzi do pokoju.

– Livio, Josh, ogromnie mi przykro, naprawdę ogromnie mi przykro.

Josh coś mamrocze, a ja nie mówię nic, bo co mam powiedzieć?

– Rozmawiałem z Jess – ciągnie Nelson. – Jest już w drodze. Cleo ją wiezie.

Przyjmuję to z ulgą.

– Dziękuję – mówię ze łzami w oczach, bo bardzo potrzebuję teraz Jess.

Wyczuwam, że ocenia sytuację, patrzy na mnie i Josha siedzących razem na łóżku: ja płaczę, a on stara się, jak może, mnie pocieszyć.

– Josh, możesz mi pomóc? Twój tata poprosił mnie, żebym zawiadomił wszystkich o Marnie. – Zdumiewa mnie, że wypowiada jej imię bez wahania ani skrępowania. Ktoś taki nam się przyda. – Zrobisz dla mnie listę nazwisk z numerami telefonów?

Josh wstaje.

– Jasne – mówi pustym głosem, w którym jednak brzmi pewna ulga, i uświadamiam sobie, że Nelson celowo znalazł mu zajęcie.

Stojąc, obejmują się serdecznie i jestem zadowolona, że Josh ma kogoś, kto może go pocieszyć, bo ja nie jestem w stanie. Chciałabym być silniejsza ze względu na niego, ale zgroza wynikająca ze świadomości, że śmiałam się i tańczyłam, gdy Marnie już nie było, zbyt mnie przytłacza. Pragnę wyciągnąć ręce i wziąć go w objęcia, tak jak Nelson, ale uniemożliwiają mi to rozpacz i ból.

Josh wychodzi i czuję smutek Nelsona, gdy tak siedzę, mnąc mokrą chusteczkę i starając się opanować szlochanie.

– Przepraszam – mówię, gdy siada obok na łóżku. – Nie mogę przestać płakać.

– Właśnie zdarzyło ci się najgorsze, co mogło się zdarzyć – odpowiada. Przyciąga mnie do siebie. – Masz prawo płakać, ile chcesz.

- Nie mogę uwierzyć – mówię łamiącym się głosem. – Nie mogę uwierzyć, że Marnie...
- Wiem – odpowiada i gładzi mnie po włosach. – Wiem.

Mam ochotę mu powiedzieć, że Adam dowiedział się o katastrofie samolotu przed przyjęciem, ale coś mnie powstrzymuje. Niezależnie od tego, co ja sama myślę o Adamie, nie chcę, żeby stracił w oczach Nelsona.

Dochodzi do mnie głos Jess, która woła coś z dołu. Niezgrabnie wstaję z łóżka, ale zanim zdążę podejść do drzwi, ona już stoi u szczytu schodów.

- Livio – mówi.

I chwilę później płaczemy obie w swoich objęciach, bo ona rozumie moje cierpienie, cierpienie matki, która straciła dziecko.

Nelson przeciska się obok nas i kładzie nam ciężkie dłonie na ramionach.

- Chodźmy na dół.

- Nie ma tam Adama, prawda?

- Nie, jest w szopie. Mike parzy mu herbatę i robi grzankę.

– Nie dziwi mnie, że Adam jest w stanie jeść – rzucam gorzko, bo z Jess mogę sobie pozwolić na szczerość. – Wiedział, Jess, on wiedział o Marnie i nie zrobił nic, żeby odwołać przyjęcie. Zachowywał się jak gdyby nigdy nic, jakby wszystko było w zupełnym porządku, i pozwolił, żebym ja zachowywała się normalnie. – Kręcę głową i z oczu znowu płyną mi łzy. – Nigdy tego nie przeboleję. Nie przeboleję, że tańczyłam w dniu, w którym zginęła moja córka.

– Chyba nie miał pewności co do Marnie – zauważa niepewnie. – Z tego, co mówiła Cleo, uzyskał potwierdzenie dopiero dziś nad ranem.

- Cleo? A dlaczego Adam rozmawiał o tym z nią?

- Bo wiedziała, że Marnie ma przyjechać do domu.

- Cleo wiedziała? – Mąci mi się w głowie.

– Chodź – mówi i pociąga mnie w stronę schodów. – Zejdźmy i napijmy się herbaty. Cleo poszła do Josha. Później będziesz mogła z nią porozmawiać.

Adam

Z ust Livii wyrywa się stłumiony szloch i przerywa ciszę. Siedzimy w kuchni nad kubkami z niewypitą herbatą.

– Przepraszam – mamrocze.

Pragnę ją pocieszyć, ale sobie nie życzy, pozwala na to tylko Jess.

– Daj spokój – mówi mama z oczami błyszczącymi od łez, które powstrzymuje. – Nie masz za co przepraszać.

Przez cały dzień Nelson zniknął, aby dzwonić do kolejnych osób, i wracał, aby nam przekazać, że ci, z którymi właśnie rozmawiał przez telefon, myślą o nas i jeśli tylko mogą nam jakoś pomóc, czekają na wiadomość. To jakby w ogóle do Livii nie docierało. Ani razu nawet nie kiwnęła głową. Aby się bronić, zamknęła się w sobie. Nie chciała nawet zobaczyć się ze swoją matką.

Zapomnieliśmy o Patricii, dopóki w środku popołudnia nie usłyszeliśmy dzwonka do drzwi. Livia jednak odmownie pokręciła głową i poprosiła Nelsona, żeby powiedział jej matce o Marnie.

Podchodzę do drzwi i niewidzącym wzrokiem patrzę przez szybę na ogród. Byłoby nam wygodniej w salonie, ale nikt nie zaproponował, żeby się tam przenieść. Przebywamy tu przez większość dnia: Jess, mama, tata, Izzy, Ian i Cleo siedzą przy stole, ja, Josh, Amy i Nelson stoimy, opierając się o szafki, z kubkami gorących napojów, których nikt nie pije. Byli też Max i Kirin, ale już poszli i teraz cierpią cicho gdzieś indziej.

Murphy kręci się i staje przy mnie. Max przywiózł go z powrotem dziś rano i pies od tego czasu nie odstępował mi na krok. Mimi gdzieś się schowała, jakby wiedziała, że jej widok stale przypomina o Marnie. Nie bardzo wiem, kiedy zjawiała się Amy. W którymś momencie przed południem Josh spytał, czy może powiedzieć jej o Marnie i zaprosić ją do nas. Oczywiście powiedziałem, że tak. Potrzebuje jej bardziej niż nas, jeśli tylko jest ona w stanie przynieść mu pociechę. Nam też – Livii i mnie – przydałaby się jakaś pociecha, tyle że nas nie da się podnieść na duchu.

Chociaż nikt o tym nie wspomina, wszyscy wiedzą, dlaczego Livia się do mnie nie odzywa, słyszeli, że pozwoliłem, aby przyjęcie się odbyło. Nelson zna powód, ale pozostali chyba nie. Patrzę na niego, poranna rozmowa bardzo mi pomogła wobec gniewu Livii.

– Nie wyobrażam sobie, jak musiałeś się czuć, przechodząc przez to samemu – powiedział spokojnie. Zbliżył się i stanął przy mnie, gdy wyszedłem z szopy w poszukiwaniu przestrzeni. – Dlaczego gdy zacząłeś podejrzewać, że Marnie leciała tym samolotem, nie powiedziałaś nic Livii? – W jego głosie nie było krytycyzmu, tylko ciekawość.

– Bo zdawałem sobie sprawę, że gdy się dowie, jej życie zmieni się już na zawsze, tak jak moje. – Pochyliłem się, żeby nie widział mojej twarzy. – Nie masz pojęcia, jak to jest żyć ze świadomością, że twoje dziecko prawdopodobnie zginęło. Chciałem po prostu zatrzymać chwilę. Pozwolić Livii nacieszyć się przyjęciem, jeszcze przez kilka godzin czuć szczęście.

– O rany, Adamie.

– Skoro Marnie nie żyła... – Przerwałem. – Jeśli mam być szczery, w głębi duszy musiałem wiedzieć, że tak jest, bo inaczej by zadzwoniła. I chyba pomyślałem, że jeśli Livia się dowie, to już dla Marnie niczego nie zmieni. Przecież to nie tak, że mogliśmy polecieć do niej i z nią być. Livia nazwała mnie tchórzem, uważa, że nie zadzwoniłem do linii lotniczych przed końcem przyjęcia, bo bałem się stawić czoło faktom i nie miałem odwagi jej powiedzieć. Może ma rację. Może przez cały czas się okłamywałem.

– Powinieneś był powiedzieć mnie – odparł Nelson.

– Byłem tego bliski, gdy siedzieliśmy na murku po tym, jak umknąłeś przed Robem. Ale uznałem, że najpierw muszę powiedzieć Livii.

Na wspomnienie rozmowy z Nelsonem i wzmianki o Robie coś sobie uprzytamniam. Gdzie jest Rob? Czy nie powinien tu być, siedzieć razem z nami w kuchni? To podejrzane, że go nie ma, i wiem, że Nelson myśli podobnie, bo kiedy wcześniej Jess na chwilę wyszła, pospieszył za nią i o czymś cicho rozmawiali, nie na tyle cicho jednak, żebym nie usłyszał imienia Roba. I od tamtego czasu Nelson ciągle esemesuje. Jess także dyskretnie wysyła pod stołem wiadomości.

Nagle podnosi głowę z wyraźną ulgą na twarzy.

– Rob przeprasza, już jedzie.

Odwracam się na to od okna i widzę, że wszyscy w milczeniu kiwają głowami, oprócz Nelsona, który mruczy:

– Najwyższy czas.

I Livii, która wstaje od stołu i cicho wychodzi.

Wyraz nienawiści na jej twarzy przypomina mi tamten koszmar, gdy rano próbowałem jej powiedzieć, że Marnie nie żyje, a ona sądziła, że zamierzam jej zdradzić coś innego w związku z Marnie. Coś, o czym już wiedziała: że Marnie ma romans z... Przymykam oczy, żeby przypomnieć sobie jej słowa: „Przykro mi, Adamie, to nie Max, tylko Rob”.

– Wszystko w porządku? – Tata wstaje i podchodzi do mnie. – Może na chwilę usiądziesz?

– Nie... nic mi nie jest. – Uświadamiam sobie, że kurczowo trzymam się framugi, więc opuszczam rękę i otwieram drzwi do ogrodu. – Tylko potrzebuję trochę świeżego powietrza.

– Mam pójść z tobą?

– Nie trzeba.

Tyle że wcale dobrze się nie czuję, już nigdy nie będę się dobrze czuł. A już na pewno nie, jeśli się okaże, że to, co powiedziała Livia, jest prawdą.

Marnie i Rob. Marnie i Rob? Krążę po tarasie i staram się to ogarnąć, podczas gdy Murphy niespokojnie obserwuje mnie z progu. To nie może być prawda, nie może. No bo jak? Livia wspomniała coś, że Rob pojechał zobaczyć się z Marnie, gdy miał być w Singapurze, ale na pewno się myli, na pewno. Marnie by przecież nie wdała się w coś takiego, nie i już, ani Rob, ma przecież Jess. Nie zrobiłby jej czegoś takiego, zwłaszcza że jest chora, ale nawet gdyby nie była. Muszę porozmawiać z Livią, zapytać ją, dlaczego sądzi, że Marnie i Rob mieli romans. Usiłuję przypomnieć sobie wszystko, co mi powiedziała, ale bez skutku. Wracają do mnie tylko fragmenty naszej rozmowy, i to nie jestem pewien, czy dokładne. Ale jeżeli Livia się nie myli – staram się zrozumieć, co by to oznaczało. Jednak nie potrafię, mój umysł sobie z tym nie radzi.

I wtedy go słyszę – Roba – idzie ścieżką. Zbliżam się do bocznej furtki i czekam na niego; otwiera ją i wchodzi, ma pochyloną głowę i okulary przeciwsłoneczne na nosie, chociaż dziś rano słońce jest nikłe. Robi wdech. Prostując ramiona, podnosi wzrok i widzi mnie. Chwila wahania, a potem:

– Stary. – Podchodzi do mnie z rozłożonymi rękami. – Adamie.

Ale muszę wiedzieć, więc sięgam i zdejmuję mu okulary. Wtedy zaskoczony przestaje się maskować. Zaglądam mu głęboko w podkrążone oczy i gdy na mnie patrzy, dostrzegam w nich poczucie winy, sączy się z niego porami, bo czuję także jego zapach. Zabarwia mu skórę na czerwono i sprawia, że usta poruszają się bezdźwięcznie, gdy Rob chce wyprzeć się tego, co nie ulega wątpliwości.

– Adamie, ja...

Nawet nie myślę o tym, żeby go uderzyć, tylko to robię. Trafiam pięścią w szczękę, od dołu, tak że Rob się unosi i leci w bok, wpadając na murek.

– Wynoś się.

Livia

Serce mi wali, gdy wyglądam przez okno sypialni. Z miejsca, w którym stoję, widzę Adama idącego w stronę furtki. Muszę wyciągnąć szyję i przytknąć twarz do szyby, żeby dalej śledzić go wzrokiem. Zatrzymuje się i chociaż czuję mdłości na myśl, że zobaczę Roba, muszę wiedzieć, czy Adam zrozumiał cokolwiek z tego, co powiedziałam mu o Marnie. Mam wrażenie, że nie. Teraz zdaję sobie sprawę, jakie piekło przeżywał, gdy mu to mówiłam: nie dlatego, że nasza córka miała romans z Robem, ale ponieważ wiedział, że musi mnie powiadomić o jej śmierci. Śmierci. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Marnie nie żyje, chociaż potwierdza to obecność wszystkich przy kuchennym stole, bo z jakiego innego powodu by tu byli?

Słyszę skrzypnięcie bocznej furtki i Rob wchodzi na taras. Widzi Adama, robi krok w jego stronę, rozkładając ramiona, i tracę dech, bo jeśli Adam da mu się uściskać, to będzie oznaczało, że nie dotarło do niego, co mówiłam, i nigdy nie dowie się o Marnie i Robie, chyba że mu wszystko powtórzę. A wiem, że się na to nie zdobędę. Wściekam się w głębi duszy, że będę musiała siedzieć i jeść w towarzystwie Roba, śmiać się z jego dowcipów i pozwalać mu się obejmować, aby nikt się nie zorientował, że coś jest nie tak. Nie mogę jednak ryzykować, że Jess i Nelson się od nas odsuną, a tak by się stało, gdyby poznali jego brudny sekret, bo bez nich Adam i ja przez to nie przebrniemy. Zwłaszcza że nie możemy już liczyć na siebie nawzajem.

W pierwszej chwili, gdy widzę, jak Adam zdejmuje mu okulary, myślę, że po prostu nie chce, aby się uszkodziły, gdy obaj padną sobie w ramiona, bolejąc nad stratą Marnie. Ale on tylko stoi i patrzy na Roba. Znam to jego spojrzenie, bo czułam je na sobie wiele razy, i wiem, że zagląda Robowi w duszę, tak jak zaglądał w moją. Kiedy się zastanawiam, co w niej dostrzegł, uderza Roba w szczękę, aż ten zatacza się na murek. I gdy wycofuje się ścieżką, wyrywa mi się szloch. Zaczynam płakać nie nad sobą, nie nad Marnie, ale nad Adamem. Bo mimo że nigdy nie zapomnę mu tego, co zrobił, pragnęłam ponad wszystko, żeby zapamiętał swój obraz Marnie, nie mój.

Adam

Słyszę skrzypnięcie otwieranych drzwi i głos Nelsona, który mnie woła. Idę przez trawnik do szopy, starając się nie patrzeć na zdjęcia Marnie, które wciąż wiszą na ogrodzeniu. Bo teraz, po tym, co się stało, jak ktokolwiek mógłby je zdjąć, nawet jeśli tak byłoby najlepiej?

– Czy to był Rob?! – pyta głośno.

Odwracam się do niego.

– Tak.

– Nie chciał wejść do środka?

– Nie. Jest w rozsypce. Ale miło, że wstąpił. Idę na jakiś czas do warsztatu. Możesz poprosić, żeby nikt mi nie przeszkadzał?

– Oczywiście.

Czy to zaledwie wczoraj najbardziej martwiło mnie to, że muszę się przeciskać koło namiotu, aby wejść do szopy? Nie, musiało być coś istotniejszego, poważniejszego, bardziej problematycznego. Wytężam pamięć, ale niczego takiego sobie nie przypominam. Naprawdę dobrze mi się żyło.

Po wejściu do szopy kieruję się pod najbliższą ścianę i osuwam się po niej na podłogę. Opieram plecy o ciepłe drewno i zamykam oczy. Bolą mnie knykcie prawej ręki, w pulsującym rwaniu czuję bicie serca. Razem działa to na mnie uspokajająco, więc zginał palce, żeby ból się nasilił. Podczas tego ruchu otwiera mi się rana na dłoni i z zadowoleniem przyjmuję ostre kłucie.

Wydaje się niemożliwe, żeby coś przysłoniło mi śmierć Marnie. Ale jakimś sposobem dzieje się tak z powodu Roba. Wciąż przeżywam tamtą chwilę, gdy spojrzałem mu głęboko w oczy i tak wyraźnie zobaczyłem w nich wszystko, o czym mówiła Livia, że już w to nie wątpię. Zaczynam myśleć w kółko – Marnie i Rob, ich romans, jego wyjazdy, żeby spotykać się z nią w Hongkongu. Nie towarzyszył tam Cleo dlatego, że Jess nie chciała puścić jej samej, ale żeby pobyć z Marnie. Livia zobaczyła go na FaceTimie, jak nagi wychodził z hotelowej łazienki. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Słyszę, że ktoś w drodze do szopy ociera się o ścianę namiotu, i wzbiera we mnie wściekłość. Chcę, żeby zostawili mnie w spokoju.

– Odejdź, odejdź – proszę, ale ktokolwiek to jest, nie zwraca uwagi na moje słowa, więc przypuszczając, że to mama albo tata, staram się zapanować nad złością.

Drzwi, pchane od zewnątrz, jednak się nie otwierają. Znajome drapanie pazurami o drewno mówi mi, że to Murphy, więc podnoszę się i wpuszczam go. Idzie za mną i gdy znowu osuwam się na podłogę, opiera się o mnie.

– Jak do tego doszło? – pytam głośno.

Murphy zwraca łeb w moją stronę i liże mnie po twarzy. Obejmuję go, wtulam głowę w jego sierść, wdycham ziemisty zapach i staram się jakoś pogodzić z druzgocącym faktem, że Marnie i Rob sypiali ze sobą. Uświadamiam sobie, że można się było tego domyślić. Smutek i przygnębienie Marnie w Hongkongu. To, że Livia, ponieważ nie mogła znieść obecności Roba ani nie potrafiła spojrzeć w oczy Jess, odsunęła się od naszych przyjaciół. Nasuwają mi się pytania, z których każde powoduje jeszcze większą dezorientację niż poprzednie. Dlaczego Livia mi nie powiedziała? Czy zamierzała to zrobić? Czy Marnie wiedziała, że Livia wie? A może Livia czekała, aż Marnie przyjedzie do domu, żeby z nią o tym porozmawiać? Jeśli taki miała plan, to jak by się poczuła, gdyby Marnie zjawiała się na przyjęciu? Wtedy to wcale nie byłaby dla niej cudowna niespodzianka, tylko straszny szok. I najboleśniej ze wszystkiego – komu Marnie swoim przyjazdem tak naprawdę chciała sprawić niespodziankę, Livii czy Robowi?

Nie wiem, ile czasu minęło. Przychodzi mama i mówi, że jadą już z tatą, zabierają ze sobą Izzy i Iana.

– Zostaną u nas przez kilka dni – dodaje.

Kiwam głową.

– To dobrze.

– Wrócimy jutro, żeby jeszcze spotkać się z wami przed waszym wyjazdem na lotnisko. Nelson was tam zawiezie.

– Miło z jego strony.

– Powinieneś przyjść już do domu, Adamie.

– Tak, zaraz.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie, dziękuję, mamo. Pożegnaj ode mnie tatę.

– Chodź.

Wstaję, a ona bierze mnie w ramiona.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze i mnie przytula. – Wszystko będzie dobrze.

Zamykam oczy. Nic nie mówię, bo nie mogę. Wypuszcza mnie z objęć dopiero po chwili.

– Pa, Adamie. – Ma w oczach łzy.

Podnoszę dłoń do jej policzka.

– Pa, mamo.

Jeśli rodzice już jadą, musi być później, niż myślałem. Spoglądam przez okno; na dworze zrobiło się ciemno, więc musi być około dziewiątej.

Siadam przy Murphym, martwiąc się, że nikt go nie nakarmił. Zbieram siły, żeby wrócić z nim do domu, gdy wchodzi Nelson.

– Adamie, pójdę już. Jess i Cleo też się zbierają, Livia leży w łóżku. – Urywa. – Dlaczego nie chcesz wrócić? Na dole zostali tylko Josh i Amy, a i oni wkrótce położą się spać.

– Zaraz wrócę.

– Mam zostać? Mogę, to żaden problem.

– Nie, w porządku, idź do Kirin. Ale mogę cię jeszcze o coś prosić? Dasz Murphy’emu coś do jedzenia?

– Jasne.

Musi wziąć psa za obrozę, żeby go ode mnie odciągnąć.

– Idź, Murphy – mówię do wiernego zwierzęcia. – Zobaczymy się później.

– Spróbuj się trochę przespać – radzi Nelson w drzwiach. – Do zobaczenia jutro.

Jak by to przyjął, gdybym powiedział mu o Robie, wyjawiał, że jego trzydziestoosmioletni brat zdradzał Jess z moją dwunastoletnią córką? To by go zdruzgotało, zniszczyło jego relacje z Robem, pewnie także wpłynęło na nasze stosunki. A nawet jeśli nie, nie byłoby już tak samo jak dawniej.

Znowu upływa jakiś czas. Delikatne pukanie do drzwi i wchodzi Josh.

– Tato? – Czuję, że wpatruje się w mrok. – Gdzie jesteś?

– Tutaj.

– Włączyć światło?

– Nie, dzięki.

– Przyjdiesz?

– Jeszcze nie.

Czeka, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, a potem zbliża się i siada przy mnie w takiej samej pozycji jak ja: opiera plecy o ścianę, podciąga nogi i kładzie ręce na kolanach.

– Nie byłoby ci wygodniej na fotelu? – pyta po chwili wspólnego milczenia.

– Pewnie tak. Ale dobrze mi tu, na podłodze.

– Mama położyła się do łóżka.

– Tak, Nelson mi mówił.

– Nie masz nic przeciwko temu, że Amy zostanie na noc, co?

– Oczywiście, że nie.

Znowu przez dłuższy czas siedzimy w ciszy.

– Przejdziemy przez to, prawda? – pyta.

– Jasne, że tak.

– Chodziło mi o was, ciebie i mamę...

– Nic nam nie będzie.

– Rozumiem, dlaczego tak postąpiłeś, tato. Dlaczego powiedziałaś jej dopiero po przyjęciu. Początkowo nie rozumiałem, ale już pojąłem. Zresztą tego życzyłaby sobie Marnie. – Przerywa. – Tak sobie myślałem... czyby nie zrobić prawa jazdy na motocykl.

Motocyklem świetnie jeździłoby się po Londynie, a w weekendy, gdy przyjeżdżałbym do domu, moglibyśmy gdzieś się razem wybrać.

Oczy zachodzą mi mgłą, bo wiem, o co mu chodzi, wiem, że mój syn, który nigdy nie przejawiał najmniejszego zainteresowania jazdą na motocyklu, szuka sposobu, aby wypełnić w moim życiu pustkę, która zostanie po Marnie.

– Byłoby wspaniale – odpowiadam. – Ale najpierw musisz się urządzić w Londynie.

– Nie muszę się tam przenosić, mogę jeszcze przez jakiś czas mieszkać tutaj. Bez trudu dojeżdżałbym z Windsoru.

– Nie, musisz przeprowadzić się do Londynu i zamieszkać z Amy. Nikt nie będzie zmieniał planów. Wystarczy, że nie jedziesz do Nowego Jorku.

– Cieszę się, że tak zdecydowałem.

– Ja też. Powinieneś już iść, Josh, ja zaraz przyjdę.

– W porządku, zaczekam.

Widząc, że nie zostawi mnie samego, wstaję. Tak zeszywniałem, że potrzebuję jego pomocy, aby się podnieść.

– Dzięki. Chyba się starzeję.

Obejmuje mnie mocno.

– Ty nigdy się nie zestarzejesz – odpowiada z mocą.

Przeciskamy się obok namiotu, przechodzimy przez ogród.

– Chyba pójdę pod prysznic – mówię po wejściu do domu. – Dobranoc, Josh, zobaczymy się jutro.

– Dobranoc, tato. Postaraj się trochę przespać, dobrze?

Powoli idę za nim po schodach, jednak na górze się zatrzymuję, bo drzwi sypialni są zamknięte, to znak, żebym nie wchodził. Biorę prysznic w łazience rodzinnej, ale nie mam czystych ciuchów, a poza tym muszę porozmawiać z Livią.

W sypialni panuje mrok, rozjaśnia ją tylko blask księżycy wpadający przez okno. Livia leży pod kołdrą, widać jej jedynie czubek głowy. Wiem, że nie śpi, czuję to. Przebieram się najciszej, jak mogę, a potem przysiadam na brzegu łóżka.

– Liv – mówię.

Nie jestem pewny, co jest gorsze, jej obecne gniewne milczenie czy wcześniejsze łyż rozpaczy. Bolesnie pragnę, żeby mnie dotknęła, potrzebuję jej jak nigdy wcześniej, bo jest jedyną osobą, która zna Marnie tak jak ja. Ale traktuje mnie jak powietrze.

Livia

Leżę w łóżku. Nie wiem, jak przeżyłam ten dzień. Gdy zobaczyłam, jak Adam uderza Roba, zesłam na parter, aby powiedzieć wszystkim, że chcę odpocząć, i na wycieracze przy drzwiach frontowych znalazłam kopertę. Nie zdawałam sobie sprawy, że drę ją na drobne kawałki, dopóki Nelson mi jej nie zabrał.

– Już dobrze, Livio. Ja się tym zajmę.

– Nie chcę jej, nie chcę widzieć, co w niej jest – odpowiedziałam, tłumiąc gniewny szloch. Nie mogłam znieść, że ktoś już wrzucił do skrzynki na listy kartkę z kondolencjami.

– Wiem – odparł. Wziął mnie pod rękę. – Może spróbujesz się przespać, a przynajmniej trochę odpocząć?

– Najpierw się pożegnam.

– Mam zostać? – zapytała mnie Jess w sypialni po wyjściu rodziny Adama.

Cleo była u Josha, z nim i Amy, a Nelson poszedł do Adama, do szopy.

– Nie, nie musisz – odpowiedziałam. – Wracaj do domu, poradzę sobie.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego Rob nie został, dlaczego sobie poszedł. A teraz nie odbiera telefonu. Martwię się o niego.

Odwróciłam się, modląc się w duchu, żeby nie powiedział jej o sobie i Marnie, nie dzisiaj. Ani nigdy, zdałam sobie sprawę, bo jakie to miało teraz znaczenie?

Poszła po Cleo, a wtedy wstąpił do mnie Nelson.

– Może zajrzysz do Adama? – zaproponował. – Jesteś mu potrzebna.

– Nie. Nie potrafię, po prostu nie potrafię. – Znowu do oczu napłynęły mi łzy wściekłości. – Jak mógł tak postąpić, Nelsonie, jak mógł dopuścić, żeby przyjęcie się odbyło, gdy istniała niemal stuprocentowa pewność, że Marnie leciała tym samolotem? Jak mógł się śmiać i żartować?

– Bądźmy szczerzy, nie wydaje mi się, żeby śmiał się czy żartował.

– Nawet Cleo dowiedziała się przede mną. – Nie byłam w stanie zapanować nad rozżaleniem w głosie. – Ty też wiedziałeś? Widziałam, jak na przyjęciu rozmawiałeś z nim, wydawał się z jakiegoś powodu zdenerwowany. Wtedy ci powiedział?

– Nie, nie miałem o niczym pojęcia. Czułem, że coś się z Adamem dzieje, ale kiedy go o to spytałem, rzucił tylko, że zrobił coś strasznego, czego nigdy mu nie wybacysz.

– I miał rację! Myślałam, że jego zachowanie... ta migrena, ciągle znikanie w domu... ma związek z prezentem dla mnie. A okazało się, że za duży z niego tchórz, aby powiedzieć mi

o Marnie.

– Adam nie jest tchórzem, Livio. To jeden z najsilniejszych ludzi, jakich znam. Wyobrażasz sobie, przez co musiał przejść od chwili, gdy zaczął się obawiać, że Marnie była na pokładzie tego samolotu, aż do momentu, gdy zyskał co do tego pewność? I przechodził przez to wszystko sam?

Wylał się ze mnie cały żal.

– Gdyby mi powiedział, nie musiałby przechodzić przez to sam – wysyczałam. – Mógł podzielić się tym ze mną. Przestań go bronić, Nelsonie. Nie miał racji i dobrze o tym wiesz.

– Ale...

– Nie. – Uderzyłam ręką w łóżko. – Nie chcę tego słuchać! Tu nie chodzi o Adama, tylko o Marnie!

Nic nie odpowiedział, jedynie mnie pocałował.

– Odpocznij, Livio – powiedział łagodnie. – Idę, ale rano znowu przyjdę.

To było pięć minut temu i żałuję, że go nie poprosiłam, aby został. Nie chcę być sama z Adamem. Żeby też nie myśleć o Marnie, skupiam się na dochodzących do mnie odgłosach: Nelson żegna się z Joshem i Amy, potem schodzi z Cleo po schodach, za nimi powoli idzie Jess. Sprzed domu odjeżdża jeden samochód, Nelsona, a po nim drugi, Cleo. Zapada cisza, która szybko staje się za głośna, i już narasta we mnie panika, gdy otwierają się drzwi pokoju Josha. Zbiega on na parter i znowu dochodzą do mnie dźwięki, na których mogę się skoncentrować. Otwieranie i zamykanie tylnych drzwi, kroki na tarasie. Nasłuchuję z uwagą. Nie słyszę, żeby Josh w drodze do szopy przeciskał się obok namiotu, jedynie to sobie wyobrażam. Ale to mi nie wystarcza, więc jeszcze bardziej wytężam słuch: Amy porusza się w pokoju Josha, sąsiedzi z szacunkiem cicho krzątają się po ogrodzie, sprzątają w nim przed wieczorem. A później – nie wiem, ile upływa czasu – odgłos, pod którego wpływem moje serce przyspiesza: Josh z Adamem wracają do domu. I gdy wstępują na schody, wstrzymuję oddech, aż boli mnie w płucach, bo nie chcę, żeby Adam tu przyszedł, nie chcę go widzieć. On jednak na górze skręca, kieruje się do drugiej łazienki i kiedy bierze prysznic, oddycham z pewną ulgą. Ale potem staję pod drzwiami, więc kulę się pod kołdrą i zamykam oczy.

Przebiera się szybko. Proszę, niech sobie pójdzie – modłę się w duchu.

Czuję, że siada na łóżku.

– Liv – mówi, a ja się wzdrygam, słysząc w jego głosie błaganie. To mnie złości, bo dlaczego mam mieć wyrzuty sumienia, że nie jestem w stanie dać mu tego, czego pragnie? To wszystko jego wina – przypominam sobie z rosnącą wściekłością.

– Dlaczego pozwoliłeś Marnie lecieć na moje przyjęcie? – pytam gniewnym głosem, tłumionym przez kołdrę. – Przecież miała przyjechać pod koniec miesiąca.

– Bo chciała ci sprawić niespodziankę – odpowiada.

– A ty nie potrafiłeś jej odmówić, zawsze spełniałeś jej zachcianki.

Śmieje się z goryczą.

- Gdybym spełnił jej zachciankę, wybrałaby bezpośrednie połączenie lotnicze.
- Więc dlaczego jej na to nie pozwoliłeś?
- Bo wcześniej nie pozwoliłem Joshowi na bezpośredni lot do Stanów.
- Więc to wina Josha.

Wzdycha ze zmęczeniem.

- Nie rób tego, Livio.

Rozwścieczona odrzucam kołdrę.

– Nie masz prawa mi mówić, co mogę robić, a czego nie! – wołam. – Nie siedź tu i nie pouczaj mnie, bo przez ciebie Marnie znalazła się w tym samolocie! Gdybyś nie był taki głupi, toby nie zginęła! I jeszcze nic nikomu nie powiedziałaś. – Kręcę głową, płacząc. – Nigdy nie zrozumiem, dlaczego zachowywałaś się tak, jakby nic się nie stało, nigdy! Kiedy tak stwardniałaś? Nie uroniłaś nad Marnie ani jednej łzy. Co się z tobą dzieje, Adamie? Kiedy straciłaś wszelką wrażliwość?

Powoli wstaje.

- Od jak dawna wiedziałaś o Marnie i Robie? – pyta spokojnie.

W ciemności nie widzę jego twarzy.

- A co to ma z tym wspólnego? – pytam z nagłym lękiem.

– Wszystko.

– Jak to?

– Wiedziałaś o ich romansie od czasu, gdy Rob wyjechał z Cleo na jej urodziny do Hongkongu. Czyli od kwietnia.

- No i co z tego?

– To było sześć tygodni temu. Marnie przed trzema tygodniami zawiadomiła mnie, że chce przyjechać na twoje przyjęcie. Myślisz, że gdybyś nie zataiła przede mną ich romansu, pozwoliłbym jej przyjechać? – Urywa. – Dlaczego to przede mną ukrywałaś, Livio? Dlaczego nie powiedziałaś mi o Marnie i Robie?

- Bo chciałam cię chronić! Bałam się, że stracimy to, co mamy!

– Więc kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? Nigdy? Czy gdy już odbędzie się twoje przyjęcie?

Sięgam za siebie i chwytam jedną z poduszek.

– Wynoś się stąd! – wrzeszczę i rzucam nią w jego stronę. – Wynoś się i nie wracaj! Nienawidzę cię, słyszysz?! Nienawidzę cię!

Adam

Stoję za drzwiami sypialni i słucham szlochania Livii, od którego pęka mi serce. Nie wiem, dlaczego jej to powiedziałem. Wcale nie myślałem, że gdybym wiedział o tym romansie, nie pozwoliłbym Marnie przyjechać wcześniej do domu, więc co mnie napadło? Skąd przyszło mi do głowy, aby wmawiać Livii, że to ona ponosi odpowiedzialność za śmierć Marnie, skoro to moja wina? Jak mogłem być taki okrutny?

Przesuwam palcami we włosach i zastanawiam się, co począć, dokąd pójść. Przedtem poszedłbym do pokoju Marnie, tam próbowałbym znaleźć jakąś pociechę, ale teraz nie. Nie wiem już, kim była. Wydawało mi się, że wiem, ale się myliłem. Sądziłem, że nigdy by mnie nie okłamała, a okłamała. Sądziłem, że nie zrobiłaby niczego, czego bym nie pochwalił, a jednak zrobiła najgorszą rzecz, jaką mogła, taką, która zraniła mnie bardziej niż cokolwiek innego, z powodu tego, kim jest Rob, co o nim sądzę. Miała świadomość, jak go oceniam, ale to jej nie przeszkodziło wdać się z nim w romans. Nie rozumiem tego, nie rozumiem, jak mogła tak postąpić.

Czując się bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu, idę na dół. Ciągnie mnie do motocykla, ale po tym, co się stało – zaledwie wczoraj? – kiedy Marnie była jeszcze dla mnie osobą, którą znałem, boję się, co mogłoby się zdarzyć, gdy już nią nie jest. Jedynym miejscem, w którym na pewno poczuję się bezpiecznie, jest moja szopa, więc wychodzę z domu i przy blasku księżyca idę przez trawnik. Po wejściu do środka odruchowo sięgam do włącznika światła i zalewa ono pomieszczenie, zupełnie mnie oślepiając. Już mam je wyłączyć, gdy mój wzrok pada na kłoc drewna orzechowego. Ogarnia mnie szal, więc chwytam leżącą na półce siekierę i zaczynam go rąbać.

Livia

Słyszając ten dźwięk, opanowuję płacz z poczucia winy – bo w głębi duszy, bez względu na to, jak bardzo bym sobie wmawiała, że to wyraz oburzenia i urazy, czuję się straszliwie winna. Wszystko, co zarzucił mi Adam, jest prawdą; choćbym próbowała całą winę za śmierć Marnie zwalić na niego, nie ulega wątpliwości, że gdybym była z nim szczerą, nasza córka nie znalazłaby się w tym samolocie. Powiedziałam mu, że go nienawidzę, ale tak naprawdę nienawidzę samej siebie za to, że nie chciałam, aby Marnie przyjechała do domu. Czy dlatego właśnie zginęła – bo nie chciałam jej tutaj, bo pragnęłam dalej żyć tak jak poprzednio?

Ten dźwięk się powtarza, głuchy odgłos rąbanego drewna, towarzyszy mu okrzyk takiego cierpienia i rozpacz, że zrywam się z łóżka, wybiegam z sypialni i pędzę w stronę schodów. Drzwi pokoju Josha się otwierają.

– Mamo! – woła, wygląda na przestraszonego.

– W porządku, już tam idę – mówię mu.

– Pójść z tobą?

Ale mnie już nie ma.

Adam

– Przestań, tato, przestań!

Słyszę głos Marnie, ale nie zwracam na to uwagi, rąbię dalej.

– Proszę, przestań, tato!

Wydaję ryk frustracji.

– Nie! Nie proś mnie, żebym przestał, gdy sypiasz z Robem! – Zamachuję się siekierą i wbijam ją w ostatni kawałek drewna, rozłupując go na szczapy. – Z bratem mojego najlepszego przyjaciela... – Znowu podnoszę siekierę. – Mężem Jess... – I ją opuszczam. – Ojcem twojej najlepszej przyjaciółki...

– Tato, przestań!

Obracam siekierę w ręce i jej trzonkiem jak pałką posyłam w powietrze szczapy.

– Nie wydawaj mi poleceń! – wrzeszczę, gdy odbijają się od ścian. – Nie masz do tego prawa! Jak mogłaś, Marnie! Jak mogłaś nas opuścić?

– Adamie!

Livia

Zatrzymuje się w połowie zamachu siekierą, wykonuje obrót i przez jeden straszny moment mam wrażenie, że zaraz zaatakuje nią mnie. Potem furię w jego oczach zastępuje dezorientacja, patrzy na mnie ze zdumieniem, jakby nie mógł uwierzyć, że to ja przed nim stoję, nie Marnie.

Wyciągam do niego rękę.

– Już dobrze – mówię łagodnie. – Już dobrze.

Opuszcza rękę i siekiera upada na podłogę. Stoi szary jak popiół. A potem osuwa się na kolana, zakrywa dłońmi twarz i zaczyna spazmatycznie szlochać.

Kłękam obok niego wśród kawałków orzechowego drewna i próbuję go objąć. Ale mi się wyrywa. Wstydy się łez i nie pozwala zdjąć sobie rąk z twarzy. Jedyne, co mogę dla niego zrobić, uwięzionego we własnym piekle, to powiedzieć mu, że go kocham, że strasznie mi przykro, że wszystko się ułoży, przejdziemy przez to. To samo, co on mówił mnie, a czego ja do tej pory nie potrafiłam.

W pewnej chwili podnoszę wzrok i widzę w progu Josha, stoi z opuszczonymi rękami, na twarzy ma ślady łez. Kiedy chce podejść, kręcę głową i uśmiecham się do niego krótko, daję mu tym znak, że Adam nie chciałby, aby widział go w takim stanie: załamanego, zdruzgotanego, pokonanego. I Josh rozumie, cicho odchodzi.

W końcu Adama ogarnia wyczerpanie i wtedy go do siebie przytulam, scałowuję łyzy z jego policzków.

– Wszystko będzie dobrze, uwierz mi – mówię delikatnie. – Wszystko będzie dobrze.

Nie odpowiada, bo nie może. Ale westchnienie, które wyrywa mu się z głębi piersi, mówi wszystko.

Rok później
8 czerwca 2020

Adam

Odbędzie się dziś u nas przyjęcie, na cześć Livii i Marnie. Josh je organizuje. Przyjdą ci, którzy byli w zeszłym roku na przyjęciu urodzinowym Liv, a do tego jeszcze koledzy Marnie ze szkoły i z uczelni. Wszyscy, którzy w ostatnich dwunastu miesiącach stali się ważni w naszym życiu.

Po śmierci Marnie i jej pogrzebie pytali o jedno: jak mogą pomóc. Zastanowiliśmy się nad tym i doszliśmy do wniosku, że najbardziej byśmy chcieli, najbardziej by nam pomogło, gdyby pozwolili Marnie żyć w naszej świadomości, dając jej życie w swojej, i gdyby rozmawiali z nami o niej. I dobrze nam to zrobiło – słuchanie opowieści i anegdot, których do tej pory nie znaliśmy. To nie zawsze jest łatwe, ale już lepiej tak, niż w ogóle jej nie wspominać.

To był pierwszy błąd, jaki popełniłem – że nie nawiązywałem do Marnie, aby oszczędzać swoim rozmówcom zakłopotania. Normalnie klienci, gdy rozmawiamy o meblu, który mam dla nich wykonać, pokazują mi zdjęcia swojego domu, abym zasugerował, jaki rodzaj drewna będzie pasował do pozostałych elementów wyposażenia. Potem w nieunikniony sposób rozmowa schodzi na tematy związane z domem, czyli rodzinę, i kiedy byłem pytany o dzieci, wymieniałem tylko Josha. Ale za każdym razem czułem, że to straszliwa zdrada wobec Marnie. Teraz więc mówię: „Mój syn Josh mieszka w Londynie ze swoją dziewczyną Amy. Miałem wspaniałą córkę, Marnie, ale kilka miesięcy temu zginęła w katastrofie lotniczej – to był samolot linii Pyramid Airways, może słyszeliście?”.

A kiedy widzę, że są wstrząśnięci, i zaczynają mamrotać, że bardzo im przykro, odpowiadam: „To było straszne i nadal cierpimy, ale staramy się pamiętać, jakie to szczęście, że mieliśmy taką córkę”.

Na tym przeważnie się kończy.

Przez kilka pierwszych tygodni po śmierci Marnie Liv miała zdecydowanie więcej siły ode mnie. Ja zupełnie się rozsypałem, fizycznie i psychicznie. Dręczyły mnie nie tylko rozpacz i poczucie winy, ale także świadomość, że nasza córka miała romans z Robem. Nie mogłem pogodzić obrazu Marnie, jaką znałem, z obrazem tej, jaką się stała. Nie jadłem, nie

spałem i w szybkim tempie chudłem. Kiedy myślałem o jej ostatnich chwilach, wyobrażałem sobie, że dzwoni nie do Livii ani do mnie, ale do Roba.

Nie poleciliśmy do Kairu. Tamtej nocy, kiedy Livia przysłała do mnie, do szopy, kiedy nie mogłem już tego wszystkiego wytrzymać, myśl, aby za kilka godzin wsiąść do samolotu, przepełniała mnie takim strachem, że nie dałbym rady tego zrobić.

– Nie mogę lecieć do Kairu – wyjąkałem niepewnie, gdy na niebie zaczęło wschodzić słońce. – Nie chcę tego zobaczyć.

– To tam nie pojedziemy – uspokoiła mnie łagodnie. – Ja też nie chcę.

Po wypadku to Nelson zajął się sprawami formalnymi i informował nas o postępach śledztwa w sprawie katastrofy. Ja, uwięziony w długim mrocznym tunelu bez światła na końcu, nie byłem w stanie nic zrobić.

Przełom nastąpił z sześć tygodni po śmierci Marnie, kiedy któregoś ranka powlokłem się na dół i zastałem w kuchni liścik od Livii z informacją, że wyszła. Josha także nie było i przypomniałem sobie mgliście, że wyjechał z Amy na kilka dni. Pierwszy raz, odkąd Marnie zginęła, znalazłem się sam i choć tak zamknąłem się w sobie, że prawie się nie odzywałem, ich nieobecność zaczęła mi ciążyć, aż stała się wręcz nie do wytrzymania. Dzwoniłem do Livii, ale za każdym razem byłem przełączany na pocztę głosową.

Zatelefonowałem do Nelsona.

– Nie mogę skontaktować się z Livią – powiedziałem z głupim poczuciem, że zaraz się rozplacę. – Nie wiem, gdzie ona jest. A jeśli coś jej się stało?

– Nic jej się nie stało.

– Skąd wiesz?

– Pojechała do parku – odparł. Miał na myśli Windsor Great Park. – Wstałeś już?

– Tak – potwierdziłem. Dochodziło południe.

– Więc weź prysznic i dołącz do niej.

– Nie – odmówiłem, znowu się wycofując. Nie wychodziłem z domu od tygodni, od pogrzebu Marnie, a już na pewno nie chciałem jechać gdzieś, gdzie wszystko by mi ją przypominało.

– Musisz.

– Dlaczego?

– Który dziś?

– Nie mam pojęcia.

– Dwudziesty czwarty lipca.

To była znajoma data. Urodziny Marnie.

– Niemożliwe – wymamrotałem. Nie mieściło mi się w głowie, że prawie upłynął już lipiec, a ja tego nie zauważyłem.

– Musisz wziąć się w garść, Adamie – oświadczył stanowczo Nelson. – Nie możesz tak dłużej funkcjonować.

Ogarnął mnie gniew.

– W razie gdybyś zapomniał, straciłem córkę.

– Tak samo jak Livia. Jedź i ją odszukaj. Ona cię potrzebuje, Adamie. Nie da rady dłużej cię holować.

Poczułem do niego nienawiść. Ale kiedy poszedłem do łazienki, ta nienawiść zwróciła się przeciwko wrakowi człowieka, który spoglądał na mnie z lustra. Ledwie rozpoznałem w nim siebie i to mnie przestraszyło. Jak mogłem doprowadzić się do takiego stanu? I miałem wrażenie, że to nie Nelson powiedział mi, abym wziął się w garść, tylko Marnie. Wzbudziłbym w niej odrazę, gdyby mnie takiego zobaczyła.

Gdy pierwszy raz od tygodni się goliłem, zacząłem się zastanawiać nad tym, co powiedział mi Nelson: że Livia mnie holuje. I poczułem rosnący wstyd. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio na nią patrzyłem – tak żeby ją zobaczyć – i z nią rozmawiałem. Trawiony poczuciem winy zapomniałem, że śmierć Marnie dotknęła nie tylko mnie.

Domyśliłem się, że Livia udała się do parku pieszo, przez most Cambridge. Szedłem przez miasto z opuszczoną głową, wyobrażając sobie, że wszyscy po drodze rozpoznają we mnie tego, który stracił córkę w katastrofie lotniczej. Po dojściu do bramy się zawahałem. Zawsze stąd zaczynaliśmy z Marnie naszą wędrówkę i nie byłem pewny, czy dam radę odbyć ją bez niej. I wtedy zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Gdy tak stałem niepewnie, z głową pełną wspomnień, poczułem, że coś pcha mnie naprzód. Było to tak silne wrażenie, że aż się obejrzałem. Nikogo nie zobaczyłem. Ale jednak ktoś ze mną był, bo czułem czyjąś obecność.

– Cześć, Marnie – szepnąłem. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. – Poczułem lekki powiew wiatru i pierwszy raz od przyjęcia mimowolnie się uśmiechnąłem.

Nie martwiłem się, że nie znajdę Livii. Wiedziałem, że jeśli będę szedł przed siebie, w końcu spotkam ją, gdy będzie wracała. Po jakimś czasie zobaczyłem, jak idzie w moim kierunku. Ze zdziwieniem zauważyłem, że wygląda na wychudzoną i zmęczoną, i zdumiałem się, jak mogłem być tak skupiony na sobie.

Wlokła się z opuszczoną głową i niczego wokół nie widziała. Kiedy miała mnie minąć, złapałem ją za rękę.

– Livio.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to ja. A wtedy wsparła się na mnie i rozpłakała z ulgi i wyczerpania.

Słyszę w kuchni, jak Josh i Amy chodzą na górze po pokoju. Ubierają się. Livia jeszcze spała, gdy opuszczałem sypialnię, ale sądząc po odgłosach, bierze prysznic, więc niebawem zejdzie. Otwieram tylne drzwi. Murphy porusza się w koszu. Staje przy mnie i w oczekiwaniu na Livię razem wychodzimy do ogrodu.

Brak mi Marnie codziennie, w każdej minucie. Mam w sobie bolesną pustkę, której nic nie wypełni – to niemożliwe, bo przecież straciłem część samego siebie. Jednak ja i Livia dzięki miłości i wsparciu rodziny oraz przyjaciół przebyliśmy w ciągu roku długą drogę.

Ona ma Jess, Kirin i swoją matkę, a ja – Izzy, Iana i rodziców, zwłaszcza tatę. Tata ma szósty zmysł, który mówi mi, kiedy tonę, i wtedy się zjawia, żeby rzucić mi linę ratunkową, zwykle zabierając mnie do miasta na drinka albo nad rzekę, na spacer z Murphym, zaleźnie od tego, czego w jego odczuciu bardziej potrzebuję.

Mam też Nelsona, który pewnego dnia stanął w progu mojej szopy i od razu zorientowałem się po jego minie, że wie o Marnie i Robie. Był ich romansem wstrząśnięty, wściekły na Roba, że dla jakiejś iluzji ryzykował utratę wszystkiego, co nas łączyło.

– Co on sobie myślał? – powtarzał. To samo pytanie zadawaliśmy sobie z Livią w odniesieniu do Marnie. – Tak mi przykro, Adamie, tak mi przykro.

Próbowałem go pocieszać, mówiłem, że do romansu potrzeba dwojga. Byłem zadowolony, że nie wiedział o dziecku, które Marnie straciła. Sam niemal żałowałem, że o nim wiem, ale Livia nie chciała, żeby były między nami jeszcze jakieś sekrety. Czasami usiłuję sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby Marnie nie poroniła i nie zginęła. To strasznie boli, gdy się pomyśli, jak mogłoby być. Mam jednak świadomość, że niezwykle trudno byłoby odnaleźć się w takiej sytuacji.

Nelson pytał, co Livia i ja zamierzamy zrobić, twierdził, że zrozumie, jeśli nie będziemy chcieli więcej widzieć Roba. W innych okolicznościach tak byśmy postanowili – żeby się z nim nie spotykać. Ale musimy myśleć o Jess. Gdybyśmy wykluczyli Roba z naszego grona, zaczęłyby dopytywać, co jest tego powodem. Mam też na względzie Liv. Oprócz córki straciłaby także najlepszą przyjaciółkę – bo tak niechybnie by się stało – a tego byłoby już dla niej za dużo. No i należy wziąć pod uwagę Cleo i Josha. Wolimy, żeby żadne z nich nie dowiedziało się o tym romansie.

Ostatecznie to Livia zdecydowała. Powiedziała, że chce, aby było tak jak dawniej, jakby nic się nie wydarzyło, jakbyśmy o niczym nie wiedzieli. I staramy się, żeby tak było. To dla nas niezwykle trudne i mimo naszych starań nie jest tak samo jak kiedyś, gdy spotykamy się w dawnym gronie. Jeśli Jess albo Kirin – której Nelson wolał nie mówić – zauważają, że Rob jest w naszej obecności cichszy, przypisują to stresowi po śmierci Marnie. Kiedy indziej Kirin byłaby bardziej dociekliwa, ale ma pełne ręce roboty z najmłodszymi latoroślami, Rose i Bertiem, którzy skończyli właśnie sześć miesięcy.

Myślę, że Livii jest łatwiej niż mnie. Są takie dni, kiedy to udawanie ciąży jest nie do wytrzymania, kiedy nie wiem, jak zniosę konieczność przebywania z Robem w tym samym pokoju, oddychania tym samym powietrzem co on. Ale robię to dla Livii, ze względu na to, przez co przeszła, jak sobie poradziła z utratą Marnie, jak holowała mnie przez te pierwsze tygodnie i nie zważała na swoje cierpienie, żeby mi pomóc. I dlatego, że kocham ją bardziej niż kiedykolwiek do tej pory.

Livia

Składam kartkę, którą czytałam, i chowam z powrotem do szuflady, pod różę zachowane z bukietu od Marnie. Przyszła we wtorek po jej śmierci, tego dnia, kiedy mieliśmy lecieć do Kairu. Była to ta obiecana kartka z życzeniami urodzinowymi i znalazłam dołączony do niej pospiesznie napisany liścik.

„Muszę z Tobą porozmawiać, Mamo. Chyba wiesz, że coś przed Wami ukrywam, mam jednak nadzieję, że się nie orientujesz, co takiego, bo chcę Ci to wytłumaczyć osobiście, żebyś przynajmniej spróbowała zrozumieć. Nie wiem, czy zdołasz, bo tata raczej nie. Zawiedziesz się na mnie i będziesz się mnie wstydziła, ale musisz wiedzieć, że nie chciałam, aby do tego doszło, to się po prostu stało i już. A skoro tak – cóż, mogę tylko liczyć, że będziesz w stanie mi wybaczyć”.

Gdy to czytałam, cieszyłam się, że rozumiem, co Marnie miała na myśli. Gdybym nie wiedziała o jej romansie z Robem, do końca życia bym się dręczyła, snując domysły, co takiego mogła zrobić, że potrzebowała mojego przebaczenia. Domyślałam się, że napisała ten liścik zaraz po naszej rozmowie telefonicznej, kiedy próbowałam odwieść ją od przyjazdu. Nigdy nie przestanę żałować, że to mi się nie udało, tak jak nie przestanę żałować, że to była nasza ostatnia rozmowa. Nie pamiętam, czy powiedziałam jej, że ją kocham, jak zwykle na zakończenie, i zadręczam się, że tego nie zrobiłam.

Biorę prysznic, a potem się ubieram. Nie bardzo wiem, jaki mam stosunek do dzisiejszego przyjęcia, choć nigdy bym się z tym nie zdradziła przed Joshem. Nie przeszkadzałoby mi, gdybyśmy już więcej nie obchodzili moich urodzin. Mam świadomość, że to głupie, ale czasami się zastanawiam, czy śmierć Marnie nie jest dla mnie karą za to, że w zeszłym roku tak się ekscytowałam swoim przyjęciem. To wręcz odrażające przykładać taką wagę do czegoś równie materialistycznego.

To może wydać się dziwne, ale czuję się szczęśliwa, że jestem dziś w tym punkcie, w którym jestem, że mam to, co mam. Przede wszystkim – Adama. Przez kilka strasznych tygodni po śmierci Marnie myślałam, że jego też stracę. Były takie chwile, gdy nie wyobrażałam sobie, żeby kiedykolwiek przewyciężył ból i poczucie winy, które go dręczyły. Nie wiem, czy gdyby nie Josh i Amy, dałabym sobie radę.

Sięgnęłam dna w urodziny Marnie, gdy wędrowałam Długim Szlakiem w Windsor Great Park. Miałam nadzieję, że Adam wybierze się tam ze mną, ale w miarę jak się zbliżały, widziałam, że zapomniał, co to za dzień, a ja się bałam, że jeśli mu przypomnę,

całkiem się załamie. I gdy tam szłam, przestraszyło mnie własne zmęczenie, bo zrozumiałam, że dłużej tak nie pociągnę.

– Proszę, Marnie – modliłam się bliska łez. – Proszę, oddaj mi swojego tatę. Bez niego przez to nie przebrnę.

Wtedy podniosłam głowę i zobaczyłam go na ścieżce. I gdy rozplakałam się z ulgi, a on mnie podtrzymał, myślałam tylko: nasza córka musiała mnie usłyszeć. Teraz co wieczór z nią rozmawiam, w sypialni, kiedy Adam jest na dole albo wyprowadza Murphy'ego. Leżę na łóżku, z Mimi zwiniętą obok w kłębek, i opowiadam Marnie, jak minął mi dzień. I wiem, że ona słyszy.

Jestem także wdzięczna losowi, że mam przy sobie mamę. Okazała się skałą, na której mogłam się wesprzeć, gdy przyszło zdecydować, jak postąpić z Robem. Skontaktowałam się z nią ze trzy tygodnie po śmierci Marnie, aby zaprosić ją na pogrzeb, i od tego czasu zaczęłyśmy raz w tygodniu spotykać się w mieście na kawę. Może gdyby Marnie nie zginęła, nie odnowiłybyśmy tak szybko więzi, jednak rozpaczliwie potrzebowałam kogoś, kto nie był z Marnie tak blisko, bo nie potrafiłabym znieść jeszcze czyjegoś cierpienia. Mamie było przykro z powodu Marnie i na pewno też płakała z żalu. Ale jej nie znała i to jakoś ułatwiło sprawę.

Ponieważ z Adamem nie dało się o niczym rozmawiać, romans Marnie i Roba pozostawał dla mnie otwartą raną, aż któregoś dnia, parę tygodni po urodzinach naszej córki, przyszedł do nas Nelson. Rob wreszcie przyznał mu się, dlaczego unika mnie i Adama, i Nelson oczywiście wpadł we wściekłość. Oznaczało to, że możemy wreszcie podjąć ten temat. Nie wiedzieliśmy jednak, jak postąpić. Nie chcieliśmy Robowi darować, ale nie mogliśmy zdecydować, czy powiedzieć Jess, czy nie.

Kiedyś, gdy Adam pojechał na spotkanie z potencjalnym klientem, Nelson zjawił się, żeby porozmawiać ze mną o Robie. Wstawił się za nim. Powiedział, że Rob ma wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił, że wdał się w romans z Marnie w czasie, gdy zmagał się z depresją wywołaną chorobą Jess. Że kilkakrotnie próbował go zakończyć i teraz najbardziej się martwi, że Jess będzie cierpiała, kiedy się dowie. Ma nadzieję, że uzyska jej przebaczenie, bo naprawdę ją kocha, i prosi tylko o to, aby sam mógł jej powiedzieć.

Gardziłam nim za to, że próbował się z tego wywinąć. Nie ośmielił się twierdzić, że to Marnie wszystko zaczęła, ale wyczuwałam tę jego sugestię we wszystkim, co mówił. Chciałam wygarnąć Nelsonowi, że jego brat to kłamca i tchórz, i podły, podły człowiek. Próbowałam sobie wyobrazić scenę, w której Rob łamie serce Jess, ale nie umiałam.

Przekazałam Robowi przez Nelsona, żeby nie mówił o niczym Jess, dopóki się nie namyśle. Następnego dnia spotkałam się z mamą i gdy byłyśmy na kawie w hotelu Castle, nie wytrzymałam. Opowiedziałam jej o tym romansie i poprosiłam ją o radę. A mama wskazała na coś, o czym ani ja, ani Adam nie pomyśleliśmy: że nawet jeśli powiedzielibyśmy Jess, być może postanowiłaby ona zostać z Robem, z miłości albo dlatego, że wolałaby żyć z nim niż sama. A ponieważ dowiedziałyby się od nas, nasza

przyjaźń by tego nie wytrzymała. Nie dość na tym: niewykluczone, że jeżeli byśmy jej powiedzieli, Jess uznałaby, że powinna odejść od Roba, bo tego od niej oczekujemy. A gdyby potem z nikim się nie związała, byłoby jej trudno. Z drugiej strony – argumentowała mama – jeżeli nie powiedzielibyśmy Jess, Rob, w poczuciu winy i ponieważ ją kocha, jak mówi Nelsonowi, na pewno byłby oddanym mężem.

Omówiłam to z Adamem, a potem z Nelsonem. W końcu postanowiliśmy zachować romans Roba dla siebie. Ze względu na stan Jess to chyba słuszna decyzja. Rob z całą pewnością jest jej oddany i chociaż strasznie nam trudno nadal się z nim widywać, robimy to dla niej.

Wyglądam przez okno sypialni, widzę, że Adam z Murphym przy boku idzie przez ogród, i czuję przypływ czegoś, czego nie czułam od dawna, czego nie śmiem nazwać, bo to wydaje się jakoś nie w porządku. Zbiegam po schodach i gdy wypadam na trawnik, Adam rozkłada ramiona.

– Sto lat! – mówi. Całuje mnie.

– Dziękuję – odpowiadam i obejmuję go mocno. – Wcześniej wstałeś.

– To ważny dzień.

Trzymając się za ręce, podchodzimy do murku i siadamy na nim. Przed sobą mamy ogrodzenie Marnie. Z domu dochodzi wybuch śmiechu. Josh i Amy drocą się ze sobą. Uśmiecham się, gdy to słyszę.

Zwracam się do Adama, też się uśmiecha.

– Szczęśliwy? – pytam bez zastanowienia. A potem ogarnia mnie zgroza, bo jak możemy być szczęśliwi. Z niepokojem zerkam na Adama, ale on przyciąga mnie do siebie.

– Tak – szepcze i całuje mnie w czubek głowy. – A ty?

– Tak – odpowiadam cicho.

To nie jest takie szczęście jak dawniej – bo jak mogłoby być? Ale to nasz rodzaj szczęścia i tyle wystarczy.

Podziękowania

Po wydaniu czterech książek doszłam do wniosku, że podziękowania trudniej napisać niż całą resztę. Lista osób, którym należą się słowa wdzięczności, staje się coraz dłuższa i samo „dziękuję” wydaje się niewystarczające. Tym razem chciałabym podziękować nie tylko swojej najbardziej życzliwej i oddanej agentce literackiej – Camilli Bolton – oraz wydawcom w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych – Kate Mills, Jennifer Weiss i Catherine Richards – ale także wydawcom zagranicznym: Aleksandrze Sałudze (z Polski), Bertrandowi Pirelowi (z Francji), Fernandowi Pazowi Clementemu (z Hiszpanii), Harisowi Nikolakakisowi (z Grecji), Jennifer Boomkamp (z Holandii), Siren Marøy Myklebust (z Norwegii), Sigrún Katrín i Egillovi Arnarssonowi (z Danii i Szwecji), Barbarze Trianni (z Włoch), Janie Drápalíkovej i Kateřinie Hájkovej (z Czech), Hülyi Balci (z Turcji). Zaprosiliście mnie do swoich pięknych krajów, umożliwiliście poznanie wspaniałych czytelników i sprawiliście, że spotkałam się z tak miłym przyjęciem. Jestem także wdzięczna innym wydawcom z całego świata za nieustające wsparcie i uznanie, zwłaszcza Ásmundurovi Helgasonowi z Islandii, a także wszystkim tłumaczom moich powieści, ze szczególnym uwzględnieniem Ireen Neissen z Holandii i jej niesamowitego oka do szczegółów.

Dziękuję całym zespołom, które pracują niezmiernie za zamkniętymi drzwiami, czasami – bez wątpienia – aż do punktu załamania, żeby przypomnieć mnie przy publikacji mojej nowej książki, bo potem znowu znikam, aby się zastanawiać, co napisać w następnej kolejności. Blogerom, którzy poświęcają swój cenny czas, żeby czytać i recenzować. Czytelnikom za to, że wciąż kupują książki i stwarzają nam, pisarzom, publiczność. Kolegom po piórze za pomoc i zachętę.

Szczególne podziękowania składam rodzinie i przyjaciołom, zwłaszcza mężowi i córkom, którzy cierpliwie mnie słuchają i służą radą, gdy zanudzam ich nowymi fabułami, jako pierwsi czytają moje książki, redagują je i orędują za nimi. Jesteście nadzwyczajni. I dodatkowe – dla Caluma, za niekończące się podróże samochodowe, podczas których się nie odzywam, bo piszę w głowie, i za to, że nigdy nie prosi, abym odeszła od komputera, chyba że na posiłek. Bez Ciebie umarłabym z głodu.